

Znakomita powieść
autora bestsellerowego *Lektora*

Bernhard Schlink

—
*Kobieta
na schodach*



Bernhard Schlink



*Kobieta
na schodach*

PRZEŁOŻYŁ

Ryszard Wojnakowski



DOM WYDAWNICZY REBIS

Spis treści

Część pierwsza

Część druga

Część trzecia

Nota

Część pierwsza

1

Może pewnego dnia zobaczą państwo ten obraz. Zniknął na długi czas i nagle się odnalazł – wszystkie muzea będą chciały go pokazywać. Nic dziwnego, Karl Schwind jest obecnie najśłynniejszym i najdroższym malarzem na świecie. W dniu jego siedemdziesiątych urodzin natykałem się na niego we wszystkich gazetach i na wszystkich kanałach telewizyjnych. Musiałem jednak długo się wpatrywać, zanim w starym człowieku rozpoznałem młodego.

Obraz skojarzyłem natychmiast. Wszedłem na ostatni dziedziniec Art Gallery: tam wisiał – i poruszył mnie jak wtedy, kiedy wszedłem do salonu w domu Gundlacha i zobaczyłem go po raz pierwszy.

Kobieta schodzi po schodach. Prawa stopa staje na dolnym stopniu, lewa dotyka jeszcze górnego, ale przymierza się już do następnego kroku. Kobieta jest naga, jej ciało blade, włosy łonowe i na głowie są w kolorze blond, te na głowie błyszczą, bo pada na nie światło. Naga, blada i blond – mając za sobą niewyraźne szarozielone tło w postaci stopni schodów i ścian, kobieta stąpa w kierunku oglądającego lekko, jakby unosiła się nad ziemią. A jednocześnie za sprawą długich nóg, krągłych, pełnych bioder i jędrnych piersi emanuje świadomością swej zmysłowej władzy.

Podszedłem powoli do obrazu. Byłem zmieszany, teraz tak samo jak wtedy. Wtedy byłem zmieszany, bo kobieta, która poprzedniego dnia w moim biurze siedziała naprzeciwko mnie w dżinsach, topie i kurtce, na obrazie podchodziła do mnie nago. Teraz byłem zmieszany, bo obraz przypominał mi o tym, co wydarzyło się wtedy, w co się wtedy wdałem i co wkrótce potem wyrzuciłem z pamięci.

Kobieta na schodach – taki był napis na tabliczce obok obrazu, wraz z informacją, że chodzi tylko o depozyt. Odnalazłem kuratora i zapytałem go, kto pożyczył obraz Art Gallery. Odpowiedział, że nie może podać nazwiska. Ja na to, że znam kobietę przedstawioną na obrazie i jego właściciela i z góry mogę go zapewnić, że dojdzie do sporu o własność obrazu. Zmarszczył czoło,

ale nie ustąpił, nadal twierdząc, że nie może mi podać nazwiska.

2

Lot powrotny do Frankfurtu miałem zabukowany na czwartek po południu. Kiedy pertraktacje w Sydney zakończyły się już w środę przed południem, mogłem właściwie przebukować bilet na ten sam dzień. Chciałem jednak spędzić trochę czasu w ogrodzie botanicznym.

Tam zamierzałem zjeść obiad, poleżeć w trawie, a wieczorem wysłuchać *Carmen* w Operze. Lubię ogród botaniczny, z którym graniczy od północy katedra, a od południa Opera: na jego terenie stoją galeria sztuki i konserwatorium, a z pagórków rozciąga się widok na zatokę. W ogrodzie mieszczą się palmiarnia, rozarium i herbarium, sadzawki, altany i posągi, a przede wszystkim jest wiele trawników ze starymi drzewami; to tam wylegali dziadkowie z wnukami, samotne kobiety i mężczyźni z psami, grupy piknikujących osób, pary kochanków, ludzie, którzy postanowili poczytać lub pospać. Czas się zatrzymał na loggii restauracji pośrodku ogrodu: stare żelazne kolumny, stara żelazna balustrada i widok na drzewa z latającymi psami oraz na fontannę z barwnie upierzonymi ptakami o długich zakrzywionych dziobach.

Zamówiłem jedzenie i zadzwoniłem do kolegi. Tego, który przygotował fuzję przedsiębiorstw po stronie australijskiej, ja po niemieckiej. Jak to się zdarza przy fuzjach przedsiębiorstw, byliśmy zarówno partnerami, jak przeciwnikami. Byliśmy jednak w tym samym wieku, obaj seniorzy jednej z ostatnich wielkich kancelarii nieprzejętych jeszcze przez Amerykanów lub Anglików, obaj wdowcy – i lubiliśmy się. Zapytałem go o firmę detektywistyczną, z której usług korzysta jego kancelaria, a on podał mi nazwę.

– Jest jakiś problem, w którym moglibyśmy pomóc?

– Nie, to tylko dawna ciekawość, którą chciałbym zaspokoić.

Zadzwoniłem do firmy detektywistycznej. Do kogo należy obraz Karla Schwinda pokazywany w Art Gallery Nowej Południowej Walii: czy do niejkiej Ireny Gundlach lub primo voto Gundlach i czy kobieta o tym

nazwisku mieszka w Australii? Szef firmy wyraził nadzieję, że za kilka dni będzie mógł mi odpowiedzieć. Zaproponowałem premię, jeśli to zrobi nazajutrz rano. Roześmiał się. Albo jeszcze dziś dotrze do informacji w galerii sztuki, albo potrwa to parę dni, bez względu na premię. Da mi znać.

Potem przyniesiono jedzenie. Zamówiłem do niego butelkę wina, której nie zamierzałem wypić, ale wypić. Od czasu do czasu budziły się latające psy, wszystkie naraz, sfruwały z furkotem i okręzały drzewa, po czym zawisały na powrót na gałęziach i otulały się własnymi skrzydłami. Czasem jeden z kolorowych ptaków przy fontannie wydawał okrzyk. Czasem krzyknęło dziecko albo zaszczekał pies, albo dobiegały mnie rozmowy grupy Japończyków przypominające ćwierkanie stada ptaków. A czasem słyszałem tylko cykanie świerszczy.

Położyłem się w trawie na zboczu poniżej konserwatorium. W garniturze – nie przestraszyło mnie, choć zwykle by mnie przestraszyło, wyobrażenie, że będę później chodził w wygniecionym, może też poplamionym ubraniu. Potem zobojętniało mi także, co mnie czeka w Niemczech. Nie było takiej rzeczy, z której nie mógłbym zrezygnować, ani sprawy, w której nie można by zrezygnować ze mnie. We wszystkim, co było przede mną, dało się mnie zastąpić. Nie dało się mnie zastąpić tylko w tym, co było już za mną.

3

Właściwie nie chciałem zostać adwokatem, tylko sędzią. Zdałem egzamin na odpowiednią ocenę, wiedziałem, że sędziowie są poszukiwani, byłem gotów przenieść się tam, gdzie by mnie potrzebowano, i uważałem rozmowę kwalifikacyjną w Ministerstwie Sprawiedliwości za formalność. Było to pewnego popołudnia.

Referentem do spraw personalnych okazał się starszy pan o dobrotliwym spojrzeniu.

– Zrobił pan maturę, kiedy miał siedemnaście lat, potem w wieku dwudziestu jeden lat pierwszy, a w wieku dwudziestu trzech drugi egzamin... Nigdy dotąd nie miałem takiego młodego i rzadko kiedy takiego dobrego kandydata.

Byłem dumny ze swoich dobrych ocen i młodych lat. Chciałem jednak zrobić wrażenie człowieka skromnego.

– Rok wcześniej poszedłem do szkoły, a potem przesuwano mnie przy rozpoczęciu nauki, jeden raz z wiosny na jesień i drugi z jesieni na wiosnę, to dało mi dodatkowo dwa razy po pół roku.

Pokiwał głową.

– Dwa podarowane półrocza. Kolejne podarowane pół roku, bo po pierwszym egzaminie nie musiał pan czekać, tylko od razu został aplikantem. Zarobił pan mnóstwo czasu.

– Nie rozumiem...

– Czyżby? – Popatrzył na mnie łagodnie. – Jeśli zacznie pan od przyszłego miesiąca, będzie pan sądził innych przez czterdzieści dwa lata. Będzie pan siedział u góry, na podwyższeniu, a inni na dole. Będzie ich pan wysłuchiwał, rozmawiał z nimi, czasem się do nich uśmiechał, ale koniec końców ze swojego podwyższenia decydował o tym, kto nie naruszył prawa, a kto je naruszył i kto straci wolność, a kto ją zachowa. Chce pan tego: przez czterdzieści dwa lata zasiadać na podwyższeniu, przez czterdzieści dwa lata

być w prawie? Sądzi pan, że będzie panu z tym dobrze?

Nie wiedziałem, co mu odpowiedzieć. Owszem, podobało mi się wyobrażenie, że będę siedział jako sędzia na podwyższeniu i sprawiedliwie rozpatrywał sprawy innych, i wydawał sprawiedliwe wyroki o ich winie lub niewinności. Dlaczego nie przez czterdzieści dwa lata?

Referent zamknął leżące przed nim akta.

– Naturalnie weźmiemy pana, jeśli pan naprawdę chce. Ale dzisiaj pana nie wezmę. Proszę przyjść w przyszłym tygodniu, mój następca pana zatrudni. Albo proszę przyjść za półtora roku, kiedy zużyje pan oszczędności. Albo za pięć lat, kiedy przyjrzy się pan od dołu światu prawa jako adwokat lub radca prawny, lub oficer śledczy.

Wstał, więc ja też wstałem, zmieszany, nie mogłem słowa wykrztusić, przyglądałem mu się tylko, jak wyjmuje płaszcz z szafy i przewiesza przez ramię, wyszedłem z nim z pokoju, ruszyliśmy korytarzem, potem po schodach w dół i w końcu stanęliśmy przed gmachem ministerstwa.

– Czuje pan lato w powietrzu? Już niedługo będziemy mieli gorące dni, ciepłe wieczory i letnie burze. – Uśmiechnął się. – Niech Bóg ma pana w opiece.

Byłem urażony. Nie chcą mnie? W takim razie ja też ich nie chcę. Zostałem adwokatem, ale nie z powodu rady starszego pana, tylko wbrew niej. Przeniosłem się do Frankfurtu, przystąpiłem do Karchingera i Kunzego, pięcioosobowej kancelarii, równoległe z pracą w charakterze adwokata pisałem pracę doktorską i po trzech latach zostałem ich partnerem. Byłem najmłodszym partnerem we frankfurckich kancelariach, co napawało mnie prawdziwą dumą. Karchinger i Kunze przyjaźnili się od czasów szkolnych i studenckich, Kunze nie miał żony ani dzieci, Karchinger miał żonę tryskającą nadreńską wesołością i syna w moim wieku, który pewnego dnia miał znaleźć miejsce w kancelarii, a póki co przebijał się przez studia i z moją pomocą przygotowywał do egzaminu. Na szczęście dobrze się rozumieliśmy i nadal rozumiemy. Dzisiaj jest seniorem, jak ja, a to, czego mu brakuje w zakresie prawniczych kompetencji, nadrobił obrotnością w stosunkach towarzyskich. Zyskał ważne zlecenia. To także jego zasługa, że mamy obecnie siedemnastu młodych partnerów i trzydziestu ośmiu stałych pracowników.

4

W pierwszych latach dostawałem sprawy, którymi Karchinger i Kunze nie byli zainteresowani. Malarz, który wykonał zlecenie, otrzymał zapłatę, a teraz toczył spór ze zleceniodawcą – coś takiego doświadczony kierownik biura przekazywał od razu mnie, nawet nie pytając Karchingera i Kunzego.

Karl Schwind nie przyszedł sam. Razem z nim, mężczyzną tuż po trzydziestce, przyszła kobieta, tuż po dwudziestce, i podczas gdy on z rozczochranymi włosami i w ogrodniczkach pasował do lata 1968 roku, ona w swojej nieskazitelności prezentowała się u jego boku jak istota z obcej planety. Miała spokojne ruchy, mierzyła mnie chłodnym spojrzeniem, a kiedy malarz się zaperzył, położyła mu dłoń na ramieniu.

– On nie pozwala mi zrobić zdjęć.

– Panu...

– Moje portfolio zostało zniszczone i muszę zrobić nowe zdjęcia niektórych obrazów. Wiem, kto je kupił, więc dzwonię do nabywców, a oni zgadzają się, bym do nich zajrzał i sfotografował obrazy. Oni cieszą się z moich odwiedzin. On odmawia.

– Dlaczego?

– Nie mówi dlaczego. Zadzwoniłem do niego, odłożył słuchawkę, a kiedy napisałem, nie odpowiedział. – Unosił i opuszczał ręce, rozcapierzał palce i zaciskał pięści. Miał duże dłonie, wszystko w nim zresztą było duże, sylwetka, twarz, oczy, nos, usta. – Jestem przywiązany do swoich obrazów. Ledwo mogę znieść, że muszę je sprzedawać.

Wyjaśniłem mu, że według przepisów prawa malarz, który chce sporządzić kopie, ma zapewniony dostęp do swojego obrazu.

– Jeśli ma w tym uzasadniony interes i nie koliduje to z uzasadnionymi interesami właściciela. Czy jest w pańskim postępowaniu coś, wobec czego właściciel mógłby zgłosić zastrzeżenia?

Malarz wysunął podbródek, zacisnął wargi i pokręcił głową. Popatrzyłem

pytając na kobietę – z uśmiechem wzruszyła ramionami. Schwind podał mi nazwisko właściciela obrazu: Peter Gundlach, oraz adres w najlepszej okolicy na zboczu Taunusu.

– W jaki sposób pańskie portfolio zostało zniszczone? Nie żeby to było szczególnie ważne, ale jeśli będę mógł wyjaśnić dlaczego...

Znowu mi przerwał i miałem to sobie za złe, bo wtedy zawsze miałem sobie za złe, że nie potrafię rozegrać rozmowy tak, jak tego od siebie oczekuję.

– Miałem wypadek, portfolio spłonęło razem z autem.

– Mam nadzieję...

– Mnie nic się nie stało. Ale Irena była zakleszczona i doznała – położył dłoń na jej kolanie – wielu poparzeń.

– Przykro...

Machnął ręką.

– Nic poważnego i dawno się zagoiło.

5

Napisałem do Gundlacha, który natychmiast odpowiedział. Że został źle zrozumiany. Naturalnie malarz może zajrzeć do niego i sfotografować obraz. Przekazałem odpowiedź Schwindowi i uznałem sprawę za załatwioną.

Tydzień później Schwind zjawił się jednak znowu. Ledwo panował nad sobą.

– Odmówił panu dostępu?

– Obraz jest uszkodzony. Na prawej nodze... wygląda to tak, jakby przejechał w tym miejscu zapalniczką.

– Kto... on?

– Tak, Gundlach. Mówi, że tak jakoś się stało. Ale to nie stało się tak jakoś, tylko rozmyślnie. Ja dostrzegam takie rzeczy.

– Czego pan teraz chce?

– Czego teraz chcę? – Kobieta znów siedziała obok niego i znów położyła mu dłoń na ramieniu. Mimo to podniósł głos. – Czego teraz chcę? To jest mój obraz. Musiałem go sprzedać i teraz wisi u niego, ale to mój obraz. Chcę go naprawić.

– Zaproponował mu pan, że naprawi obraz?

– Nie pozwala mi. Mówi, że jemu ten mały mankament nie przeszkadza, nie chce mnie widzieć w swoim domu, a jego domu obraz nie opuści.

Uważałem całą historię za trochę groteskową, ale oboje patrzyli na mnie z powagą, więc i ja całkiem poważnie oświadczyłem, że sytuacja prawna wcale nie jest prosta. Że musi dojść do deformacji, że ta deformacja musi wystawiać na szwank interesy twórcy, że interesy twórcy podlegają ochronie tylko wtedy, kiedy zdeformowane dzieło jest dostępne dla większego kręgu oglądających, a jeśli dzieło można oglądać tylko w sferze prywatnej właściciela, to może on z nim robić, co chce.

– Mogę napisać znowu do Gundlacha i przedstawić jeden czy drugi argument prawny. Ale jeśli będziemy musieli pójść do sądu, to sprawa nie

wygląda dobrze. Co właściwie przedstawia obraz?

– Kobieta schodzącą po schodach. – Rozejrzał się po moim biurze. – To duży obraz. Widzi pan drzwi? Obraz jest trochę większy.

– Czy to jakaś konkretna kobieta?

– To jest... – w jego głosie pojawiła się przekora – ...to była żona Gundlacha.

6

Gundlach ponownie odpowiedział od razu. Żałuje, że znowu zaszło nieporozumienie. Naturalnie zgadza się na odrestaurowanie obrazu przez malarza. Przecież nie może go spotkać nic lepszego niż odrestaurowanie uszkodzonego dzieła sztuki przez samego artystę. Poza dom nie może oddać obrazu, bo wtedy utraciłby ochronę ubezpieczyciela. Malarz może przyjść do jego domu, kiedykolwiek zechce. Znowu przekazałem Schwindowi odpowiedź.

Sprawa wzbudziła moją ciekawość, poszedłem do księgarni i zapytałem o literaturę na temat Karla Schwinda. Frankfurckie Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych urządziło przed kilkoma laty wystawę i opublikowało mały katalog – to wszystko. Nie znam się w ogóle na sztuce i nie potrafiłem ocenić, czy obrazy są dobre, czy złe. Na obrazach były fale, niebo i chmury, drzewa; kolory piękne, a wszystko namalowane tak samo nieostro, jak nieostro ja sam oglądam świat, gdy nie mam na nosie okularów. Znajome, a zarazem odległe. W katalogu wymieniono galerie, w których wystawiał Schwind, i zdobyte nagrody. Nie wyglądało na to, że jest artystą, któremu się nie powiodło, ale nie wydawał się też artystą uznanym, może takim, którego czas dopiero nadejdzie. Patrzył na mnie z tylnej strony okładki katalogu, za duży do garnituru, który miał na sobie, za duży do krzesła, na którym siedział, za duży do tej tylnej strony.

Nie upłynął tydzień, a znowu zjawił się u mnie, znowu razem z kobietą. Był naprawdę duży, większy, niż odnotowałem w pamięci podczas jego pierwszej wizyty. Mam metr dziewięćdziesiąt i jestem szczupły, zarówno wtedy byłem w dobrej formie, jak i dzisiaj jestem, a on nie był ode mnie wyższy, ale tak mocno zbudowany i kościsty, że przy nim czułem się niemal mikrusem.

– Znowu to zrobił.

Domyśliłem się, co się stało, ale nie zwykłem uprzedzać klientów.

– Co takiego zrobił?

– Znowu uszkodził obraz. Dwa dni pracowałem nad nogą, a kiedy trzeciego

dnia zamierzałem skończyć, na lewej piersi pojawiła się plama wypalona kwasem. Farba się rozmyła, wydeła, wyskoczyły pęcherzyki. Muszę ją usunąć, zagruntować i położyć nową.

– Co powiedział?

– Że to na pewno ja zrobiłem. Znalazł wśród moich rzeczy buteleczkę, a płyn w niej śmierdzi tak samo jak plama. Domaga się odnowienia obrazu na mój koszt, ale nie przeze mnie. Do mnie nie ma już zaufania. – Popatrzył na mnie, trzęsąc się ze zdenerwowania. – Co mam zrobić? Nie dopuszczę nikogo innego do mojego obrazu.

– Jest pan gotów naprawić także nowe uszkodzone miejsce?

Coraz mniej wiedziałem, co sądzić o całej tej historii.

– Miejsce? To nie jest miejsce. To jest lewa pierś!

Chwycił siedzącą obok niego kobietę za lewą pierś.

Byłem poirytowany, ona jednak tylko się roześmiała, nie z zawstydzeniem, nie z zakłopotaniem, ale wesoło, wykrzywiła odrobinę usta i miała dołeczek w policzku. Była blondynką, spodziewałem się więc jasnego śmiechu. Jej śmiech natomiast był ciemny i przydymiony i podobnie brzmiał jej głos.

– Karl. – Wypowiedziała to słowo czule, jak do nadgorliwego, nieporadnego dziecka.

– Zaproponowałem mu ponowne naprawienie obrazu. Zaproponowałem mu nawet odkupienie go, jeśli nie można inaczej, za podwójną cenę. Ale on nie chce. Powiedział, że nie chce mnie więcej widzieć.

7

Tym razem zadzwoniłem do Gundlacha. Głos miał uprzejmy, pobrzmiwało w nim ubolewanie.

– Co za pech! Nie wiem, jak mu się to przytrafiło! Ale nie ulega wątpliwości, że cierpi z tego powodu i znów chce widzieć obraz w jego pierwotnym pięknie. Ja też tego chcę, a nikt lepiej od niego nie zdoła go odrestaurować. Nawiasem mówiąc, nie czyniłem mu wyrzutów ani nie wycofałem zaufania. Jest człowiekiem wyjątkowo wrażliwym. – Zaśmiał się. – W każdym razie dla takich ludzi jak pan i ja. Jak na artystę, możliwe, że jest normalny.

– Miejmy nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze. – W głosie Schwinda przebijała ulga, a zarazem przygnębienie.

Przez trzy tygodnie nie miałem od niego wiadomości. W tym czasie malował nową lewą pierś. Kiedy przyszedł wykonać ostatnie prace, okazało się, że obraz w nocy się przewrócił, uderzył w żelazny stolik, na który malarz odłożył pędzel i farby, i się przedarł.

Gundlach zadzwonił do mnie. Nie posiadał się z oburzenia.

– Najpierw kwas, teraz to! Możliwe, że jest wielkim artystą, ale przerażająco niechlujnym. Nie mogę go zmusić do odnowienia obrazu jeszcze raz. Ale mam pewne wpływy i zadbam o to, żeby nie dostał żadnego zlecenia, dopóki tego nie zrobi.

Groźba okazała się niepotrzebna. Schwind, który przyszedł do kancelarii tego samego dnia, gotów był naprawić obraz, nawet gdyby znowu miało go to kosztować kilka tygodni pracy. Był jednak zrozpaczony.

– A jeśli potem zrobi to znowu?

– Ma pan na myśli...

– Och, wiem, że to był on. Sądzi pan, że malarz nie potrafi oprzeć obrazu o ścianę tak, żeby stał? To on go przewrócił, a rozdarcie zrobił nożem. Kanty stołu są zbyt tępe, nie mogą spowodować takiego ostrego rozdarcia obrazu. –

Zaśmiał się gorzko. – Wie pan, gdzie jest to rozdarcie? Tutaj.

Tym razem przejechał dłonią po brzuchu i przyrodzeniu nie kobiecie, która mu znów towarzyszyła, ale sobie.

– Dlaczego miałyby to zrobić?

– Z nienawiści. Nienawidzi obrazu, który ukazuje jego żonę, nienawidzi swojej żony, która go opuściła, i nienawidzi mnie.

– Dlaczego miałyby pana...

– Nienawidzi cię, bo opuściłam go dla ciebie. – Kobieta pokręciła głową. – Obrazu nie nienawidzi. Jest mu zupełnie obojętny. Chce widzieć ciebie, a to możliwe tylko wtedy, kiedy uszkodzi obraz.

– Zamiast załatwić to ze mną, niszczy obraz? Co z niego za człowiek?

Tak był oburzony na Gundlacha i tak nim gardził, że aż się podniósł. Po chwili usiadł z powrotem i opuścił ramiona.

Próbowałem poskładać do kupy to, co właśnie usłyszałem. Kobieta pozowała malarzowi, a potem z nim uciekła? Wymieniła starego mężczyznę na młodego? Czy przy rozwodzie wycisnęła ze starego, co się dało?

Ale nie kobietą miałem się zajmować, tylko nim.

– Niech pan da spokój i jemu, i obrazowi. Pod względem prawnym nie ma w ręku nic przeciwko panu, a grożenia wpływami nie brałbym poważnie. Niech pan spíše obraz na straty, chociaż to dla pana bolesne. Albo niech go pan namaluje jeszcze raz... mam nadzieję, że dla malarza to nie jest obraźliwa propozycja.

– To nie jest obraźliwa propozycja. Ale nie mogę spisać obrazu na straty. A może... – Siedział nieruchomo, ale zmienił się na twarzy, która nie wyrażała już rozpacz, oburzenia i pogardy, tylko stała się dziecinna; duży mężczyzna o dużej twarzy i dużych dłoniach popatrzył na nas z ufnością. – Wiecie co, może uszkodzenie nogi było rzeczywiście przypadkowe. Kiedy Gundlach je zobaczył, z początku nie mógł znieść widoku uszkodzonego obrazu. Potem jednak pomyślał, że uszkodzenie powstrzyma wspomnienia i że bez tych wspomnień będzie mu łatwiej żyć. Dlatego przy następnych razach sam uszkodził obraz. Ale gdy znowu widzi go w pierwotnym pięknie, kocha go znowu.

– Na mnie Gundlach nie sprawia wrażenia człowieka, który daje się uwodzić sztuce. – Spojrzałem pytająco na kobietę, ale nic nie powiedziała, nie skinęła, nie pokręciła głową, tylko patrzyła na niego z takim zdziwieniem i taką miłością, jakby uszczęśliwiona zaglądała w głąb jego dziecięcej duszy.

Spróbowałem jeszcze raz. – Wydaje się pan w jego ręce. On może niszczyć obraz raz za razem. Nie będzie pan miał kiedy zajmować się własnymi rzeczami.

Popatrzył na mnie ze smutkiem.

– Przez ostatnie pół roku nie namalowałem żadnego obrazu.

8

Ocenił, że odrestaurowanie obrazu zajmie mu miesiąc do dwóch, i byłem pewny, że potem zobaczę go znowu w moim biurze. Minęło jednak lato i się nie zjawił. W październiku miałem dużą sprawę i przestałem o nim myśleć.

Dopóki pewnego ranka kierownik biura nie zaanonsował mi, że przyszła Irena Gundlach. Miała na sobie kurtkę, top i džinsy i w pierwszej chwili pomyślałem, że jak na jesień ubrała się za lekko, kiedy jednak popatrzyłem przez okno, poranna mgła już się ulotniła, niebo było błękitne, a liście kasztanów błyszcząły w słońcu złociście.

Podawała mi rękę na powitanie i usiadła.

– Przychodzę z polecenia Karla. Chętnie by panu sam podziękował, ale jest w tej chwili na takim etapie pracy, że nie chce się rozpraszać. Gundlach w ostatnich miesiącach bawił w Stanach, nie przeszkadzał, więc Karl nie tylko odrestaurował mój obraz, ale także rozpoczął nowy. – Zaśmiała się. – Nie poznałby go pan. Odkąd przestała mu ciążyć sprawa mojego obrazu, jest nowym człowiekiem.

– Cieszę się.

Nie wstawiała, założyła tylko nogę na nogę.

– Rachunek proszę przysłać do mnie. Karl nie ma pieniędzy, więc i tak musiałby mi go dać. – Pytanie w moich oczach dostrzegła, zanim jeszcze sformułowałem je w głowie. – To nie są pieniądze Gundlacha, tylko moje własne. – Uśmiechnęła się. – Ciekawe, jakie wrażenie robi na panu nasza historia. Bogaty starszy mężczyzna zleca młodemu malarzowi namalowanie młodej żony, a ci dwoje zakochują się w sobie i uciekają. Stereotyp, prawda? – Uśmiechała się nadal. – Uwielbiamy stereotypy, ponieważ są prawdziwe. Chociaż... Czy Gundlach jest już starszym mężczyzną? Czy Karl jest jeszcze młodym malarzem? – Roześmiała się, a mnie znów zdziwił ciemny śmiech tej kobiety o blond włosach, bladej skórze i jasnym spojrzeniu. Śmiejąc się, zmrużyła oczy. – Czasami zastanawiam się, czy jestem jeszcze młodą kobietą.

Zawtórowałem jej śmiechem.

– A jeśli nie, to kim?

Przybrała poważny wyraz twarzy.

– Żeby być młodym, trzeba czuć, że wszystko można naprawić, wszystko, co poszło nie tak, cośmy zaniedbali, cośmy zbroili. Kiedy przestajemy to czuć, kiedy zdarzenia i doświadczenia przemijają bezpowrotnie, jesteśmy starzy. Ja przestałam to czuć.

– W takim razie ja nigdy nie byłem młody. Moja matka zmarła, kiedy miałem cztery lata... jak miałyby to być do naprawienia? Moja babka nie zwróciła mi matki.

Skierowała prosto na mnie swoje jasne spojrzenie.

– Jeszcze nigdy pan nie kochał, prawda? Może musi się pan trochę postarzyć, żeby odmłodzić. Żeby znaleźć, odnaleźć w kobiecie wszystko: matkę, którą pan utracił, siostrę, której panu brakowało, córkę, o której pan marzy. – Uśmiechnęła się. – One wszystkie to my, kiedy naprawdę jesteśmy kochane. – Wstała. – Zobaczymy się znowu? Mam nadzieję, że nie... niech pan mnie źle nie zrozumie, proszę. A jeśli znowu się zobaczymy, to znaczy, że wszystko się rozpadło. Czy panu też przychodzi czasem do głowy, że Bóg zazdrości nam szczęścia i dlatego musi je zniszczyć?

9

Zamierzałem zbyć jej słowa jako paplaninę, a ją samą uznać za zwyczajną gadułę. Czy były to pieniądze jej, czy Gundlacha – wydawało się, że ma ich pod dostatkiem, tyle, że nie musiała zarabiać, nie musiała pracować. Zwyczajny obibok. Ale nie dała się zbyć. Siedziała w mojej głowie – założywszy nogę na nogę, w obcisłych dżinsach i obcisłym topie, z jasnym spojrzeniem i ciemnym śmiechem, spokojna, wyzywająca, mieszająca myśli. Trochę zmieszany byłem już wtedy, gdy siedzieliśmy naprzeciwko siebie, a zupełnie skonfundowany, kiedy następnego dnia przyjechałem do domu Gundlacha i zobaczyłem obraz.

Nie, pomyślałem, kiedy Gundlach wyszedł mi na spotkanie i przywitał się ze mną, to nie jest starszy mężczyzna. Mógł mieć czterdziestkę, miał szczupłą sylwetkę, czarne włosy i siwe skronie, poruszał się i mówił energicznie.

– Dziękuję, że pan przyjechał. Pański klient i ja nie możemy się jakoś dogadać, jestem pewien, że my dwaj dogadamy się prędzej.

Jeśli o mnie chodzi, nie pojechałbym do domu Gundlacha w Taunusie. Obstawałbym przy tym, żeby to on, który chce ode mnie czegoś, przyjechał do mnie. Gundlach zadzwonił jednak do kierownika biura, a ten zgodził się na moją wizytę u niego.

– Odmówić zaproszeniu Gundlacha? Musi się pan jeszcze dużo uczyć.

Opowiedział mi o przedsiębiorstwie Gundlacha, jego majątku i wpływach. Pojechałem więc, zostałem przyjęty przez kamerdynera, po czym musiałem czekać w foyer i walczyłem ze swoją dumą.

Gest Gundlacha, który wziął mnie pod ramię, także zranił moją dumę. Gospodarz zaprowadził mnie do salonu. Po prawej stronie rząd okien z widokiem na równinę, po lewej regał książkowy na całą ścianę, na białej ścianie przede mną obraz. Chcąc nie chcąc zatrzymałem się i Gundlach puścił moje ramię. Jeszcze nigdy pan nie kochał... kiedy naprawdę jesteśmy kochane... Bóg zazdrości nam szczęścia – wszystko, co powiedziała mi

poprzedniego dnia, obiecywała tutaj, schodząc nago po schodach.

– To naprawdę piękny obraz – stwierdził Gundlach. – Ale jakby ciążyła na nim klątwa. Noga, pierś, łono, jedno uszkodzenie po drugim. – Pokręcił głową. – Czy to się teraz skończy? Nie jestem pewien. A pan?

– Ja...

– A co będzie, jeśli uszkodzanie się nie skończy? Czy Schwind ciągle ma przychodzić? Nie chcę go już widzieć u siebie, a i on wolałby malować nowe obrazy, niż odnawiać ten stary. Ale on musi, nie potrafi inaczej. A ja muszę go wpuszczać do domu w celu renowacji, bo domaga się tego prawo. Tak przecież jest?

Popatrzył na mnie, uprzejmie i drwiąco. Miał swoich adwokatów i wiedział, że pozycja prawna Schwinda jest słaba. Wiedział też jednak, że muszę się zachowywać tak, jakby była silna. Nie mogłem zdradzić swojego klienta. Nie mogłem powiedzieć Gundlachowi, że toczy z moim klientem podłą grę. Skinąłem głową.

– Schwind chciałby odzyskać obraz. Czuje, że dopóki obraz jest u mnie, nie uspokoi się, ani obraz, ani on. Nie uważa pan, że wszystko jest w miejscu, gdzie powinno się znaleźć? A jeśli nie jest tam, gdzie jego miejsce, nie może się uspokoić. Obrazy nie mogą się uspokoić i ludzie nie mogą się uspokoić.

– Jeśli na spokoju zależy nie tylko mojemu klientowi, ale i panu, chętnie odkupi od pana obraz.

– Też mi to powiedział. Ale wtedy coś więcej straciło spokój, nie tylko obraz. Widzi pan, jak schodzi po schodach? Skupiona, opanowana, spokojna? Kiedy znalazła się na dole, jej spokój prysł. Bo tam, gdzie zeszła, nie było jej miejsce.

– Pańska żona nie sprawia na mnie wrażenia, jakby...

– Proszę mi nie przerywać! – Potrzebował chwili, żeby dojść do siebie, tak zdenerwowało go moje zuchwalstwo. – Wrażenia mylą. Czy obraz nie sprawia dobrego wrażenia, mimo że ciąży na nim klątwa? Liczy się nie wrażenie, które robi moja żona, tylko to, że utraciła spokój. I że go odzyskała.

Czekałem, czy będzie mówił dalej. Gundlach stał jednak tylko i patrzył na obraz.

– Nie rozumiem, co...

Odwrócił się do mnie.

– Jutro przyjdzie do mnie Schwind. Mam poniekąd dokonać odbioru odnowionego obrazu. Jeśli do jutra obrazowi coś się stanie, jeśli Schwind

przyjdzie potem do pana, jeśli przyjdzie bez mojej żony, jeśli poprosi pana o przygotowanie niezwyklej transakcji, proszę to zrobić. Nawet jeśli jej niezwykłość będzie nas trochę szokować... czasami tak właśnie trzeba. Czy nie żyjemy w niezwyklej czasach? A transakcja bywa niekiedy ważna, chociaż nie można jej zaskarżyć ani wykonać jej postanowień.

Nie rozumiałem go, nie mogłem jednak jeszcze raz tego powiedzieć. Wyczytał to z moich oczu, zaśmiał się, wziął mnie znowu pod ramię i wyprowadził z powrotem do foyer.

– Proszę nie mieć mi tego za złe, ale prawnicy bywają trochę zwyczajni. Ja zapamiętuję takich, którzy podejmują niezwykle wyzwania.

10

W drodze do domu uzmysłowiłem sobie, że zakochałem się w Irenie Gundlach.

Wiedziałem to, choć nie miałem doświadczenia w miłości. Podobała mi się nasza nauczycielka matematyki, drobna kobieta o żywych oczach i czystym głosie, nosząca krótkie spódniczki. Raz po kryjomu wetknąłem czerwoną różę pod bagażnik jej roweru. Potem była koleżanka, na którą wciąż się gapiłem, a ilekroć znalazłem się na mieście, miałem nadzieję, że ją tam spotkam i zagadnę, czego nigdy nie śmiałem zrobić w szkole, a ona ucieszy się i mi odpowie. Czasami dzień po dniu nie potrafiłem myśleć o niczym innym, tylko o niej, wyobrażałem sobie, co też akurat robi, co ja mógłbym zrobić, żeby zostać przez nią zauważonym i jej się spodobać, jak by to było, gdybyśmy zostali parą. Ale kiedy zbliżał się trudny sprawdzian z matematyki, do którego musiałem się porządnie przygotować, postanowiłem do tego czasu nie myśleć o niej, a potem czar prysł. Kiedy studiowałem, na wydziale prawa niemal nie było jeszcze studentek, a studentek z innych wydziałów nie dane mi było poznać. Podczas wakacji zarabiałem na studia w magazynie części zapasowych, w którym oprócz operatorów wózków widłowych i innych studentów pracowały same kobiety. Opowiadały świńskie kawały i czyniły nam obsceniczne awanse, które wprawiały mnie w zakłopotanie, nie wiedziałem, jak na nie reagować. Podobała mi się jedna z robotnic, nie tak hałaśliwa jak pozostałe, młoda, o ciemnych włosach i oczach pełnych wewnętrznego ciepła, i ostatniego dnia czekałem na nią przed bramą magazynu. Kiedy wyszła, skierowała się prosto do młodego mężczyzny, który po drugiej stronie ulicy opierał się o drzewo.

Może łatwiej nauczyć się spraw związanych z kobietami i miłością, kiedy ma się matkę i siostrę. Po śmierci matki ojciec oddał mnie do swoich rodziców, którzy przypuszczalnie chętnie by mnie rozpieszczali, jak dziadkowie zwykle rozpieszczają wnuki, ale nie mieli ochoty wychowywać.

Odbętnili to zadanie z własnym czworgiem dzieci, w moim wypadku nie potrafili się zdobyć na nic więcej i załatwiali sprawę krótko i rzeczowo. Nie żeby mi czegoś u nich brakowało. Miałem lekcje fortepianu i tenisa, chodziłem na lekcje tańca i na kurs prawa jazdy. Dziadkowie dawali mi jednak do zrozumienia, że na tym poprzestaną, a poza tym chcą, żebym ich zostawił w spokoju.

Zakochanie się wyobrażałem sobie w ten sposób, że poznaję kobietę, podobamy się sobie i zaczynamy się spotykać, że coraz bardziej podobamy się sobie, coraz częściej się spotykamy, coraz bardziej zbliżamy się do siebie i w końcu się zakochujemy. Tak zresztą było parę lat później z moją żoną. Przyszła do kancelarii jako aplikantka, była sumienna i wesoła, pozwalała mi się zapraszać na kolacje, do opery i do muzeum, najpierw raz w tygodniu, potem wielokrotnie; zbliżaliśmy się do siebie i pobrali, kiedy zdała drugi egzamin. Od jej śmierci minęło dziesięć lat. Gdy dzieci podrosły, przeszła do polityki komunalnej i została radną miejską. Kilka dni po ponownym wyborze do rady miała wypadek samochodowy. Do dziś nie pojmuję, jak wczesnym popołudniem mogła mieć we krwi 1,6 promila alkoholu i wjechać na drzewo przy drodze lokalnej. Policja pytała mnie, czy była alkoholiczką. Dlaczego moja żona miałaby być alkoholiczką?

Z jaką siłą ogarnęło mnie wtedy pożądanie Ireny Gundlach – nie byłem na to w ogóle przygotowany i na szczęście nic takiego nie przytrafiło mi się także potem. Jadąc z powrotem do Frankfurtu, musiałem się zatrzymać i wysiąść, tak bardzo byłem oszołomiony. A więc coś takiego istniało – szczęście, o jakim nie śmiałem marzyć, do którego potrzebna była tylko ta jedna kobieta, jej bliskość, jej głos, jej nagość. Nie zrobiła jeszcze ostatniego kroku ze schodów swojego dawnego życia w nowe – gdyby zechciała go zrobić w moje życie! I gdyby co rano zechciała tak w nie wkraczać i wpadać w moje ramiona!

Kiedy szef firmy detektywistycznej nie odezwał się do środy wieczór, ja zadzwoniłem do niego w czwartek rano. Parę razy wybierałem numer na próżno – dopiero po dziesiątej złapałem sekretarkę, która połączyła mnie z telefonem komórkowym szefa. Myślałem, że firma detektywistyczna ma centralę obsadzoną przez całą dobę lub przynajmniej od wczesnego rana.

– Mówiłem panu, że to może potrwać parę dni.

– Dzisiaj muszę wracać do Niemiec.

– Mam numer pańskiego telefonu. Da mi pan także adres mailowy? Gdy będę coś miał, natychmiast pana zawiadomię.

– Mam jeszcze raz przylecieć tutaj?

Roześmiał się.

– To zależy od pana.

Śmiał się jowialnie, więc wyobrażałem go sobie jako starszego pana z brzuszkiem i łysiną. Czy mam jeszcze raz przylecieć tutaj – co za głupie pytanie. Podałem mu swój adres mailowy i rozłączyłem się. Potem stanąłem przy oknie i patrzyłem na port, gmach Opery z wzdętymi betonowymi żaglami, niebieską zatokę z małymi i dużymi statkami i na zielony pas lądu na końcu zatoki, za którym znajdowało się już otwarte morze. Świeciło słońce. Mogłem zrezygnować ze śniadania, zjeść wczesny obiad w restauracji w ogrodzie botanicznym, a potem znowu położyć się w trawie. Przechodząc obok sklepu z galanterią skórzaną i walizkami niedaleko hotelu, mogłem kupić mały plecak, w księgarni książkę, a w winiarni butelkę czerwonego wina – i czytać, i pić, i zasnąć, i się obudzić.

Myślałem o locie powrotnym, który najlepiej, żeby nastąpił po południu, o przybyciu na miejsce następnego ranka, przejeździe do domu, otwarciu drzwi, rozpakowaniu rzeczy, o prysznicu, czytaniu poczty w szlafroku, ogoleniu się i ubraniu, o wyjeździe do kancelarii i przywitaniu się z personelem. Myślałem o czekającej mnie rozmowie z kierowcą, o jego

pytaniu, czy miałem przyjemną podróż, i moim, czy we Frankfurcie coś się wydarzyło. Myślałem o kwiatkach, które sekretarka postawi na moim biurku.

Myślałem o rytuale powrotu i zasmucało mnie to. Ściśle przestrzegałem go przez te wszystkie lata i one same stały się ściśle przestrzeganym rytuałem, raz za razem, klient za klientem, umowa za umową. Fuzje i przejęcia firm – w tym byłem dobry, po to klienci przychodzili do mnie i o to chodziło w umowach. Z biegiem lat nauczyłem się, na które punkty należy zwracać szczególną uwagę, które pytania należy zadawać. Zawsze zwracałem uwagę na te same punkty i zadawałem te same pytania. Kłopoty pojawiały się tylko wtedy, gdy druga strona próbowała nieczystych zagrań. Ale ja też nauczyłem się różnych trików.

Zadzwoiłem do szefa mojego biura podróży we Frankfurcie. Było o wiele za późno, żeby go złapać w pracy, ale złapałem go w domu. Powiedział, że może przesunąć mój lot, lecz tylko na inną datę. Kiedy chcę lecieć? Jeszcze nie wiem? W takim razie po prostu przesunie termin o dwa tygodnie, w każdej chwili będzie go mógł przesunąć na późniejszy lub wcześniejszy. Życzy mi przyjemnego pobytu.

Włożyłem garnitur, który miałem na sobie poprzedniego dnia, pomięty, z plamami po trawie i ziemi. Nagle przestraszyłem się swojej decyzji o rezygnacji z lotu. Nagle rytuały, których przestrzegałem podczas pracy, przy swoich powrotach i wyjazdach oraz w czasie wolnym, wydały mi się jedyną rzeczą dającą spójność mojemu życiu. Jak miałem bez nich żyć? Czy miałem...? Nie odwołałem jednak przełożenia swojego lotu.

Nie mogłem spędzić dnia w ogrodzie botanicznym, nie idąc do Art Gallery. Znów stanąłem przed obrazem i znów czułem zakłopotanie na widok kobiety. Nie dlatego, że była naga, i nie dlatego, że przypominała mi to, co wydarzyło się wtedy. Tylko dlatego, że widziałem inną niż ta, którą spotkałem wtedy i którą widziałem zawsze do tej pory. Gdzie ja miałem oczy?

Kobieta na obrazie nie schodzi po schodach, żeby grać na pianinie lub napić się herbaty, także nie dlatego, że ukochany oczekuje jej z radością na dole. Schodzi po schodach z pochyloną głową i spuszczonej oczami, jakby ją do tego zmuszono, a ona pogodziła się z losem. Jakby się opierała, ale zrezygnowała z oporu, ponieważ ten, kto ma nad nią władzę, jest zbyt potężny. Jakby mogła zabiegać o to, by ją oszczędził, tylko łagodnością, kuszeniem i oddaniem. Przy czym musi być przygotowana na to, że po prostu zostanie wzięta. A może nawet chce tego? Nie przyznając się do tego temu drugiemu lub może tylko przed samą sobą?

Widziałem kiedyś w pewnym muzeum dziewiętnastowieczne obrazy białych niewolnic w arabskich i tureckich haremach. Kolumny, marmury, poduszki, wachlarze, nagie kobiety w nieprzyzwoitych pozach, posyłające niezgłębione spojrzenia. Kicz, stwierdziłem. Czy kobieta, która zstępowała po schodach i zbliżała się do mnie, też była kiczem? Nie wiem. Beładna mieszanina przemocy i kuszenia, oporu i oddania wprawiała mnie w zakłopotanie. To nie był teren, na którym kiedykolwiek stykałem się z kobietami. Nie pasował do tego, co czułem wówczas do Ireny Gundlach. A może wtedy wszystko rozumiałem na opak?

Nie chciało mi się nad tym zastanawiać. Na szczęście miałem przy sobie książkę i czerwone wino. Nie czytam powieści, tylko książki na temat historii. To, co się naprawdę wydarzyło, to jednak coś innego, niż ludzie sobie wymyślają. Kiedy uczymy się z historii, uczymy się od rzeczywistości, a nie od czasami genialnych, lecz często idiotycznych urojeń umysłu. Kto zaś uważa,

że powieści są barwniejsze od historii, ten nie wysiła fantazji i nie potrafi sobie nic wyobrazić: Cezara, który kocha Brutusa jak syna i zostaje przez niego zasztyletowany, Azteków nawiedzanych i dziesiątkowanych przez choroby białych, zanim spotkają się z nimi w walce, kobiet i dzieci w taborze armii Napoleona, wdeptywanych w śnieg i wpychanych do lodowatej wody przy przekraczaniu Berezyny. Tragedie i komedie, szczęście i pech, miłość i nienawiść, radość i smutek – historia oferuje wszystko. Powieści nie mogą oferować nic więcej.

Czytałem o historii Australii, więźniach zakutych w łańcuchy, osadnikach, towarzystwach rozwoju kraju, poszukiwaczach złota, Chińczykach. Aborygeni wymarli najpierw, bo byli zarażeni, a potem dlatego, że ich zmasakrowano, w końcu odebrano im dzieci. Zamysł był dobry, ale przyniósł wiele cierpień rodzicom i dzieciom. Moja żona zwykła mówić, że przeciwieństwem zła nie jest dobro, tylko dobry zamysł, i to byłoby potwierdzenie jej słów. Ale przeciwieństwem zła nie jest zły zamysł, tylko dobry.

Tak jak przepowiedział Gundlach, Schwind zjawił się w kancelarii na drugi dzień. Przyjechał prosto od Gundlacha i teraz siedział na krześle przed moim biurkiem ze spuszczoną głową i splecionymi dłońmi. Milczał tak długo, że w końcu się zniescierpliwilem. Gdy zaczął mówić, także nie podniósł głowy ani nie rozplótł dłoni.

– Kiedy przyjechałem, obraz wisiał na ścianie. Pokazałem Gundlachowi, co zrobiłem, on obejrzał moją robotę i pochwalił. Następnie wyciągnął scyzoryk, rozłożył go, przeciął obraz, złożył scyzoryk i schował go z powrotem do kieszeni. Właściwie mogłem mu przeszkodzić, bo robił wszystko z wielkim spokojem. Byłem jednak jak sparaliżowany. A potem powiedział z uśmiechem: „Szybko pan to naprawi”. Ma rację, przecięcie jest małe i znajduje się na schodach. „Ale spokój osiągnie pan dopiero wtedy, kiedy odzyska pan obraz, a ja odzyskam to, co moje. Niech pan idzie do swojego adwokata i każe mu przygotować umowę”. „Umowę?”, zapytałem. „Wszystko musi być jak należy”, odpowiedział.

Podniósł wzrok i spojrzał na mnie.

– Potrafi pan to? Przygotować umowę, że ja odzyskam obraz, a on Irenę?

Nic nie odpowiedziałem, ale wyczytał z mojej twarzy przerażenie.

– Muszę odzyskać obraz, muszę. Myśli pan, że pozwolę Gundlachowi znowu go uszkodzić? Albo zniszczyć? Nie powinienem był mu go sprzedawać, kiedy Irena i ja zaczęliśmy ze sobą, powinienem był zwrócić zaliczkę i zabrać obraz. Byłem głupi, mój Boże, ależ ja byłem głupi. Teraz wiem, że mogę malować tylko wtedy, kiedy mogę też decydować o tym, co będzie się działo z moim obrazem. Niektóre obrazy zniszczyłem. Ponieważ coś się w nich nie zgadzało. W tym obrazie wszystko się zgadza. Pewnego dnia będzie wisiał w Luwrze albo w Metropolitan Museum, albo w Ermitażu. Nie wierzy pan? Ma pan rację, może potrzebuję pieniędzy i będę zadowolony, gdy uda mi się go sprzedać w Berlinie, Monachium albo Kolonii. Wtedy po prostu inny mój

obraz będzie wisiał w Metropolitan Museum. I pewnego dnia odbędzie się w Nowym Jorku wystawa moich największych dzieł, na którą Berlin pożyczycy ten obraz. – Przemawiał z coraz większym podnieceniem, podnosił i opuszczał ręce, rozcapierzał palce i zaciskał pięści. Nagle się roześmiał. – Może przyjdę na otwarcie wystawy i kiedy zobaczę obraz, przypomnę sobie o panu.

Śmiał się w dalszym ciągu, kręcąc głową.

Po chwili jednak wróciło zdenerwowanie.

– Ale obraz nie pojedzie do Nowego Jorku, jeśli Berlin mnie nie zapyta, czy się zgadzam. Już nigdy nie sprzedam żadnego obrazu, nie zastrzegając sobie prawa do decyzji, co się z nim będzie działo, komu zostanie sprzedany lub wypożyczony. Myśli pan, że kupujący się na to nie zgodzą? Kupujący będą się zabijać o moje obrazy i zgodzą się na każdy mój warunek. Nie wierzy mi pan, wiem o tym. Nie wierzy pan, że mały szkic, który narysuję panu tu, na pańskim bloczku, pewnego dnia uczyni pana bogatym. Woli pan, żeby Irena panu płaciła. Uważa mnie pan za kogoś, kto nie jest wystarczająco zdolny lub nie ma dość uporów, albo uważa mnie pan za zbyt wielkiego dziwaka jak na rynek sztuki. – Chciałem zaoponować, ale nie pozwolił sobie przerwać, machnął lekceważąco ręką. – Myśli pan: gdyby malował w stylu abstrakcyjnym lub przynajmniej tak jak Warhol. Puszki z zupą albo butelki coli, albo Marilyn Monroe... to się panu podoba, proszę przyznać, to się panu podoba? Tu, w biurze u pana, wiszą sztychy, a w domu ma pan portrety Goethego lub Beethovena w wersji Warhola, bo chce pan pokazać, że ma pan wykształcenie, ale nie jest staroświecki, tylko otwarty na wszystko, co nowoczesne. Czy nie jest tak?

Jego ton był pogardliwy, wzrok wrogi. Chciałem wyjaśnić, jakie obrazy wiszą w moim mieszkaniu i dlaczego, ale w końcu uznałem, że nie powinno go to obchodzić i może sobie o mnie myśleć, co chce.

– Własny obraz jest dla pana ważniejszy od przyjaciółki?

– Nie ma pan pojęcia, o czym pan mówi. Co pan rozumie z mojego obrazu? Co pan wie o tej kobiecie? Nic, nic pan nie rozumie i nic pan nie wie. Może ona chciałaby wrócić do męża. Do komfortu, który on jej zapewnia, ze służbą, podróżami, jazdą konną, tenisem, pieniędzmi. Zadał pan sobie to pytanie? Co zrobi, kiedy skończą jej się pieniądze, a ja nie będę jeszcze zarabiał na swoich obrazach? Zacznie pracować jako kelnerka? Jako sprzątaczką? W fabryce? A w ogóle co to wszystko pana obchodzi?

– Mam przygotować umowę. Perwersyjną umowę. Pan pyta, co mnie to

obchodzi?

– Tylko spokojnie. Irena Gundlach jest dorosła. Cokolwiek pan napisze, a jej mąż i ja podpiszemy, będzie mogła zrobić, co zechce. Kiedy jej powiem, że z nami koniec, i kiedy on jej powie, że znowu należy do niego, będzie mogła mu powiedzieć, żeby się wynosił do diabła, a mnie, że mi nie wierzy. Nie, niech mi pan nie wspomina o perwersyjności. Dwaj mężczyźni wpakowali się w kabałę i chcą jakoś dojść do ładu, ale czy im się to uda, zależy od kobiety. Stara historia. – Wypowiadając ostatnie zdania, już się uspokoił. Był szorstki, ale opanowany. Wstał. – Zgadzam się na wszystkie warunki. Niech on zdecyduje, kiedy i gdzie ma się stać, co się stać musi. Wie pan, jak mnie złapać.

Gdyby dzisiaj klient przyszedł do mnie z takim żądaniem, wyprosiłbym go za drzwi. Wtedy nie wiedziałem, co powiedzieć, więc patrzyłem tylko bez słowa, jak Schwind wychodzi z pokoju.

Czy powinienem porozmawiać z którymś z dwóch seniorów? Szacunek, jakim cieszyłem się w kancelarii, brał się jednak również z tego, że nigdy nie pytałem o radę, wszystkie problemy rozwiązywałem sam. Przyszedł mi na myśl sędzia, u którego zaczynałem jako aplikant i z którym byłem w szczególnie bliskich stosunkach. Domyślałem się jednak, co mi powie.

Zadzwoił telefon: kierownik biura miał na linii Gundlacha. Czyżby Gundlach zatrudnił detektywa, który śledził samochód Schwinda i zameldował, kiedy malarz wszedł do kancelarii i z niej wyszedł?

– Zastanawia się pan, co napisać w tekście umowy. Nie będę się wtrącał, to pańska sprawa. Proszę mi jednak pozwolić na małą wskazówkę, jak to załatwić. Najlepiej, żeby Schwind i Irena przyjechali do mnie. Trochę porozmawiamy, Schwind zanieś obraz do auta, żeby zaraz wrócić po Irenę, ale wyjedzie z obrazem. Kiedy potem wyjaśnię Irenie, że Schwind wymienił ją na obraz, już ona będzie wiedziała, do kogo należy.

– A jeśli nie będzie wiedziała?

Roześmiał się.

– Pozwoli pan, że ja się tym zajmę. Znam ją. Kiedy mnie opuściła, przeżywaliśmy trudny okres, myślała, że prawdziwą miłość znajdzie nie u mnie, tylko u niego. Po wymianie przekona się, że tak nie jest. – Nic nie odpowiedziałem. – Halo? Nie wierzy mi pan i zastanawia się, co się stanie, jeśli Irena się nie przekona. Nie ma obawy, nie zakuję jej w kajdany i nie zamknę w piwnicy. Jeśli będzie chciała takse, to dostanie takse. – Jego głos przybrał władcze brzmienie. – Proszę więc przygotować umowę, dać do podpisu Schwindowi i mnie i wyznaczyć spotkanie.

Rozłączył się.

Zakuć w kajdany i zamknąć w piwnicy? Nie, co to, to nie. A jeśli ją gdzieś uprowadzi? Do swojego domu na wsi albo na wyspę na Morzu Egejskim? Uśpi ją i dziewczyna obudzi się na jego jachcie albo w jego odrzutowcu, a ponieważ zdoła jeszcze tylko zrobić dobrą minę do złej gry, napisze do mnie pocztówkę, że spędza z Gundlachem drugi miesiąc miodowy?

Wyobrażałem sobie rozmowę, szamotaninę i uśpienie. Czy Gundlach zrobi to w pojedynkę? Czy kamerdyner będzie ją przytrzymywał, a w tym czasie Gundlach przycisnie jej do twarzy szmatę nasączoną chloroformem? Zanoszą ją razem do samochodu? Czy Gundlach sam będzie prowadził? Potem przyszedł mi na myśl inny obrót wydarzeń. A jeśli Schwind oszuka Gundlacha? Jeśli opowie jej o wszystkim? Jeśli ona pomoże mu zdobyć obraz, a potem z nim ucieknie? Gundlach nie pozwoli zagrać sobie na nosie i ma ludzi, którzy będą ich ścigać i ukarzą Schwinda, a ją uprowadzą. Albo będzie na nią taki wściekły, że nie każe jej uprowadzić, tylko też ukarać? Wychłostać, zgwałcić, oszpecić? Nie, Schwind musiał wiedzieć, że nie może oszukać Gundlacha. Przyjedzie na wymianę.

Gundlach przeszedł w stan spoczynku zaledwie przed kilkoma laty i kierowanie firmą przekazał córce. Był przedsiębiorcą obdarzonym wielkim talentem, z powodzeniem uprawiał ekspansję do Europy Wschodniej, Ameryki i Chin, doradzał Kohlowi i Schröderowi w kwestiach gospodarczych związanych ze zjednoczeniem Niemiec i gdyby chciał, mógłby zostać przewodniczącym Federalnego Zrzeszenia Przemysłu Niemieckiego. Od czasu do czasu spotykaliśmy się przy towarzyskich okazjach. Nic nie wyszło z obietnicy, że pomyśli o mnie, gdy doprowadzę do transakcji między nim a Schwindem.

Owszem, doprowadziłem do transakcji między Gundlachem i Schwindem, tak jak tego chcieli. Sporządziłem umowę, określiłem w niej warunki przekazania zgodnie z propozycją Gundlacha i posłałem obu panom dokument do podpisu. Przekazanie miało nastąpić w niedzielę o godzinie siedemnastej.

Poza tym postanowiłem ostrzec Irenę Gundlach. Ale czy miałem wezwać ją do kancelarii? Poprosić, żeby przyszła sama? A jeśli jednak Schwind będzie jej towarzyszył? Albo jeśli ona uzna moją prośbę za dziwną i nie przyjdzie? Wiedziałem, gdzie mieszkają ze Schwindem, wziąłem sobie wolny dzień i zaparkowałem auto tak, że miałem na oku wejście do kilkupiętrowej starej kamienicy. Nie musiałem długo czekać; o dziewiątej wyszła z bramy i ruszyła ulicą; podążyłem za nią po drugiej stronie. Pojechaliśmy metrem do śródmieścia i przy tłumnym wysiadaniu nadarzyła się okazja do spotkania, które w wystarczającym stopniu wyglądało na przypadkowe.

– Jak to dobrze, że się spotykamy. Sprawa przybrała nowy obrót i chciałem z panią o tym porozmawiać. Ma pani chwilę?

Czy była tym zaskoczona? Zareagowała spokojnie, uśmiechnęła się i powiedziała:

– Muszę iść na drugą stronę rzeki. Odprowadzi mnie pan?

Przeszliśmy przez Starówkę i przez most, rozmawialiśmy o zmianie

wizerunku miasta, zbliżających się wyborach i pięknej jesieni. Nad rzeką wisiała jeszcze poranna mgła, ale kolorowe liście drzew błyszcząły już w słońcu. Przypomniałem jej, że podczas jej pierwszej wizyty w kancelarii też świeciło słońce i błyszcząły liście.

Usiedliśmy na ławce i opowiedziałem jej o swojej wizycie u Gundlacha, o wizycie Schwinda w mojej kancelarii i o umowie, którą sporządziłem, a oni obaj podpisali. Opowiedziałem jej też o swoich obawach, co Gundlach może jej zrobić, gdyby się zbuntowała i nie wzięła udziału w transakcji. Nie wiedziałem, jak przyjęła moje słowa. Nie patrzyłem na nią. Patrzyłem ponad rzeką na miasto, widziałem, jak mgła rzednie, dzieli się na kłęby i rozprasza. Kiedy zacząłem mówić, miasto było spowite mgłą, kiedy skończyłem, leżało w słońcu.

Gdy w końcu spojrzałem na nią, miała łzy w oczach, więc szybko odwróciłem wzrok.

– Już dobrze – powiedziała głosem, po którym nie dało się poznać, że ma ściśnięte gardło – to tylko parę łez. – Po czym zapytała: – Po co umowa? Co ona im da?

– Myślę, że Gundlach chciał, żeby umowa na piśmie zyskała charakter oficjalny i wiążący, choć nie może mieć mocy prawnej. W dawnych czasach wzywaliśmy Schwinda na pojedynek.

– A pan? Co ta umowa daje panu?

– Gdybym ja jej nie sporządził, Gundlach znalazłby innego adwokata. I wtedy bym nie wiedział, jakie on i Schwind mają wobec pani zamiary.

– Czy panu jako adwokatowi właściwie wolno tak postępować? Najpierw reprezentować jednego z moich dwóch mężczyzn, potem paktować z drugim, a w końcu wszystko opowiedzieć mnie?

– Jest mi to obojętne.

Pokiwała głową.

– A więc w niedzielę... Nie, mój mąż nie ma jachtu ani odrzutowca, nie ma też wyspy. Ale ma dom na wsi. Czy byłby w stanie uspić mnie i wprowadzić? Nie wiem.

– Pani mąż? Nie jest pani rozwiedziona?

– On nie chce, a jego adwokaci opóźniają rozwód.

W jej głosie pojawiła się nuta rozdrażnienia, nie wiedziałem, czy z powodu mojej ciekawości, czy oporu Gundlacha.

– Przykro mi...

– Nie musi pan ciągle przepraszać.

– Ja...

Chciałem powiedzieć, że wcale jej ciągle nie przepraszam, lecz ostatecznie dałem spokój. Siedziałem tak i nie wiedziałem, jak powiedzieć to, co chciałem jej powiedzieć: że chciałbym jej pomóc, że gotów jestem wszystko dla niej zrobić, wszystko poświęcić dla niej, że ją kocham.

– W co ja się wpakowałam z tymi moimi mężczyznami! Jeden chce mnie sprzedać, drugi być może porwać. – Roześmiała się. – A pan? Co pan chce zrobić?

Zaczerwieniłem się.

– Ja... ja brałem udział we wpakowaniu pani w tę kabałę, a teraz chciałbym zrobić, co w mojej mocy, żeby się pani z niej wyplątała. Gdybym mógł pani... gdyby mnie pani...

Popatrzyła na mnie – ze zdziwieniem, wzruszeniem, współczuciem? Nie potrafiłem zinterpretować jej spojrzenia. A potem uśmiechnęła się, przejechała mi ręką po głowie, karku i ramieniu i objęła mnie przelotnie.

– Trafiłam między złych facetów, ale nie jestem stracona. Przybędzie dzielny rycerz i mnie uratuje.

– Żartuje sobie pani ze mnie? Nie chodzi mi o to, że jestem kimś szczególnym. Jestem... Ja cię kocham.

Ja cię kocham – natychmiast zauważyłem, że to „cię” zabrzmiało niewłaściwie. Ale „ja panią kocham” też nie zabrzmiałoby jak trzeba. Przypuszczalnie należałoby trzymać język za zębami, jeśli „ja cię kocham” brzmi niewłaściwie. Ale co w sercu, to na języku. Teraz chciałem zmienić to fałszywe „ja” na właściwe, wyjaśniając jej swoją miłość.

– To się stało, kiedy przyszłaś sama do kancelarii. Mówiłaś o miłości i o tym, kim jest kobieta naprawdę kochana, że jest wtedy kochanką, matką, siostrą, córką, i o szczęściu miłości, które jest tak wielkie, że Bóg nam go zazdrości. Uśmiechałaś się przy tym takim szczęśliwym, bolesnym, mądrym uśmiechem, w którym kryła się obietnica... Nie, niczego mi nie obiecywałaś, nie ma takiej rzeczy, na którą mógłbym się powołać i za którą chciałbym cię przyszpilić, na miłość boską, twoja obietnica była... kosmiczną obietnicą, wiem, mówiłaś o miłości i kobietach par excellence. Ale... dla mnie jesteś kobietą w czystej postaci i kochać cię, i być przez cię kochanym... to byłoby...

– Pssst – ponownie położyła mi rękę na ramieniu i przyciągnęła mnie do siebie – pssst. – Przestałem mówić, miałem nadzieję, że to objęcie nigdy się nie skończy, i zamknąłem oczy. – Jeśli naprawdę chcesz mi pomóc...

– Co? – Otworzyłem oczy. – Co?

– Możesz...

Nie dokończyła, zdjęła rękę z mojego ramienia i usiadła prosto. Ja także się wyprostowałem.

W końcu zaczęła mówić, najpierw z wahaniem, potem coraz bardziej zdecydowanym tonem.

– Kiedy w niedzielę pojedziemy do Gundlacha... Karl nie będzie chciał jechać moim samochodem, tylko swoim vw busem. Mogę... mogę ci dać swoje kluczyki do busa i kiedy my wejdziemy do domu Gundlacha, zakradniesz się do busa i ukryjesz za kierownicą. A gdy Karl wyniesie obraz

z domu, włoży do busa i zamknie drzwi... Chodzi tylko o to, żebyś natychmiast odjechał. Żebyś natychmiast zniknął. Jeśli Karl zdąży otworzyć któreś drzwi i wskoczyć do busa, to po ptakach. Jeśli nie zdąży... Jestem pewna, że Karl pomyśli, że Gundlach go oszukał, wróci do domu, oskarży Gundlacha, a kiedy zaczną się kłócić, będę mogła uciec. Poniżej domu Gundlacha szosa zakręca. Tam kończy się ogród, tam będziesz czekał, przejdę przez mur i wsiądę do busa.

Próbowałem zareagować na jej słowa z takim samym opanowaniem, z jakim ona przedstawiła swój plan.

– Czy Schwind zaparkuje tak, żebyśmy nie musiał najpierw nawracać?

Skinęła głową.

– Zadbam o to. Nie musisz też zaprzętać sobie głowy bramą, zamykana jest dopiero na noc. – Uśmiechnęła się do mnie. – Jeśli ruszysz, gdy tylko drzwi się zatrzasną, i jeśli wybiegnę, gdy tylko obaj moi mężczyźni wezmą się za łby, musi się udać.

Nie chciałem, żeby mówiła o obu swoich mężczyznach, ale nic nie powiedziałem. Wyobraziłem sobie opadający teren przed domem Gundlacha, dojazd od bramy do domu, roślinność, parking. Tak, powinienem jakoś dać radę zakraść się do busa. Nie wiedziałem, co by się stało, gdyby sprawa spaliła na panewce, przekraczałem linię, której nigdy dotąd nie przekroczyłem. Byłem jednak zdecydowany.

– Kiedy dosiędziesz się do mnie, dokąd wtedy pojedziemy?

Przejechała mi jeszcze raz ręką po głowie.

– No właśnie, dokąd?

Co innego mogło to oznaczać niż: do mnie? Byłem szczęśliwy. Stanowiliśmy jedność. Będziemy razem działać, razem zwyciężymy, razem uciekniemy. Nie musieliśmy nawet uciekać, mogliśmy zostać – co miano by zarzucić jej albo mnie? Marzyłem o naszym wspólnym życiu. Czy weźmiemy duże mieszkanie, czy mały dom, czy będzie pracowała w ogrodzie, gotowała, co właściwie będzie robić od rana do wieczora, czy lubi podróżować i dokąd, czy lubi czytać i co, czy...

– Muszę iść.

Wyrwała mnie z moich marzeń i wstała.

Też wstałem.

– Mogę cię odprowadzić?

– To tylko parę kroków. – Wskazała Muzeum Rzemiosła Artystycznego.

– Ty...

– Tam pracuję. Design.

Nagle się przestraszyłem. Piękna kobieta, z którą marzyło mi się życie, miała już życie. Miała pracę, zarabiała lub odziedziczyła pieniądze, miała mężczyzn, Gundlach i Schwind nie byli pomyłką, lecz decyzją. „Design” – powiedziała krótko i węzłowato, jakby nie chciała, żebym wiedział o niej więcej niż potrzeba.

– Kiedy dasz mi kluczyki?

– Wrzucę ci do skrzynki na listy. Gdzie mieszkasz?

Podaliśmy jej adres.

– Musisz zadzwonić, bo skrzynki wiszą w klatce schodowej. Kiedy przyjdiesz?

– Nie wiem. Jeśli cię nie będzie, będę dzwoniła, dopóki mi ktoś nie otworzy.

A potem odeszła. Ruszyła nadbrzeżną promenadą, przeszła na drugą stronę ulicy i zniknęła w budynku muzeum. Kiedy przechodziła przez ulicę

i rozejrzała się, czy nie nadjeżdża auto, mogła obejrzeć się w moją stronę i mi pomachać. Ale się nie obejrzała.

Usiadłem z powrotem na ławce. Miałem iść do kancelarii i zrobić jeszcze jeden dzień pracy z dnia, który ledwo się rozpoczął? Nie miałem ochoty. Kiedy w ogrodzie botanicznym wróciłem pamięcią do tego poranka nad rzeką, zdałem sobie sprawę, że potem już nigdy tego nie zrobiłem: po prostu przebimbałem dzień. Naturalnie z narzeczoną, a potem żoną, a potem z moimi dziećmi bywały dni, kiedy nie pracowałem. Robiłem wówczas jednak to, co byłem winien narzeczonej, żonie i dzieciom i co służyło zdrowiu lub kształceniu, lub wzmocnieniu więzi. Z pewnością były to piękne przedsięwzięcia i przyjemne urozmaicenie. Ale żeby po prostu siedzieć i patrzeć, i mrużyć oczy przed słońcem, i marzyć, godzina za godziną, potem znaleźć restaurację z dobrym jedzeniem i dobrym winem, potem trochę pospacerować i znów znaleźć miejsce do siedzenia i patrzenia, i mrużenia oczu, i oddania się marzeniom – zrobiłem to tylko wtedy, a później dopiero w Sydney.

Zastanawiam się, o czym wtedy marzyłem. Na pewno o życiu z Ireną. Ale na pewno nie tylko. Kiedy teraz myślę o przeszłości, to może i wtedy myślałem o przeszłości. Która może dlatego, że bliski byłem znalezienia swojego szczęścia, zyskała nowe oblicze. Może nie uważałem już dzieciństwa u dziadków za chłodne, tylko za drogę do wolności, nie czułem już na swojej drodze zawodowej presji, tylko dar sukcesu, a w niespełnionych spotkaniach z kobietami nie dostrzegałem już porażki, tylko obietnicę.

Nie skarzę się na to, że jestem stary. Nie zazdrozczę młodzieży, że ma jeszcze życie przed sobą; ja nie chcę go mieć jeszcze raz przed sobą. Ale zazdrozczę jej, że przeszłość, która leży za nią, jest krótka. Kiedy jesteśmy młodzi, możemy ogarnąć swoją przeszłość. Możemy nadać jej sens, nawet jeśli ciągle jest inny. Kiedy teraz spoglądam wstecz, nie wiem, co było ciężarem, a co darem, czy sukces był wart ceny i co się spełniło w moich spotkaniach z kobietami, a czego mi odmówiono.

W piątek znowu poszedłem obejrzeć obraz. W galerii było pełno uczniów i uczennic, nauczycieli i nauczycielek. Lubiłem gwar wielu głosów przekrzykujących się i mówiących jeden przez drugiego; przypominał mi przerwy na podwórzu szkolnym i letnie dni na pływalni. Przed obrazem stało paru nastolatków i dyskutowało o figurze kobiety. Czy biodra nie są za szerokie, uda za grube, stopy za małe i czy brodawki sutkowe są tam gdzie trzeba? Nie stanąłem obok nich, ale stałem dostatecznie blisko, tak że w końcu odebrali moją obecność jako niemiłą i poszli dalej.

Moim zdaniem kobieta nie miała żadnej skazy. Ale nie widziałem jej też takiej, jaką widziałem ostatnim razem. Owszem, była łagodnością, kuszeniem i oddaniem. Nie stawiała już oporu. A jednak tak naprawdę nie zrezygnowała z niego. W ułożeniu głowy, w sposobie zamknięcia oczu i zaciśnięcia ust dostrzegłem ukryty opór, odrzucenie, przekorę. Nigdy nie będzie należała do mężczyzny mającego nad nią władzę. Będzie uczestniczyć w grze. Ale w końcu się odsunie.

Czy już wtedy mogłem to dostrzec, a potem wiedzieć, jak wszystko potoczy się dalej? W salonie Gundlacha bawiłem bardzo krótko, musiałem go słuchać i nie zdążyłem jak trzeba przyjrzeć się obrazowi. A co by było, gdybym mógł mu się przyjrzeć dłużej? Czy wtedy bym to wiedział?

Wieczorem tego dnia, kiedyśmy się spotkali, nie przyszła. Wziąłem więc wolne także następnego dnia; chciałem być w domu, kiedy przyjdzie i przyniesie kluczyki. Poszedłem wcześniej na zakupy i wracając, ze strachem zajrzałem do skrzynki. Nie wrzuciła jeszcze kluczyków. Jestem człowiekiem porządnym, a nawet pedantycznym, toteż nie musiałem sprzątać mieszkania na cześć Ireny Gundlach. Wstawiłem jednak kwiaty do wazonu i ułożyłem w misce owoce. Ponieważ obawiałem się, że może nie lubić pedantów, zrzuciłem z miski na stół kilka jabłek, rozmieściłem na podłodze obok fotela książki i czasopisma, a na biurku rozłożyłem rękopis jakiegoś artykułu.

Przyszła w sobotę. Gdy zadzwoniła, nie wyglądając przez okno, od razu wiedziałem, że to ona, ale nie nacisnąłem guzika, tylko zbiegłem po schodach i otworzyłem bramę budynku.

– Chciałam tylko...

W rękę trzymała kluczyki.

– Wejź na chwilę. Musimy porozmawiać.

Ruszyła przede mną po schodach, szybkim krokiem, patrzyłem na jej stopy w płaskich butach, na jej gołe łydki, jej uda i pupę w obcisłych spodniach, które kończyły się poniżej kolana. Ponieważ drzwi mieszkania zostawiłem otwarte, weszła do środka, powoli, rozejrzała się, ale weszła, jakby to rozumiało się samo przez się. Weszła do dużego pokoju, który wykorzystywałem jako gabinet i salon, najpierw zbliżyła się do okna, popatrzyła na ulicę, potem na biurko i zobaczyła manuskrypt.

– Co piszesz?

– Trybunał Federalny wydał orzeczenie w sprawie prawa autorskiego...

Nie mogłem mówić dalej. Nie wziąłem jej na dole w objęcia i chętnie zrobiłbym to teraz, czułem się jednak tak nie na miejscu, mój uśmiech wydawał się bez wdzięku, ręce za długie, a dłonie za duże, moje ruchy zaś tak kanciaste, że się nie ośmieliłem.

– Prawo autorskie... O czym musimy jeszcze porozmawiać?

– Nie usiądziesz? Napijesz się herbaty albo kawy, albo...

– Nie, dziękuję, zaraz muszę iść.

Usiadła jednak w fotelu, który obłożyłem książkami i czasopismami, a ja usiadłem w fotelu naprzeciwko.

– Kiedy rano pojedę do domu Gundlacha... To bogata dzielnica. Czy moje auto nie rzuci się w oczy, gdy zaparkuję przy jednej z ulic? Czy nie będę się rzucał w oczy, przechodząc jedną i drugą ulicą? Ludzie tam pewnie się znają i zwrócą uwagę na obcego?

– Zostaw auto we wsi, przez którą będziesz musiał przejechać w drodze do Gundlacha. Stamtąd droga zajmie ci pieszo pół godziny, nie więcej. Boisz się?

Popatrzyła na mnie badawczo.

Pokręciłem głową.

– Cieszę się. Że ty i ja... To, co powiedziałem dwa dni temu... Zaatakowałem cię w ten sposób. Chętnie powiedziałbym to znowu, tym razem lepiej, ale obawiam się, że znowu bym cię w ten sposób zaatakował, wolę więc poczekać, aż będziemy mieć cały czas tego świata. Nie, nie boję się.

A ty?

Roześmiała się.

– Że się nie uda? Że zostanę zwymyślana? Że zostanę uprowadzona?

– Nie wiem. Co zamierzasz zrobić z obrazem?

– Nic, dopóki go nie mam. – Wstała. – Muszę iść.

Dokąd, zapytałbym chętnie, i czy ona też mnie kocha albo pewnego dnia pokocha i czy sypia jeszcze z Karlem Schwindem, i jak to będzie w niedzielę, gdy będziemy siedzieć w aucie z obrazem. Nie zadałem jej żadnego z tych pytań. Wstałem i wziąłem ją w objęcia, a ona nie przytuliła się do mnie, ale też nie opierała się, a kiedy oderwała się ode mnie, pocałowała mnie w policzek i pogłaskała po głowie.

– Dobry z ciebie chłopiec.

Naprawdę się nie bałem. Wiedziałem, że zamierzam popełnić wykroczenie i jeśli mnie przyłapią, będę skończony jako adwokat. Było mi wszystko jedno. Irena i ja znajdziemy inne, lepsze życie. Mogliśmy wyjechać do Ameryki, wieczorami bym kelnerował, a w ciągu dnia studiował i wkrótce znowu znalazł się na górze, jako prawnik, lekarz albo inżynier. A jeśli Amerykanie nie chcieliby mieć adwokata z wyrokiem skazującym – to czemu nie do Meksyku? W szkole opanowałem bez trudu angielski i francuski, szybko nauczyłbym się też hiszpańskiego.

Przed zaśnięciem jednak miałem dreszcze i dzwoniłem zębami. Dygotałem, nawet gdy przykryłem się wszystkimi kocami, jakie udało mi się znaleźć. W końcu zasnąłem. Rano obudziłem się zlany potem w łóżku mokrym od potu.

Czułem się znowu dobrze, lekko, a równocześnie rozpierała mnie nieposkromiona siła, której nic nie zdoła się oprzeć. Było to cudowne, jedyne w swoim rodzaju uczucie. Nie pamiętam, czy kiedykolwiek przedtem lub potem czułem się tak dobrze.

Była niedziela. Zjadłem śniadanie na balkonie, świeciło słońce, na kasztanie śpiewały ptaki, a od strony kościoła dobiegały dźwięki dzwonów. Rozmyślałem nad małżeństwem, czy Irena wzięła ślub w kościele i czy chciałaby wziąć ślub kościelny, czy w ogóle Kościół coś dla niej znaczy. Marzyłem o naszym wspólnym życiu we Frankfurcie, najpierw na tym balkonie, potem na balkonie dużego mieszkania przy palmiarni, potem w ogrodzie pod starymi drzewami na drugim brzegu. Potem wyobraziłem sobie, jak stoimy przy relingu statku przewożącego nas przez Atlantykę. Pożegnałem się z wszystkimi, z kancelarią, z miastem, z ludźmi. Było to pożegnanie bez bólu. Wobec dawnego życia odczuwałem tylko uprzejmą obojętność.

Wcześniej wyjechałem, a mimo to przybyłem w porę. W wiosce odbywał się jakiś festyn, centralny plac i główna ulica były zamknięte dla ruchu,

wszystkie pojazdy przeciskały się bocznymi uliczkami. Zaparkowałem przy cmentarzu, odnalazłem drogę przez winnice, którą uznałem za skrót, ale nie okazała się skrótem, w końcu w środku lasu natrafiłem na drogę, która prowadziła do dzielnicy z domem Gundlacha. Kiedy wyprzedziło mnie pierwsze auto, przyszło mi do głowy, że także Schwind mógł obrać tę drogę, a on nie miał prawa mnie widzieć; odtąd podążałem więc za drogą pod drzewami i przez krzaki.

Włożyłem rzeczy nierzucające się w oczy, dzinsy, beżową koszulę, brązową skórzaną kurtkę, okulary przeciwsłoneczne. Kiedy jednak wyszedłem z lasu i znalazłem się w dzielnicy z pustymi jak przy niedzieli ulicami, a czasem z rodziną na tarasie pod parasolem, miałem wrażenie, że wszystkie oczy zwrócone są na mnie, zarówno rodzin na tarasach, jak i te za oknami. Nikt inny nie poruszał się pieszo.

Unikałem drogi przez środek dzielnicy, bo wtedy Schwind mógłby mnie zobaczyć, zabłądziłem w plątaniu krętych uliczek, które biegły równoległe i odchodziły na boki, i dotarłem pod dom Gundlacha parę minut po siedemnastej. Parking przed garażem był pusty. Wcisnąłem się między boks z pojemnikami na śmieci a krzak bzu przy domu naprzeciwko i czekałem. Widziałem dojazd, dom, garaż z dwiema bramami, jedna była otwarta, druga zamknięta, w garażu stał mercedes, a na dróżce dojazdowej leżał w słońcu kot. Na trawniku od strony ulicy opadającym ku domowi rosło kilka młodych sosen, planowałem już, jak przebiegnę zygziem od drzewa do drzewa przez trawnik do auta. Gdyby ktoś przechodził lub ktoś z domu naprzeciwko spojrzał w tę stronę – musiałbym zniknąć za autem tak szybko, żeby nie był pewny, czy rzeczywiście mnie widział.

W bus Schwinda usłyszałem już z daleka; rura wydechowa była zepsuta. Bus nadszedł szybko, pokaszując, terkocząc, skręcił pędem z ulicy na dróżkę dojazdową, spłoszył kota i zahamował gwałtownie przed wejściem. Nikt nie wysiadł, a po chwili bus ruszył do tyłu, zatoczył na parkingu szeroki łuk, wycofał jeszcze raz i w końcu stanął przed wejściem tak, że przed odjazdem nie musiał już zawracać. Potem drzwi z jednej i drugiej strony się otworzyły i wysiedli oboje, ona milcząca, on pomstujący, usłyszałem „co to ma znaczyć” i „ty i twoje pomysły”. Następnie otworzyły się drzwi domu, Gundlach przywitał się z gośćmi i poprosił ich do środka.

Teraz, powiedziałem sobie. Jeśli ktoś zbliżył się do okna, zaintrygowany głośnym autem Schwinda, to teraz wrócił do swoich zajęć. Przebiegłem przez

ulicę, ukryłem się za pierwszą sosną, pobiegłem dalej, potknąłem się, upadłem, podczołgałem się za następną sosnę, wstałem i biegnąc, kulejąc, podskakując na niebolącej nodze, minąłem ostatnie sosny i dotarłem do auta. Otworzyłem drzwi, przykucnąłem na siedzeniu, tak żeby nie można było mnie zobaczyć z zewnątrz, i włożyłem kluczyk do stacyjki. I czekałem.

Noga bolała mnie od upadku, a plecy od kucania w niewygodnej pozycji. Nadal jednak czułem lekkość i siłę poranka i ani przez chwilę nie wątpiłem, że to, co robię, jest właściwe. Potem usłyszałem otwierające się drzwi domu i pomstowanie Schwinda; kamerdyner, który mu pomagał, nie był według niego dość szybki i uprzejmy i nie wykonywał jego poleceń jak należy; nie pasowało mu też, że musi obejść busa i że ma kłopoty z otwarciem drzwi przesuwanych. Udało mu się jednak je otworzyć, utyskując, ułożył obraz w ładowni, zasunął drzwi, a kiedy zamknęły się z trzaskiem, przekręciłem kluczyk w stacyjce.

Silnik natychmiast zapalił, a gdy Schwind pojawił się, co się dzieje, zaczął krzyczeć i bić pięściami w samochód, ja już ruszyłem, a gdy puścił się za mną biegiem, jechałem tak szybko, że zdołał jeszcze co prawda uchwycić i otworzyć drzwi po stronie pasażera, ale nie udało mu się wskoczyć lub choćby zajrzeć do środka. Widziałem w lusterku wstecznym, jak biegnie za busem, maleje coraz bardziej i w końcu się zatrzymuje.

20

Dojechałem do zakrętu poniżej domu Gundlacha. Po chwili wysiadłem i obszedłem bus, otworzyłem i zamknąłem drzwi przesuwne, zamknąłem drzwi po stronie pasażera, których nie udało mi się domknąć po tym, jak Schwind je otworzył. Na obraz nie chciałem patrzeć, nie wiem dlaczego.

A potem stałem i czekałem. Patrzyłem na mur, przez który powinna przejść Irena; mur miał dwa metry wysokości, był otynkowany na biało i miał koronę z czerwonych cegieł. Patrzyłem na gęsty, wysoki żywopłot z iglaków na sąsiedniej posesji, który przylegał do białego muru niczym zielona ściana. Patrzyłem na płot posesji wewnątrz zakrętu: on też był wysoki i w całości porośnięty bluszczem, nieprzystępny jak mur. Widziałem błękitne niebo, słyszałem ptaki w ogrodach i psa w oddali; dookoła panował niedzielny spokój. A mimo to nagle zrobiło mi się ciasno między murami i zacząłem znowu marznąć, jak w nocy, i bałem się, ale nie wiedziałem czego. Że Irena nie przyjdzie?

A potem pojawiła się Irena. Siedziała na murze, jasna, świetlista, roześmiana, zebrała włosy, wsunęła je za uszy i zeskoczyła. Wziąłem ją w objęcia i pomyślałem, że teraz wszystko będzie dobrze. Byłem szczęśliwy i myślałem, że ona też jest. W rzeczywistości była zdyszana, pozwoliła, bym ją potrzymał, dopóki nie uspokoji oddechu, pocałowała mnie przelotnie i powiedziała:

– Musimy jechać.

Ona chciała prowadzić. A ponieważ w wiosce był festyn i mogliśmy utknąć w korku, a wtedy pościg mógłby nas dogonić, lepiej było przed wioską skręcić w kierunku gór i zatoczyć koło, po czym wjechać do miasta od wschodu. A ponieważ tamci nie powinni znaleźć w wiosce mojego auta, miałem przed wioską wysiąść i pojechać swoim autem do miasta.

– Po czym mieliby poznać moje auto?

– Nie będziemy ryzykować.

– Ryzykować? Kiedy pójdę na wiejski festyn, napiję się wina, zostawię auto i wezmę taksówkę do miasta?

– Zrób to dla mnie, proszę, po prostu poczuję się lepiej.

– Kiedy się zobaczymy? Co z twoimi rzeczami? Nie powinniśmy po nie pojechać? Przed powrotem Schwinda? I zabrać obraz z auta, odstawić je gdzieś, zanim on zgłosi na policji...

– Pssst. – Położyła mi dłoń na ustach. – Będę uważać. A tych paru rzeczy, które są u niego, nie potrzebuję.

– Kiedy przyjdiesz?

– Później, kiedy będę gotowa.

Wysadziła mnie przed wioską, pocałowała mnie na koniec, a ja wziąłem swoje auto i pojechałem do domu. Objazd, zawieszenie obrazu w miejsce, które musiała mieć przygotowane, a którego nie chciała mi zdradzić, odstawienie vw busa, wzięcie taksówki – zanim zjawi się u mnie, mogą upłynąć dwie godziny. Jednak jeszcze przed ich upływem ogarnął mnie niepokój; chodziłem po mieszkaniu tam i z powrotem i co rusz wyglądałem przez okno, zrobiłem herbatę i zapomniałem wyciągnąć liście z dzbanka, przy następnym dzbanku przydarzyło mi się to samo. Jak zamierzała poradzić sobie z obrazem? Czy nie był o wiele za ciężki? Czy ktoś jeszcze jej pomagał? Kto? A może jednak dała radę go unieść? Dlaczego mi nie ufała?

Po dwóch godzinach znalazłem wytłumaczenie, dlaczego jeszcze jej nie ma, znalazłem je też po upływie trzech i jeszcze jedno po czterech. Przez całą noc znajdowałem wytłumaczenia i próbowałem uspokoić strach, że coś jej się stało. Za pomocą tego strachu próbowałem wyprzeć inny strach: że nie przyjdzie, bo nie chce przyjść. Strach, że coś jej się stało – tak boją się o siebie kochankowie, przyjaciel o przyjaciela, matka o dziecko.

W tym strachu byłem blisko Ireny, a kiedy, nim zaświtał ranek, obdzwaniałem szpitale i komisariaty policji, było dla mnie samo przez się zrozumiałe, że podaję się za jej męża.

O świcie zrozumiałem, że Irena nie przyjdzie.

21

W poniedziałek zadzwonił Gundlach.

– Możliwe, że słyszał pan już od Schwinda. Dla porządku chcę jednak potwierdzić. Moja żona zniknęła i obraz także. Moi ludzie ustalą, czy Schwind prowadził ze mną podwójną grę. Tak czy owak, nie potrzebuję już pańskich służb.

– Nigdy nie pozostawałem w pańskich służbach.

Roześmiał się.

– Jeśli tak pan uważa – powiedział i się rozłączył.

Kilka tygodni później dostałem od niego wiadomość, że nie ma dowodu na to, że Schwind prowadził podwójną grę. Uznałem, że powiadamiając mnie, zachował się porządnie. Schwind nie dawał znaku życia.

Ustaliłem, że po dniu, w którym spędziliśmy ze sobą poranek, Irena nie pracowała już w Muzeum Rzemiosła Artystycznego, chociaż jej wolontariat nie dobiegł jeszcze końca. Ustaliłem również, że oprócz mieszkania czynszowego, w którym mieszkała ze Schwindem, ma ponadto mieszkanie własnościowe, o którym nie wiedzieli nawet jej przyjaciele i przyjaciółki – swoją kryjówkę. Sąsiedzi nie przypominali sobie, kiedy widzieli Irenę po raz ostatni; było to dawno temu.

Byłem dotknięty do żywego, smutny, wściekły. Tęskniłem za nią, a gdy otwierałem swoją skrzynkę, to czasami myślałem, że wśród poczty znajdzie się może list albo kartka od niej. Ale Irena nie pisała.

Pewnego razu, dwa lata później, myślałem, że ją widzę. Na Westendzie w pobliżu kancelarii był dom zajęty przez studentów, a następnie opróżniony przez policję. Zawiązała się demonstracja, w której wzięło udział wiele tysięcy osób, a jej trasa prowadziła obok kancelarii. Stałem wtedy przy oknie i patrzyłem na ulicę w dole. Dziwiłem się, jacy radośni są demonstranci – skoro wypędziła ich na ulicę rzekoma niesprawiedliwość. Jak radośnie wyciągają w górę pięści, jak dumnie wykrzykują swoje hasła, jak się śmieją,

kiedy biorą się pod łokcie i zaczynają biec. Nie było wśród nich złych twarzy, ojcowie niosący dzieci na barana i matki prowadzące dzieci za rękę, dużo młodzieży, uczniów i studentów, paru robotników w kombinezonach, jeden żołnierz w mundurze, jeden mężczyzna w garniturze i krawacie. A potem zobaczyłem ją – lub wydawało mi się, że ją widzę – i wypadłem z biura na ulicę. Biegłem obok pochodu i próbowałem ją wypatrzeć, parę razy mi się wydawało, że ją mam, ale to nie była ona, a potem znalazłem twarz podobną do jej twarzy, i pomyślałem, że to ta twarz mnie zmyliła, kiedy patrzyłem przez okno, i chciałem zrezygnować, ale nie zrezygnowałem i szukałem dalej. Dopóki część demonstrantów nie wdarła się do pustego budynku i go zajęła, a wtedy nadciągnęła policja i sytuacja się zaostrzyła.

Rany w końcu się zabiłiły. Nigdy jednak nie lubiłem wracać myślą do sprawy z Ireną Gundlach. Zwłaszcza gdy zrozumiałem, jak bardzo się ośmieszyłem. Jak mogłem nie widzieć, że coś, co zaczęło się od kłamstwa, nie skończy się dobrze, że moje miejsce nie jest za kierownicą kradzionego auta, że kobiety, które uciekają od mężów i kochanków, nie są dla mnie, że dałem się wykorzystać. Widziałyby to każdy człowiek zdrowy na umyśle.

Całą śmieszność, całą niezręczność swojego zachowania odczuwałem szczególnie intensywnie, kiedy przypominałem sobie, jak czekałem u stóp muru i roztrząsałem, czy Irena przyjdzie i mnie zechce, czy też nie będzie mnie chciała i nie przyjdzie – czekałem w okularach przeciwsłonecznych, wstrząsany dreszczami i wystraszony, i jak ją objąłem i byłem szczęśliwy, i myślałem, że ona też jest szczęśliwa. Wspomnienia te stały się dla mnie fizycznie nieprzyjemne.

Wciąż pocieszałem się myślą, że gdybym tutaj nie zapędził się w kozi róg, to małżeństwo z moją żoną nie byłoby tak udane. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, mawiała moja żona.

Przeszłości nie da się zmienić. Już dawno się z tym pogodziłem. Trudno tylko pogodzić mi się z tym, że z przeszłości wciąż nie wynika żaden sens. Może i z każdego złego wychodzi jakieś dobro. Ale może i każde zło jest tylko złem.

W sobotę popłynąłem łodzią na koniec zatoki, do zielonego pasa lądu, za którym rozciąga się otwarte morze. Nie żebym miał dość ogrodu botanicznego. Pomyślałem, że dzień w dzień nie muszę się ograniczać do tego małego kręgu życiowego. Podczas urlopów nigdy też nie zadowalałem się leżeniem w słońcu na plaży, ale zawsze zwiedzałem okolicę i miejsca nad morzem wybierałem tak, żeby w pobliżu było co zwiedzać.

Trasa wycieczki prowadziła obok małej wyspy, dawno temu ufortyfikowanej na wyimaginowaną wojnę z wyimaginowanym wrogiem, obok kołyszących się na falach szarych i pordzewiałych okrętów wojennych, obok domów nad wodą, w których życie musiało być łatwe i pogodne, obok lasów, a czasami obok plaż i portów jachtowych. Słońce, wiatr, zapach morza – poranek był radosny, podczas rejsu dzieci niezmordowanie biegały z przedniego pokładu na rufowy i z powrotem na przedni, gdzie wiatr, który dmuchał im w twarz działał szczególnie podniecająco. Ja marłem, ale byłem zbyt dumny, żeby siedzieć w kabinie ze starymi ludźmi.

Kiedy łódź przybiła do brzegu i wysiadłem, a następnie podszedłem przez małe wzniesienie do morza, nie wyglądało ono inaczej niż Atlantyck czy Pacyfik. Poruszyło jednak moją wyobraźnię, że rozciąga się ono stąd w jednym kierunku po Chile, w drugim zaś po Antarktydę. Poczułem rozległość i głębię, a wtedy błękit morza od razu pociemniał, a fale, które łagodnie wtaczały się na plażę, przybrały groźniejszy wygląd.

Szedłem wzdłuż plaży, dopóki nie zmęczyła mnie szosa i ruch przejeżdżających wciąż obok pojazdów, a wtedy wróciłem do punktu wyjścia, gdzie można było wypożyczyć leżaki i parasole plażowe. Znów miałem w plecaku butelkę czerwonego wina, parę jabłek i książkę o historii Australii.

Historia Australii jest krótka, więc książka szybko dotarła do współczesności i zaczęła opowiadać o klimacie i bogactwach naturalnych, rolnictwie, przemyśle i handlu zagranicznym, komunikacji, kulturze i sporcie,

szkołach i uniwersytetach, kuchni, konstytucji i administracji, gęstości zaludnienia i rozwoju demograficznym, mobilności geograficznej i społecznej, strukturze zawodowej i spędzaniu czasu wolnego, o mężczyznach i kobietach, i wskaźnikach rozwodów.

Ilekoć jestem w jakimś obcym kraju, zadaję sobie pytanie, czy byłbym w nim szczęśliwy. Kiedy chodzę ulicami i widzę ludzi, jak stoją na rogu w grupkach i śmieją się, i rozmawiają, myślę, że gdybym tam mieszkał, to też stałbym teraz z innymi na tym rogu i się cieszył. Ilekoć mijam ogródek kawiarniany i jakiś mężczyzna podchodzi do stolika, przy którym siedzi kobieta, i oboje witają się uradowani, myślę, że i ja tutaj spotkałbym się jeszcze raz z kobietą, która cieszyłaby się na spotkanie ze mną, a ja na spotkanie z nią. A gdy wieczorami zapalają się światła w oknach! Każde okno obiecuje zarazem wolność i bezpieczeństwo, wolność od dawnego życia i bezpieczeństwo w nowym. Teraz sama lektura wzbudziła we mnie tęsknotę za innym życiem w innym świecie.

Nie żebym czuł się przykuty do swojego życia. Moja żona i ja stanowiliśmy zgrany zespół, w którym każde z nas miało swój zakres wolności. Ona mogła pracować, gdyby chciała; moglibyśmy sobie pozwolić na opiekunkę do dzieci. Ale nie chciała, a bez jej zaangażowania dzieci nie byłyby tym, kim są, i możliwe, że ja też. Kiedy potem postanowiła przejść do polityki komunalnej, bez moich wpływów nie zaszłaby tak daleko, jak zaszła. Nie, nie byłem przykuty. Nie mógłbym z dnia na dzień zostawić wszystkiego, domu, rodziny i kancelarii, i gdzie indziej zacząć od nowa. Ale koledzy i przyjaciele, którzy kiedyś porzucili małżeństwo i zawód i znaleźli nową, młodszą żonę i inny, nowocześniejszy zawód, trzydziestodwuletnią organizatorkę eventów zamiast pięćdziesięcioletniej gospodyni domowej oraz zatrudnienie w charakterze mediatora i terapeuty zamiast posady adwokata, po kilku latach byli w nowym życiu tam, gdzie pozostawili stare, kłócili się z żoną i mieli po dziurki w nosie swojej pracy. Nie. Nie byłem przykuty do swojego życia, wybrałem je z rozważą i z rozważą się go trzymałem. Nie jest też tak, że nie mogłem znaleźć nowej, młodszej żony. Nie jestem przystojniakiem, ale utrzymuję niezłą formę, mogę sobie pozwolić na to i owo i zaoferować to młodszej kobiecie. Ale nie chciałem.

To dziwne, jak nieuchronnie, a równocześnie przypadkowo przebiegało moje życie. Decyzja o wyborze zawodu, decyzja o małżeństwie, decyzja o dziecku i jeszcze jednym, i kolejnym, decyzja o dużej kancelarii – wszystko

to wynikło samo z siebie. Decyzja o wyborze zawodu wynikała z przekory, ożeniłem się, bo nie było powodu, żeby się nie żenić, ta pierwsza doprowadziła potem do dużej kancelarii, a druga do trojga dzieci.

W poniedziałek zadzwonił do mnie szef firmy detektywistycznej. Czy jestem jeszcze w Sydney? Czy nie zajrzałbym do biura? W cztery oczy lepiej się przecież rozmawia niż przez telefon.

Spędziłem niedzielę w pokoju hotelowym. Nie wiem, dlaczego w nocy z soboty na niedzielę nie mogłem spać, dlaczego oglądałem filmy, które były do obejrzenia za opłatą, filmy akcji, romans i komedię rodzinną oraz film pornograficzny, dlaczego popijałem do tego whisky, skoro zwykle pozostaję przy piwie i winie. To tak, jakbym chciał się upić. W każdym razie kiedy obudziłem się rano, byłem pijany. Pozostałem w łóżku i drzemałem przez cały dzień. Zamierzałem zadzwonić do dzieci, ale najpierw było za wcześnie, a potem za późno.

Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek był pijany, a tym bardziej żebym kiedykolwiek celowo się upił. Naturalnie miałem czasem do czynienia z pijanymi; mój partner Karchinger, wychowany przez matkę w aurze nadreńskiej wesołości, potrafił golnąć o jednego za dużo, posunąć się za daleko i molestować praktykantki podczas wycieczek zakładowych. Z tego powodu zawsze patrzyłem na niego trochę z góry. Na swoją żonę także patrzyłem trochę z góry, kiedy była pijana. Wprawdzie nie wchodziło w rachubę, żeby była alkoholiczką z powodu określonych cech charakteru lub warunków życia; po wypadku oświadczyłem to jasno i wyraźnie nie tylko policji, lecz także dzieciom, które nawet czyniły mi wyrzuty, jakby nie pognębił mnie dostatecznie wstrząs w moim życiu spowodowany jej śmiercią – ale dawniej czasami czułem od niej alkohol, a nogi i język jej się plątały. Gdy w takim stanie wracała w nocy do domu, sypiałem w swoim gabinecie. Nie mogłem znieść jej głośnego chrapania.

Kiedy pod wieczór wreszcie wstałem, było mi wstyd. Poszedłem do sali gimnastycznej, pobiegałem na bieżni domowej i podnosiłem ciężary. Byłem sam i najpierw znalazłem przycisk wyłączający muzykę, a potem drugi

podnoszący żaluzje. Z tej perspektywy nigdy dotąd nie widziałem portu i zatoki. Niebo było ciemne, pełne chmur, które układały się w góry, całe pasma górskie. Od czasu do czasu migwały błyskawice, raz przed chmurami, raz za nimi, czasami widziałem jakby drżący napis, innym razem zielonkawy lub niebieskawy albo biały brzeg chmury. Po czarnym morzu tańczyły białe spienione grzbiety fal; nic nie pływało, żadne łodzie ani statki.

Wziąłem prysznic, zjechałem windą do lobby i wyszedłem przed hotel. Ulice także, podobnie jak zatoka, były puste. Przejechała karetka pogotowia na syrenie z migającymi światłami, jakby burza pochłonięła już pierwszą ofiarę. Poza tym panowała cisza. Ani śladu wiatru. Wysokie fale na morzu – ale to nie sztorm je wzburzał, tylko jakby morze się gotowało.

Spokój przed burzą działał na mnie przytłaczająco, a kiedy burza wreszcie nadciągnęła, odczułem to jak wyzwolenie. Wicher pędził przez ulice i plac przed hotelem, unosząc przed sobą papiery i kubki, plastikowe torby i puszki – wirujące kłęby, które nawzajem się goniły i chciały prześcignąć. Powietrze się ochłodziło, a potem posypał się lód z nieba, bryłki gradu, które głośno uderzały w dach przed wejściem, jakby chciały go rozerwać. Cofnąłem się do lobby i obserwowałem, jak grad pokrywa plac i ulice – biała warstwa utrzymywana w ciągłym ruchu przez kolejne uderzające grudki.

Obsługa i goście hotelu rozmawiali o wielkiej burzy gradowej w 1999 roku, o milionach bryłek gradu, ich średnicy, o wyrządzonych szkodach, ofiarach. To, co obserwowałem, było tylko małą burzą gradową.

Kiedy grad ustał i zaczął padać deszcz, wyszedłem na zewnątrz. Lało jak z cebra i po kilku minutach przemokłem do nitki, czułem nieprzyjemny chłód. Ale człapanie po roztopianych przez deszcz bryłkach gradu, brodzenie z pluskiem po rozpryskującej się wodzie sprawiało mi taką przyjemność, że nie przeszkadzały mi mokre, zimne stopy ani ból w boku, kiedy się poślizgnąłem i upadłem. Wstałem i poszedłem do portu, gdzie deszcz, morze, ląd i niebo zlewały się w jedno. Był to imponujący spektakl. Jak potop.

Potem zrobiło mi się nieprzyjemnie z powodu zimna i wilgoci i wróciłem do hotelu. Zakończyłem niedzielę rozsądnie, a potem spałem spokojnie i rozsądnie zacząłem poniedziałek. Kiedy zadzwonił szef firmy detektywistycznej, wziąłem taksówkę i pojechałem do niego.

Sekretarka zaprowadziła mnie do jego gabinetu; wyszedł zza biurka, przywitał się ze mną, zaproponował mi krzesło przed biurkiem i wycofał się na swoje miejsce. Był taki, jak sobie go wyobrażałem: starszy pan z brzuchem i łysiną. Jak zawsze na widok pana w moim wieku z brzuchem i łysiną poczułem dumę, że nie mam brzucha ani łysin.

– Znaleźliśmy ją.

Rozsiadł się wygodnie i czekał na wyrazy uznania.

Znam to od kolegów. Robią to, co mają robić, co im zlecono, za co są opłacani, i nie potrafią po prostu dostarczyć pracy, tylko chcą być głaskani i dopieszczani. Czasem zresztą próbują jeszcze trzymać klienta w niepewności i chcą, żeby wyciągać od nich to, co mają dostarczyć, jak muchy z nosa. Kolegom w mojej kancelarii wybiłem z głowy takie przywary. Szefowi firmy detektywistycznej nie mógłbym ich wybić z głowy. Skinąłem z uznaniem i zapytałem w napięciu:

– Gdzie jest?

– To nie było takie proste. Wprawdzie mieszka tutaj od dwudziestu lat, ale... – Zrobił przerwę, pokręcił głową i dopiero gdy powtórzyłem pytającym tonem „ale”, kontynuował: – Ale przebywa nielegalnie. Wjechała jako turystka i niczym się nie przejmowała, zezwoleniem na pobyt, pozwoleniem na pracę, przyznaniem obywatelstwa, ubezpieczeniem chorobowym, niczym. Nie prześledziliśmy, gdzie była przez te dwadzieścia lat i co robiła. Dzisiaj mieszka na wybrzeżu, na północ stąd, cztery godziny drogi. Musi mieć pieniądze w Niemczech, płaci niemiecką kartą kredytową. To dlatego prześlizgnęła się przez wszystkie sita. Gdyby tu pracowała i otworzyła konto bankowe, i zamówiła kartę kredytową, musiałaby przedłożyć papiery, których nie ma.

– Pod jakim nazwiskiem przebywa tutaj?

– Irena Adler. To jej nazwisko panięńskie i imię, które dobrze brzmi

w obydwu językach, i po angielsku, i po niemiecku. Podobno jej angielski jest perfekcyjny.

– Co pan wie o jej kontaktach z Art Gallery?

– Zaproponowała swój obraz kuratorowi, a ten przyjął propozycję. Zbadał sprawę i nie dopatrzył się żadnych problemów. Obraz jest wymieniony w katalogu wczesnych dzieł Karla Schwinda, nie ma go na ogólnoświatowej liście skradzionych obrazów. Tymczasem inne muzea sygnalizują już zainteresowanie, a „New York Times” opublikuje w tym tygodniu duży artykuł o odnalezionym arcydziele.

Wszystko to brzmiało tak, jakby jego detektywi znaleźli w galerii sztuki kogoś, kto nadużył zaufania kuratora i zajrzał do jego akt, jakby potem mieli wgląd w akta urzędu imigracyjnego, a w końcu trochę się rozejrzeli i nadstawili ucha w miejscu zamieszkania Ireny Gundlach. Spodziewałem się czegoś więcej. Miałem nadzieję, że dowiem się, jak żyła, jak teraz żyje, kim jest teraz. Jednocześnie wiedziałem, że ta nadzieja jest głupia; pytałem tylko o to, czy obraz należy do niej i czy Irena mieszka w Australii.

Dostałem adres, Red Cove w Rock Harbour, podziękowałem i zapłaciłem. W drodze do hotelu kupiłem kilka par bawełnianych i płóciennych spodni, szorty i koszule. Hotel wynajął dla mnie samochód; kiedy się spakowałem i zapłaciwszy, również tutaj podziękowałem, ruszyłem w drogę.

Do Rock Harbour mogłem dotrzeć właściwie jeszcze w poniedziałek. Gdy poradziłem sobie z paroma trudnymi sytuacjami przy skrętach i na zjazdach oraz przy wyprzedzaniu i przyzwyczailem się do ruchu lewostronnego, jechałem jak na skrzydłach najpierw sześciopasmową autostradą, a potem dwupasmową szosą, która raz w większej, raz mniejszej odległości prowadziła wzdłuż wybrzeża. Dopóki nagle nie opuściła mnie odwaga.

Zjechałem na skraj szosy, zatrzymałem się i wysiadłem. Czego ja szukałem u Ireny Gundlach alias Adler? Chciałem jej powiedzieć, że nadal jestem urażony? Powiedzieć jej w końcu osobiście, co wtedy powiedziałem jej w myśli? Że nie wolno ludzi wykorzystywać, a potem porzucać? Że byłem dla niej zbyt naiwny i niezręczny, ale ją kochałem, i że nie wolno bawić się miłością drugiego człowieka? Że mogła przynajmniej napisać do mnie list, podać wyjaśnienie i złagodzić urazę?

Tylko bym się ponownie ośmieszył. Wszystko to było czterdzieści lat temu i uznałaby za śmieszne, że przeszłość nie wypuszcza mnie ze swoich szponów. Ja sam uważałem za śmieszne, że Irena nadal jest taka żywa w mojej pamięci. Czułem się, jakbym wczoraj siedział z nią na ławce nad Menem, jakbym wczoraj czekał na nią przy vw busie, jakby wczoraj wysadziła mnie przed wioską. I jakbym, siedząc z nią na ławce, znowu był tym, kim byłem wtedy.

Czy tak dzieje się z rzeczami, które nie dobiegły końca? Ale rzeczy nie dobiegają końca, one są doprowadzane do końca. Powinienem był doprowadzić do końca ówczesny epizod, powinienem nadać mu sens. Że gdyby nie Irena, z moją żoną nie ułożyłoby mi się tak dobrze – chciałem to sobie wmówić, ale tak nie było. Odłożyłem ad acta lata szkolne i czas studiów uniwersyteckich, nieżyjącą matkę i ojca, który odwiedził mnie jeszcze parę razy u dziadków, a potem przeniósł się do Hongkongu i tam zmarł – jako coś, co było takie, jakie było, i nie mogło być inne. Dlaczego coś we mnie upierało się, że z Ireną mogło potoczyć się inaczej, niż się potoczyło?

Zatrzymałem się na wzniesieniu. Na zachód rozciągały się góry pokryte zaroślami i krzakami, a na nich proste karłowate drzewa, proste drzewa o jasnych pniach, bez kory, jakby nagie, jakby chore. Na wschodzie, za podwójnym pasem grzbietów górskich, zaczynało się morze. Przeszedłem na drugą stronę szosy i usiadłem na nasypie. Morze nie było jednolite, ale szare i niebieskie, gładkie i chropowate. W oddali płynęły właśnie dwa statki, a mimo to wydawało się, że stoją w miejscu.

Jakbym sam odbywał rejs i stał w miejscu – tak się czułem. A potem powiedziałem sobie, że tylko mi się wydaje, że te statki stoją w miejscu. Może i ja ruszyłem z miejsca, choć wcale mi się tak nie wydawało. Przypomniały mi się miejsca na moim garniturze, z których nie mogłem usunąć plam, i chcąc nie chcąc, roześmiałem się. Poplamione miejsca, które dawniej by mnie przerażyły, a od popołudnia w ogrodzie botanicznym przestały przerażać! A więc jednak ruszyłem z miejsca. Gdybym ośmieszył się przed Ireną Gundlach alias Adler, byłaby to tylko plama, taka jak na moim garniturze.

Świeciło słońce. Pachniało sosną i eukaliptusem. Wydawało mi się, że czuję także zapach odległego morza, słaby, wilgotny, słony powiew. Słyszałem dzwonięcie cykad, a czasem dobiegał z doliny jazgot silnika jakiejś piły. Nie, przestanę się przejmować. Następnego dnia pojedę do Rock Harbour, a dziś znajdę jakiś hotel nad morzem i na tarasie będę się przyglądał widowiskowemu zapadnięciu nocy. Bo w Australii jest tak, że jeszcze przed chwilą był dzień, w ciągu niewielu minut jasne, błękitne niebo przybiera granatową barwę, potem robi się czarne i zapada noc.

26

Rock Harbour miało cztery ulice, mały port z paroma jachtami i łodziami, sklep połączony z kawiarnią i okienkiem pocztowym, biuro nieruchomości i żelaznego żołnierza na żelaznym cokole, pomnik upamiętniający poległych w wojnach światowych oraz koreańskiej i wietnamskiej. Objechałem ulice, które świeciły pustką, ale nie z powodu wczesnej pory, jak początkowo myślałem, lecz dlatego że do domków letnich nie przyjechali jeszcze letnicy. Nie znalazłem ulicy ani domu o nazwie „Red Cove”, wszedłem więc do sklepu i zapytałem.

– Chce się pan dostać do Airien? – Mężczyzna o białej skórze, białych włosach i czerwonych oczach siedzący na stołku obok kontuaru odłożył książkę i wstał. Airien? Irena, trzy krótkie sylaby, trzy jasne samogłoski, trzy dźwięki piosenki, trzy kroki walca: imię, które chce być śpiewane, tańczone. „Airien” ciągnie się jak wymamlana guma do żucia. – Mieszka godzinę drogi stąd. Ma pan łódź?

– Jestem sa...

– Można tam dotrzeć tylko łodzią. Może pan też zaczekać na nią tutaj, ale przy pływa co dwa tygodnie, a była tu wczoraj. Zadzwoń też się nie da, bo nie ma u niej zasięgu.

– A są statki kursujące wzdłuż wybrzeża...

Roześmiał się.

– Linia żeglugi przybrzeżnej? Nie, nie ma. Mój chłopak może tam pana zawieźć łodzią. Może też po pana przy płynąć, jeśli pan wie, kiedy chce pan być odebrany.

– Zadzwoń, kiedy...

– Nie, zadzwonić się nie da.

– Czy pański chłopak może mnie od razu tam zawieźć? I dziś wieczorem po mnie przy płynąć?

Tym razem mężczyzna pozwolił mi dokończyć.

Skinął głową i poprosił, bym zaczekał na jego syna Marka przy jednym ze stolików pod zadaszeniem. Usiadłem i usłyszałem, jak telefonuje, potem przyniósł dwa piwa, usiadł obok mnie i się przedstawił. Wcześniej mieszkał w Sydney, ale miał dość życia w mieście i siedem lat temu przeniósł się tutaj. Kochał morze, spokój, budzenie się małej miejscowości na sezon, harmider letnich miesięcy, okres posezonowy, kiedy artyści i pisarze chętnie wynajmowali tanie lokum na parę tygodni, powrót spokoju. Wszyscy przychodzili do niego, młode rodziny, dziadkowie, nastolatki, artyści.

– Ale życie tam, gdzie ona żyje, to nie byłoby dla mnie. Jest tam pięknie. Ale samo piękno... jak okiem sięgnąć żywej duszy... Co pana do niej sprowadza?

– Dawnośmy się nie widzieli.

– Rozumiem. – Zaśmiał się. – W przeciwnym razie byśmy się już spotkali. Kiedy widział ją pan ostatnio?

– Wiele lat temu.

Zadowolili się tą odpowiedzią. Przyszedł Mark, zaprowadził mnie do łodzi, staroświeckiego barkasa, zapuścił silnik i odbił od brzegu. Stał w kajucie i sterował, ja siedziałem na ławce przed kajutą i wystawiałem twarz na słońce i wiatr. Wszystkie przybrzeżne góry i zatoki wyglądały podobnie, łódź podnosiła się łagodnie, miarowo, i opadała z pluskiem na wodę, tak samo spokojnie i miarowo turkotał silnik. Zasnąłem.

Część druga

1

Obudziłem się, kiedy Mark wyłączył silnik. Łódź wpłynęła do zatoki i zbliżała się do mola. Tuż przed dopłynięciem do niego Mark włączył jeszcze raz silnik, skierował łódź ku końcowi mola i przybił do pomostu.

– Dziś wieczorem o szóstej?

– Tak.

Wyskoczyłem z łodzi. Mark odbił od brzegu i odpłynął. Patrzyłem za nim, dopóki nie znalazł się na końcu zatoki i nie zniknął z oczu. Wtedy się odwróciłem.

Dom przy plaży był jednopiętrowy, z kamienia, zadaszenie werandy podtrzymywały kamienne filary, a główny dach kryty był kamiennymi cegłami. Wyglądał tak, jakby stał tu już od dawna i chciał tu pozostać. Jakby kultura i cywilizacja zdobyły za jego sprawą miejsce pośród dziczy, które zamierzają utrzymać i obronić.

Kiedy zbliżałem się do niego, zobaczyłem jeszcze jeden dom, drewniany, dwupiętrowy, wkomponowany w zbocze w ten sposób, że wzrok wybiegał daleko w morze, ukryty między drzewami, tak że nie było go widać z oddali. Jak ostatecznie jeden dom stał na plaży, tak drugi tymczasowo wisiał na zboczu. Dolna kondygnacja opierała się na pniach, które stały tak krzywo, że można się było przestraszyć na sam widok. Dach i balkon zwisały, a niektóre ramy okienne były tak wypaczone, że na pewno nie dałoby się ich domknąć. Wszystkie okna i drzwi były pootwierane. W jednym z okien trzepotała zasłona.

Drzwi domu przy plaży były zamknięte. Zapukałem, odczekałem i w końcu wkroczyłem do środka. Znalazłem się w dużym pomieszczeniu ze starym żelaznym piecem i starą żelazną kuchenką, kredensem, stołem i paroma krzesłami, po czym przez drzwi w środku przeszedłem do drugiego, małego pokoiku z łóżkiem, nocnym stolikiem i szafą. Pomieszczenia wyglądały na niezamieszkałe – czyżby Irena pomieszkiwała w ciepłej porze roku na górze,

a tutaj tylko w zimnej? Z dużej izby kolejne drzwi prowadziły za dom, do pompy wodnej i wychodka.

Podniosłem wzrok na drugi dom. Nic się nie zmieniło, wszystkie okna i drzwi nadal były otwarte, a zasłona furkotała na wietrze. Czułem, że na górze także Ireny nie znajdę. Mógłbym chodzić od pokoju do pokoju, wołać „Irena”, zobaczyć, jak mieszka, wyciągnąć wnioski, jak żyje, ale nie chciałem tego robić. Na zboczu zbudowała taras i założyła ogródek z główkami sałaty, tyczkami fasoli, krzakami pomidorów i malin. Który trzeba było podlewać.

Nagle wszystko wydało mi się bez życia. Opuszczone. Jakby ktoś, kto tutaj mieszkał, wyjechał w pośpiechu, żeby już nie wrócić. Choćby wiatr w domu hulał, deszcz wdzierał się do pokoi, choćby podłogi zgniły i filary się połamały. Trzepocząca zasłona kojarzyła mi się ze zdjęciami ruin, na których było widać, że bomba oderwała bok budynku, odsłaniając mieszkania z meblami, obrazami i zasłonami.

Słońce zniknęło za chmurami, od morza wiał chłodny wiatr, szara woda w zatoce wydawała się zimna. Włożyłem sweter, który wcześniej tylko przewiesiłem przez plecy, ale nadal marzłem. Na łóżku znalazłem wełniany koc o stęchłym zapachu, otuliłem się nim, usiadłem na ławce pod zadaszeniem, oparłem głowę o ścianę i czekałem.

2

Nie słyszałem, jak podpływa łódź Ireny, bo zasnąłem znowu. Irenę usłyszałem, dopiero gdy siedząc obok mnie, powiedziała:

– Mój dzielny rycerz!

Nie otwierałem oczu. Jej głos miał takie samo brzmienie jak wtedy, ciemne i dymne, i jak wtedy nie za bardzo wiedziałem, co w nim pobrzmiewa. Czyżby naśmiewała się ze mnie? Już chciałem zareagować oburzeniem, ale przecież nie wypadało zaczynać od oburzenia.

– Dzielny? Rycerz jest zmęczony, spragniony i głodny. Jest u ciebie coś do jedzenia i picia?

Otworzyłem oczy i popatrzyłem na nią.

Roześmiała się i wstała. Także jej śmiech rozpoznałem, po brzmieniu i po twarzy: po zmrużonych oczach, dołku w policzku i skrzywieniu ust. Kiedy spoważniała, zobaczyłem, że jej oczy są szaroniebieskie – wtedy dostrzegłem tylko, a w każdym razie zapamiętałem, że są jasne. Zobaczyłem też wiele zmarszczek na czole i policzkach, ciężkie powieki, zwiotczałą skórę i rzadkie włosy. Irena się postarzała i nie wiem, czybym ją rozpoznał, gdybyśmy się spotkali na ulicy. Ale jak głos i śmiech, tak rozpoznałem także gest, którym zbierała włosy i wsuwała je za uszy, oraz sposób trzymania głowy. Przytyła w talii i zadawałem sobie pytanie, czy rację mieli uczniowie i uczennice, którzy zawsze uważali jej biodra za trochę szerokie, a uda za trochę grube. Miała na sobie dżinsy, T-shirt, a na wierzchu, jak kurtkę, wełnianą koszulę w kratę. Wiadro z rybami, które złowiła, postawiła obok; wziąłem je i ruszyłem za nią do górnego domu.

Kiedy szliśmy pod górę, najpierw ścieżką, a potem po drewnianych schodach, które prowadziły z wydm na plażę, Irena oddychała ciężko, wspierała się na moim ramieniu i kilka razy musiała przystawać.

– Może przeniosę się z powrotem do dolnego domu – powiedziała, kiedy znaleźliśmy się w środku – zimą jest tam zimno, ale za to latem przyjemny

chłód.

– Ma przecież piec.

Popatrzyła na mnie, nie wiedziałem, czy jeszcze badawczo, czy już rozczarowana, wiedziałem jednak, co sobie pomyślała. Adwokat, pomyślała, który nie umie po prostu wysłuchać, tylko musi mnie pouczać, że mam piec, jakbym sama tego nie wiedziała.

– To była głupia uwaga.

Uśmiechnęła się.

– Tu, na górze, zimą nie potrzeba zwykle żadnego ogrzewania. A na dole kamienne mury magazynują chłód. Kiedyś to była stacja pocztowa, zbudowana dla farmerów w głębi kraju ponad sto lat temu. Farmerów nie ma już od dawna, ziemia jest kiepska i jeden po drugim zwinęli żagle. Dzisiaj te tereny to rezerwat przyrody. Ostatnia łódź pocztowa przypłynęła chyba w Boże Narodzenie pięćdziesiątego pierwszego. – Zatoczyła ramieniem łuk obejmujący pomieszczenie, w którym staliśmy, krzywe drzwi, krzywe okna, krzywe filary podpierające górną kondygnację i prowadzące na górę krzywe schody. – Nie musisz mi mówić, że to wszystko wkrótce się zawali. Wiem to sama. Ale jeszcze nie teraz.

Pomieszczenie – kuchnia, jadalnia i salon zarazem – zajmowało całą dolną kondygnację. Z kuchenką sześciopalnikową, stołem jadalnym na dwanaście osób i trzema kanapami było dla Ireny o wiele za duże. Powstrzymałem się od pytania, po co to wszystko, kazałem sobie pokazać, jak się oczyszcza ryby z łusek, obrałem ziemniaki, umyłem sałatę i zrobiłem do niej sos. Nie umiem gotować, ale udaję mi się sosy sałatkowe. Irena zapytała, co robiłem w Sydney, co robię we Frankfurcie, zapytała o żonę i dzieci i czy jestem zadowolony ze swojego życia. Właściwie nie chciałem, żeby dowiedziała się o mnie więcej niż ja o niej, ale natychmiast odbijała piłeczkę i na nieliczne pytania, które udało mi się wcisnąć między wiele jej zapytań, nie otrzymałem żadnej odpowiedzi. A mimo to, kiedy w końcu usiedliśmy do posiłku na balkonie, zrodziła się między nami jakby pewna zażyłość – za sprawą gotowania i mówienia, i dotknięć, które wynikły stąd, że ją przytrzymałem, kiedy weszła na małą drabinkę, żeby wyciągnąć butelkę oleju z wysokiej półki w szafie, i że naprawiłem zatkany zlew i zacinającą się szufladę.

Zobaczyłem łódź, zanim ją usłyszałem. Przez cały czas nie spojrzałem ani razu na zegarek. Kiedy dał się słyszeć turkot silnika, Irena powiedziała:

– Nie przyjechałeś chyba tylko tak. Kiedy chcesz porozmawiać?

– Jutro przypłynę znowu.

– Możesz zostać tutaj. Na górze jest sześć wolnych pokoi. Znajdę dla ciebie piżamę i świeżą bieliznę, i jakiś kombinezon, żebyś się nie ubrudził, gdy jutro będziesz mi pomagał.

Wyszedłem więc na molo i pogadałem z Markiem. Zapytał, czy nie chcę mu dać kluczyków do samochodu. Wtedy mógłby mi jutro przywieźć moje bagaże. Jeśli zamierzam zostać dłużej.

3

Kiedy wróciłem na balkon, stół był już uprzątnięty; Irena otworzyła butelkę czerwonego wina.

– Schwind chciał zatrzymać wszystkie swoje obrazy czy tylko ten z tobą?

Nie zamierzałem walić prosto z mostu.

– Chciał zatrzymać te obrazy, przez które definiował się jako artysta. Nie malował jak popadło, raz ten obraz, raz tamten. Chciał dawać odpowiedzi na pytania dzisiejszego malarstwa: co ono nam daje jako malarstwo figuratywne, a co jako abstrakcyjne, jakie relacje łączą je z fotografią, jak mają się do siebie piękno i prawda.

– Obraz z tobą...

– Miał obalić Marcela Duchampa. Znasz *Akt schodzący po schodach*? Kubistyczna postać, schodzenie przedstawione jako sekwencja kolejnych klatek filmowych, płatanina nóg, pośladków, rąk i głów? Obraz Duchampa uchodził za koniec malarstwa, a Schwind chciał udowodnić, że w dalszym ciągu można namalować nagą kobietę schodzącą po schodach.

Nie zrozumiałem.

– Jak coś, co namalował Duchamp, miało być końcem malarstwa?

Uśmiechnęła się.

– Przyjechałeś, żeby wreszcie zrozumieć sztukę współczesną?

Uśmiechnęła się życzliwie, ale za życzliwością ukrywało się coś, czego nie potrafiłem sobie wyjaśnić. Czy była to pogarda, odrzucenie, zmęczenie? Przyszło mi do głowy, że kiedy człowiek jest bardzo zmęczony, to mówi, że jest śmiertelnie zmęczony, i że kiedy jest śmiertelnie zmęczony, to jest przecież pełen życia, a kiedy jest zmęczony życiem, to jest już bliski śmierci.

– Chcę zrozumieć, co zdarzyło się wtedy. Ułatwiłem ci wtedy sprawę. A ty wykorzystałaś mnie i potem w dodatku dałaś mi to wyraźnie odczuć. Mogłaś zadzwonić lub napisać list albo kartkę. Skoro uważałaś, że musisz mnie wykorzystać i zranić, dlaczego nie mogłaś...

– ...ładnie tego opakować? – Te słowa wypowiedziała z jawną pogardą. – Dla Gundlacha byłam młodym, jasnowłosym, pięknym trofeum, które powinno być odpowiednio opakowane, i tylko to się liczyło. Dla Schwinda byłam inspiracją, i również do tego celu wystarczało opakowanie. Potem pojawiłeś się ty. Trzecia idiotyczna kobieca rola: po samicy i muzie księżniczka w niebezpieczeństwie, ratowana przez księcia. Żeby nie wpadła w ręce łotrów, książę bierze ją w swoje ręce. Bo jej miejsce jest, rzecz jasna, w rękach mężczyzny. – Pokręciła głową. – Nie, na ładne opakowanie nie miałam wtedy ochoty.

– Nie narzucałem ci żadnej roli. Kiedy zagadnąłem cię wtedy, mogłaś mnie grzecznie odprawić i pójść swoją drogą.

– Grzecznie odprawić...

– Mogłaś mnie też niegrzecznie odprawić. W każdym razie nie musiałaś mnie wykorzystać.

Zmęczonym gestem pokiwała głową.

– Role sprawiają, że stajesz się przewidywalny, wymienialny i dajesz się wykorzystać. Książę ratujący księżniczkę... wykorzystałeś mnie tak samo jak Gundlach i Schwind.

W naszej kancelarii zatrudniamy więcej kobiet, niż wymaga średnia statystyczna. Razem z doradcą podatkowym pod nami i rewidentem gospodarczym nad nami utrzymujemy własne przedszkole. Wspierałem karierę żony, a córce opłacałem studia: po historii sztuki także prawnicze. Nikt nie ma prawa głosić mi feministycznych morałów.

– Chcesz mi wmówić, że mogłaś wybierać tylko między trofeum, muzą i księżniczką? Między tym, czego chcieliśmy od ciebie Gundlach, Schwind i ja? Ze swoimi pieniędzmi i zawodem miałaś wszelkie szanse, żeby wymyślić siebie. Nie zrzucaj odpowiedzialności...

– Odpowiedzialności? Ty wcale nie chcesz zrozumieć, ty chcesz osądzić. – Popatrzyła na mnie z niedowierzaniem. – Czy dla ciebie to się liczy? Że możesz mnie osądzić? Że nie musisz sobie niczego zarzucać? Sumą twojego życia nie może być przecież twoje uniewinnienie! Pracowałeś, kochałeś, ożeniłeś się, dzieci...

Wciąż nie rozumiałem.

– Chciałem tylko powiedzieć...

– Czy człowiek staje się taki, gdy przez całe życie ma do czynienia z prawem? Nie chodzi już o to, kim jest, tylko że ma słuszność? A drugi jej nie

ma?

W dalszym ciągu nie rozumiałem, czego ode mnie chciała. Zapadła noc, w ciągu kilku minut. Noc nie była jednak czarna, za sprawą księżyca liście drzew błyszcząły srebrzyście, a morze połyskiwało. Księżyc świecił na twarz Ireny, obrysowując każdą zmarszczkę, każde zwiotczenie skóry, każdy grymas zmęczenia tak bezlitośnie wyraźnie, że zacząłem jej współczuć – a razem z nią sobie. Byliśmy starzy, wszystko zdarzyło się dawno temu. Dlaczego dręczyłem ją, dlaczego dręczyłem siebie tą starą historią!

Nie potrafiłem jednak tak łatwo zostawić tej przeszłości w spokoju. Kiedy właśnie przyznałem się w duchu do swojej słabości, powiedziała:

– Przykro mi, że wtedy cię zraniłam. Czułam się tak bardzo zamknięta, że chciałam tylko się wyrwać, a cała reszta była mi obojętna. Kiedy wracam do tego myślą... jakim dzieciakiem jeszcze byłeś.

4

Jeśli wtedy byłem jeszcze dzieciakiem, to kim byłem teraz? Leżałem w łóżku, lecz uwaga Ireny nie dawała mi spać. Naturalnie o wiele więcej niż wtedy wiem o ludziach i o tym, jak z nimi postępować, co jest się im winnym, a na co nie wolno im pozwolić, jak wyglądają pertraktacje, a jak rozprawa przed sądem. Ale z grubsza wiedziałem to już wtedy i nie czułem się przy tym jak dziecko.

Mały pokój przydzielony mi przez Irenę wychodził na morze. Kiedy nadstawiłem ucha, słyszałem pośród ciszy przybrzeżne fale: wspinały się z szumem na plażę i szmerząc, spływały z powrotem po drobnych kamyczkach. W pokoju było jasno od księżycowego światła; wyraźnie widziałem szafę, krzesło, lustro.

Kiedy wyteżyłem słuch, wydawało mi się, że słyszę oddech Ireny. Właściwie było to niemożliwe – między jej a moim pokojem znajdował się jeszcze jeden. Ale jeśli nie słyszałem jej oddechu, to słyszałem oddech domu, a to tym bardziej było niemożliwe. Ciągłe ciężkie wdechy i wydechy. Potem usłyszałem na zewnątrz jakieś zwierzę, przeraźliwy krzyk, który urwał się raptownie, jakby zwierzę obudziło się z koszmaru sennego lub zamarło w obliczu czegoś strasznego.

Albo wystraszył je wiatr, który nagle się podniósł. Nic go nie zapowiadało; ni stąd, ni zowąd zaczął dmuchać wokół domu, potrząsając nim tak mocno, że belkowanie trzeszczało. Wstałem i podszedłem do okna, oczekując pierwszych kropli. Niebo było jednak czyste, świecił księżyc. Wiatr nie przynosił deszczu, tylko przyginał drzewa i powodował jęczenie budynku.

Budził we mnie grozę. Nie przynosił chmur ani deszczu, nie miał więc prawa się puszyć, ale się puszył. Nie dmuchał na mnie, a mimo to mnie omiatał i przenikał, i pozwalał mi odczuwać moją słabowitość, tak jak pozwalał domowi odczuwać jego kruchość. A potem nastąpił jeszcze bardziej niesamowity moment. Na balkonie dostrzegłem kucającą postać ze zwróconą

ku mnie twarzą. Chłopiec o ciemnej skórze, krótkich włosach, szerokim nosie i szerokich ustach, stopy płasko, kolana zgięte, pośladki tuż nad ziemią. Ja upadłbym na plecy, pomyślałem, gdybym tak kuczał, i że jego oczy muszą być osadzone głęboko, bo nie widziałem w nich białek. Widziałem, że skierował wzrok na mnie, nieruchomy, bezdenny.

Czy miałem zbudzić Irenę? Ale do tego spokojnego kucania i jasnego księżyca, i szumu wiatru nie pasowało, że chłopiec miałby na nas napaść, sam lub razem z innymi, albo zamierzał podpalić dom. Czułem grozę nie dlatego, że się bałem. Czułem grozę, ponieważ nie rozumiałem, co to wszystko ma znaczyć: ten chłopiec, wiatr, to, co powiedziała Irena, to, co mnie tutaj trzyma.

5

Kiedy się obudziłem, niebo było jeszcze blade. Usłyszawszy głośny szum, podszedłem do okna i zobaczyłem stado trzepoczących skrzydłami czarnych ptaków, które krążyły nad drzewami, bliskie i głośne albo dalekie i ciche – a kiedy były dalekie i ciche, słyszałem inne ptaki, które bez przerwy wyśpiewywały dwa lub trzy dźwięki albo wydawały to samo krakanie, albo popiskiwały to samo drżące staccato rozpaczliwie, jak mi się wydawało, otwartymi dziobami, dopóki stado nie nadleciało znowu czarną falą i ich nie zagłuszyło.

Na krześle leżał kombinezon, tak jak wczoraj na łóżku leżała piżama. Usłyszałem, że Irena schodzi powoli po schodach i zaczyna się krzątać w kuchni. Ubrałem się.

Przy kawie wyjaśniła mi, że jej dżip złapał kapcia, korba lewarka jest złamana, muszę więc podnieść dżipa, żeby mogła wsunąć pod spód kamień i zmienić koło.

– Powiedziano mi, że do ciebie nie prowadzi żadna droga.

– Kiedy teren został objęty ochroną przyrody, zrezygnowano z użytkowania wewnętrznych dróg. Tam gdzie dobiegały do sieci dróg publicznych, zostały zamknięte. Ale dla dżipa wystarczą koleiny, a barierki można objechać. My tu, w środku, wiemy, jak stąd wyjechać, tamci na zewnątrz na szczęście nie wiedzą, jak wjechać.

– My?

– Są jeszcze dwie farmy. Później muszę tam pojechać.

Dżip okazał się dla mnie za ciężki. Złamał się drąg, którego chciałem użyć jako dźwigni. W końcu znalazłem żelazną rurę, udało mi się podnieść auto, a Irena wsunęła pod nie kamień. Reszta była prosta, choć nie pamiętam, kiedy ostatni raz zmieniałem koło.

Podczas jazdy zapytałem Irenę o chłopca, który kuczał w nocy na balkonie. Kari mieszkał dawniej u niej, zagląda jeszcze czasami sprawdzić, czy

wszystko w porządku. Zauważyła, że chce wiedzieć więcej.

– Wcześniej przyjmowałam tutaj opuszczone, wałęsające się dzieci uzależnione od narkotyków i alkoholu. Nieoficjalnie, nie przez opiekę społeczną czy urząd do spraw młodzieży, przecież sama jestem tu nieoficjalnie, i tylko dlatego, że wieść o tym rozeszła się wśród dzieci. Niektóre przychodziły na parę dni lub tygodni, żeby trochę odetchnąć, niektóre zostawały rok, dwa. Paru udało się potem wrócić do szkoły albo złapać jakąś pracę. Inne wracały później do mnie w jeszcze gorszym stanie, niż przyszły. Kiedy nie miały jeszcze osiemnastu lat, przyjmowałam je z powrotem. Nikogo powyżej osiemnastki, taka była żelazna reguła.

– Ile dzieci miałaś?

– W domu jest siedem pokoi, a w każdym mieszkało jedno dziecko, rzadko dwoje. Ja mieszkałam na dole.

– Za co żyliście?

– Mieliśmy kury i kozy, uprawialiśmy różne rośliny, farmy pomagały, a czasami dzieci przynosiły kradzione rzeczy. Nauczyły się, że trzeba się dzielić, że nie wolno kraść dla siebie, tylko dla grupy.

Rozmowa nie przebiegała tak gładko. Irena jechała szybko i pewnie, nie bacząc na takie przeszkody jak korzeń czy kamień, wyłobione przez wodę koryta strumieni lub wyschnięte kałuże, czasami przez środek zarośli; ślad drogi ciągle się gubił, a ona ciągle go odnajdywała. Rzuciło mną w górę i na różne strony, wparłem się stopą w próg i trzymałem siedzenia; czułbym się zresztą lepiej, gdyby dżip miał dach lub choćby drzwi. Pojazd był jednak otwarty, stary dżip jak z filmów wojennych.

– Skąd masz tego dżipa?

Roześmiała się.

– Ukradziony. Na początku musieliśmy wszystko przywlec. Pewnego dnia Arunta i Arthur przyprowadzili tego dżipa, jakiś kolekcjoner trzymał go w garażu. Byli u mnie przez rok, a gdy skończyli osiemnaście lat, wiedzieli, że nie mogą zostać. Ale chcieli ułatwić życie nam pozostałym. – Roześmiała się znowu. – Nie mam w sobie żyłki kolekcjonerskiej. A ty?

Dotarliśmy do doliny z małą rzeczką, prawie bez wody, poza tym łąki i drzewa, i stado krów, które stały w cieniu wierzby, jak na obrazie holenderskiego malarza z XVII wieku. Na końcu doliny leżała pierwsza farma. Duży drewniany dom, dwie stodoły, grupa młodych mężczyzn i kobiet, gromada dzieci, świnie i kury – krótko przywitano się ze mną i przestano

zwracać na mnie uwagę. Irena weszła do budynku, po pewnym czasie podążyłem za nią. Znalazłem ją w kuchni; zdjęła jakiejś dziewczynce opatrunek z ramienia, zbadała ranę, posmarowała ją maścią z puszki i założyła nowy opatrunek.

– Wystawiła rękę i chciała przejść przez ścianę – powiedziała, kiedy mnie zobaczyła – ale już tego nie zrobi. Nie zrobisz już tego po raz drugi, prawda?

Dziewczynka pokręciła głową.

Druga farma sprawiała wrażenie opuszczonej. Stara kobieta, która otworzyła drzwi, posłała mi nieufne, wrogie spojrzenie, wzięła Irenę za rękę, wciągnęła ją do środka i zamknęła drzwi. Siedziałem w dziupli, patrzyłem na walący się budynek, rozpadającą się stodołę i zardzewiałe narzędzia i broniłem się przed smutkiem, który kładł się na tej farmie i chciał się położyć także na mnie.

6

On długo już nie pociągnie – powiedziała Irena, usiadłszy z powrotem obok mnie.

– I co wtedy?

Ruszyła.

– Wtedy i ona długo nie pociągnie, a młodzi ludzie z drugiej farmy przejmą w końcu także tę. Zrobiliby to już dawno i troszczyliby się też o starych, ale oni nie chcą. Zrobili się uszczypliwi. – Wzruszyła ramionami. – My tutaj nie jesteśmy lepsi niż wy na zewnątrz. Z początku tak myślałam, ale to nieprawda.

– Zostałaś lekarką?

– Pielęgniarką. W większości wypadków to wystarcza. Kiedy potrzeba narzędzi, nie pomogłoby mi też, gdybym była lekarką.

Wyobraziłem sobie takie sytuacje, zapalenie ślepej kiszki, zawał serca, raka. Zastanawiałem się, jak odbywa się nauka dzieci i jak trafiają tutaj długopisy i papier, i książki. Czego innego tutejsi ludzie potrzebowaliby jeszcze od tych z zewnątrz? Co łączyło ludzi na pierwszej farmie? Czy to były młode rodziny, które po prostu mieszkały w tym samym domu, komuna, sekta? Czego Irena tutaj szukała, co znalazła?

– Innych wykorzystałam bardziej niż ciebie.

– Pozbawiłaś ich pieniędzy? Dobrego imienia? Życia?

Powiedziałem to lekkim tonem, jedno wydawało mi się równie absurdalne jak drugie.

Roześmiała się.

Nie lubiłem jej śmiechu. Śmiała się tak, jak ludzie śmieją się z kiepskiego dowcipu albo z nieszczęścia, nad którym właściwie powinni płakać.

Nic nie powiedziała. Ja też nie potrafiłem już nic powiedzieć. Mimo że jazda przez wertepy nie wymagała konwersacji, zaległo między nami głośnie milczenie. Kiedy przyjechaliśmy na miejsce i zaparkowaliśmy, nie wysiadła.

– Pomożesz mi dojść do pokoju? Sama nie dam rady.

Dżip stał powyżej budynku. W drodze na dół Irena opierała się najpierw na moim prawym ramieniu, potem musiałem ją objąć obiema rękami, trzymać i prowadzić. Schody wewnątrz domu były strome i wąskie; ponieważ sama często wchodziła jak pies, na czworakach, uznała, że i przeze mnie może być wniesiona na górę jak pies. Wziąłem ją więc na ręce, wniosłem na piętro i położyłem w jej pokoju na łóżku.

– Przykro mi – powiedziała – przeliczyłam się z siłami. Kiedy robię wszystko spokojnie i powoli, nic się nie dzieje. Ale ja tak nie potrafię. Forsuję się, a potem nogi mam jak z waty i nie chcą mnie nieść, czasami głowa też odmawia posłuszeństwa.

Przyniosłem sobie krzesło i usiadłem obok łóżka.

– Co to jest?

– Mój dzielny rycerz. – Uśmiechnęła się. – Nic takiego, przed czym mógłbyś mnie uratować. Po prostu daj mi się trochę przespać.

Zamknęła oczy. Jej oddech stał się równomierny, czasem trzepotały powieki, czasem dłonie mimowolnie przesuwały się po brzuchu, a w kącikach ust zbierała się ślina. Bił od niej zapach choroby, ale inny niż od moich dzieci, kiedy przechodziły choroby dziecięce, a później miały grypę, przeziębienie albo bóle brzucha. Od Ireny bił ostry, obcy, odpychający zapach.

Co ja tu jeszcze robię? Wiedziałem już, co chciałem wiedzieć. Było jej nawet przykro, że wtedy mnie wykorzystała – czy mogłem chcieć czegoś więcej?

Wstałem po cichu i wyszedłem z pokoju, a potem z domu i zszedłem na plażę. Na molo leżały moje bagaże, w suwaku torby podróźnej tkwiła karteczka. Mark przypłynął przed południem, bo po południu lub wieczorem miał załatwić coś innego; nie zastał mnie, więc nie mógł mnie zabrać, ale przynajmniej przywiózł mi bagaże.

7

Usiadłem znowu na ławce pod zadaszeniem tarasu budynku przy plaży. Kiedy siedziałem przy łóżku Ireny, nadciągnęły chmury. Chmury deszczowe? Zacząłem marznąć, więc przyniosłem sobie tchnący stęchlizną koc. Znowu siedzieć tutaj, znowu marznąć, znowu wachać stęchły koc – wydawało mi się, jakby czas się zatrzymał, a ja razem z nim.

Nie, Irena nie mieszkałaby tutaj w taki sposób, gdyby pozbawiła kogoś pieniędzy. Dobrego imienia – jeśli pozbawiła kogoś dobrego imienia i nie wspomniała o tym żadna gazeta, to nie mogło to być nic poważnego. Życia – o tym także przeczytałbym w gazecie. Chyba że popełniła morderstwo doskonale? Irena?

Nigdy dotąd nie chciałem nikogo zabić, konkurenta ani przeciwnika, pedofila ani mordercy, Pinocheta ani Kim Dzong Ila. Nie żebym tak wysoko stawiał wartość życia. Pozostaje ona dla mnie zagadką. Jak można właściwie ocenić coś, czego nie brakuje temu, kto je stracił? Ale brzydzę się przemocą, zadawanie komuś ciosów lub dźgnięć, dopóki nie umrze – jest po prostu obrzydliwe. Nie mniej obrzydliwe jest, gdy ktoś, miast zabić swoją ofiarę w ten sposób, detonuje na odległość bombę, która ją rozszarpuje. A może to nawet bardziej obrzydliwe: akt przemocy, który uwolnił się od wszelkich odruchów i zahamowań będących wynikiem wzajemnej bliskości ludzi.

Nigdy dotąd nie miałem też do czynienia z mordercami. Moja kancelaria nie podejmuje się obrony w procesach karnych. Ale absolutnie nie umiałem sobie wyobrazić Ireny jako morderczyni. Ona potrafiła panować nad sobą, umiała też postawić na swoim. Nie przychodziło mi do głowy nic, co mogłoby ją popchnąć do morderstwa. Choćby jej drugi mężczyzna dostrzegwał w niej, jak pierwszy, tylko trofeum, choćby jej następny kochanek chciał ją znowu wykorzystać, choćby przełożony, którego awanse odrzuciła, przeniósł ją na poprzednie stanowisko albo sąsiad molestował ją w klatce schodowej – z tym wszystkim Irena umiałaby sobie poradzić. Gdyby napad lub zamach na Irenę

kosztował napastnika życie, byłaby to obrona konieczna, a nie coś, co można by jej – a ona musiałaby sobie – zarzucić. O czym więc mówiła?

Popełniłem ten sam błąd co wtedy. Wówczas wydawało mi się, że wiem, kim ona jest, a nie wiedziałem nic. Nasza bliskość istniała tylko w mojej wyobraźni. I teraz znowu miałem wrażenie, że potrafię się wczuć w jej sytuację i odczytać jej myśli. Że jest mi bliska. Dlaczego? Tylko dlatego, że wkroczyła nago w moje życie? Na obrazie?

Wstałem, złożyłem koc, poszedłem do domu na zboczach i rozejrzałem się po kuchni. W spiżarni znalazłem spaghetti, puszki pomidorów i słoik oliwek, na półce z przyprawami anchois i kapary. Gotowanie nie szło mi łatwo, ale nie musiałem się śpieszyć. Kiedy usłyszałem, że Irena wstaje i zbliża się do schodów, stół był nakryty, a jedzenie gotowe. Pomogłem jej zejść, podprowadziłem ją do stołu i nałożyłem jedzenie na talerz. Przyglądała mi się, byłem dumny z siebie, a ona, ujrawszy moją dumę, uśmiechnęła się.

– Jeszcze tutaj jesteś.

– Łódź przypłynęła, kiedy byliśmy w drodze, odstawiła moje bagaże i popłynęła z powrotem. Teraz ty będziesz musiała mnie odwiedzić do Rock Harbour.

– Kiedy?

Wzruszyłem ramionami.

– Jutro?

– Kiedy zechcesz.

8

To mnie rozdrażniło. Czy nie mogła powiedzieć: Nie musisz jeszcze odjeżdżać, możesz zostać?

– Czy wtedy między nami musiało się ułożyć tak, jak się ułożyło? Czy nie mogło też ułożyć się inaczej?

Spojrzała na mnie ze zdumieniem.

– Mój dzielny...

– Daj spokój dzielnemu rycerzowi. Kochałem cię. Powiedziałaś mi wtedy, że nigdy wcześniej nie kochałem, pamiętasz, i tak było, nigdy wcześniej nie kochałem. Z tobą był pierwszy raz i wiem, że zachowywałem się niezbyt zręcznie, nie skarżę się, to byłoby niepoważne. Chcę tylko wiedzieć, czy mogłem wtedy zrobić coś lepiej i czy wtedy by się nam udało.

– Chodzi ci o to, czy mogłam dzielić z tobą frankfurckie życie z kancelarią, dobrym towarzystwem, tenisem, golfem, abonamentem w operze? Mogę...

– Mogliśmy się przenieść do Ameryki, do Stanów albo Brazylii, albo do Argentyny, z rozmachem zacząłbym od nowa, nauczył się języka i nauczył prawa, i tam...

– ...też miał wkrótce prosperującą kancelarię i należał do dobrego towarzystwa...

– Co w tym złego?

– Czy kiedykolwiek reprezentowałeś normalnych ludzi, robotników, najemców, pacjentów, których pozbawiono zdrowia, kobiety bite przez mężów? Czy kiedykolwiek oskarżałeś państwo, policję, Kościół? Broniłś oskarżonych w procesach politycznych? Czy kiedykolwiek coś ryzykowałeś? Kogoś takiego szukałam. Kogoś, kto by coś ryzykował i z kim ja bym coś ryzykowała. Nawet życie. Co powiedziałaś wczoraj? Fuzje i przejęcia firm? Czy kogoś może interesować, kto się z kim łączy i kto kogo przejmuje? To nie może interesować nawet ciebie. Upajasz się tylko tym, że potrafisz to robić, że nie inni bawią się tobą, ale ty nimi. Upajasz się pieniędzmi, które zarabiasz,

i dobrymi hotelami, i lataniem pierwszą klasą. Czy kiedykolwiek zainteresowałeś się tym, czy na świecie panuje sprawiedliwość?

– Przy fuzjach i przejęciach firm też może panować sprawiedliwość lub niesprawiedliwość. Kiedy teraz...

– Nigdy nie marzyłeś o czymś więcej? O sprawiedliwości dla wyzyskiwanych i poniżanych? Powiedz, że nie zawsze byłeś taki!

Nieswojo się czułem pod jej spojrzeniem. Pogrzebałem widelcem w swoim spaghetti i zacząłem jeść. Ona również jadła, ale ze wzrokiem skierowanym na mnie i czekała na moją odpowiedź. Co miałem powiedzieć? Byłem dumny ze swojego pragmatyzmu, a najbardziej ekstrawagancką fantazją mojego życia było wyjechać z nią do Buenos Aires, wieczorami kelnerować, a w ciągu dnia studiować – żeby wkrótce znów znaleźć się na górze. Co by było, gdyby się to nie udało i na czas nieokreślony zamieszkałbym z Ireną w Buenos Aires w jakiejś norze, i prowadził tylko jakieś drobne sprawy, żeby utrzymać się w zawodzie, i angażował się w pogmatwane sprawy polityczne – wolałem sobie nie wyobrażać.

– Przeciwnie, zawsze byłem taki. Marzyłem o tym, żeby wyjechać z tobą do Buenos Aires i w ciągu dnia studiować, a wieczorami kelnerować, i za nowe życie z tobą zostałbym nawet gaucho albo zmywałbym talerze w Nowym Jorku, albo ścinał drzewa w Rocky Mountains. Ale na końcu marzenia stało dobre życie. Wyzyskiwani i poniżani... sami musieli dawać sobie radę.

Popatrzyła na jedzenie.

– Smaczne.

Zjedliśmy, nałożyłem jej jeszcze raz, dolałem wina i wody. Po chwili powiedziała:

– Nie musisz się zastanawiać. Wtedy niczego nie mogłeś zrobić inaczej. Musiałbyś być kimś innym.

9

Kiedy sprzątnąłem ze stołu, pozmywałem i wróciłem do niej, Irena już spała: oparła ramiona o blat, położyła na nich głowę i zasnęła. Kiedy ostatnim razem niosłem ją do jej pokoju, starała się mi ulżyć, tym razem czułem w ramionach jej ciężar. Położyłem ją na łóżku, zdjąłem jej buty, dzinsy i grubą koszulę, wyciągnąłem spod niej kołdrę i ją przykryłem.

Deszcz, którego oczekiwałem, nie spadł, usiadłem więc na balkonie. Czasem spomiędzy chmur wyłaniał się księżyc, morze połyskiwało w jego blasku. Poza tym panowały ciemności. Cykady były tak głośne jak stado ptaków na drzewie.

Irena pozwoliła sobie na bardzo wiele. Że musiałbym być kimś innym? Że powinienem marzyć o sprawiedliwości dla wyzyskiwanych i poniżanych, a przypuszczalnie nie tylko o niej marzyć, ale i żyć dla niej?

Przy katedrze sprawiedliwości pracuje wielu kamieniarzy, jedni ciosają kamienie, inni cokoły i gzymsy, jeszcze inni ornamenty i posągi. Dla całości budowli jedno jest równie ważne jak drugie, oskarżenie i obrona równie ważne jak wydanie wyroku, sporządzanie umów o wynajem i pracę oraz majątkowych umów małżeńskich równie ważne jak prowadzenie fuzji i zakupów, adwokat dla bogatych jest równie ważny jak adwokat biednych. O tak, katedra rosłaby także bez mojej pracy. Rosłaby także bez tego gzymsu i tamtego ornamentu. A mimo to one należały do niej.

Przyszło mi do głowy szydercze pytanie, jakie zadałaby Irena. Skąd wiem, że biorę udział w budowie katedry, a nie kamienicy czynszowej, domu handlowego albo więzienia?

Przypomniałem sobie jeszcze coś innego. Właśnie zacząłem pracę u Karchingera i Kunzego i miałem się zająć obroną przed sądem dawnego kolegi ze szkoły i studiów. Poszedł on bowiem do naszej dawnej szkoły, przekonał kilkoro uczniów i uczennic do udziału w demonstracji i właśnie wychodził z nimi z podwórza szkolnego, gdy zastąpił mu drogę jakiś

nauczyciel i wywiązała się szarpanina, podczas której nauczyciel upadł i doznał obrażeń. Czy mój były kolega nie miał pieniędzy na obrońcę? Czy rzucił mi wyzwanie w tym sensie, że jego obrona miała być ponad moje możliwości? Czy schlebiał mi, twierdząc, że szczególnie nadaję się do tego, żeby go bronić? W każdym razie wziąłem jego sprawę. Robiłem to gratis, poinformowałem jedynie kierownika biura, a nie Karchingera i Kunzego. Oni jednak dowiedzieli się o tym i się wściekli. Broniełem kogoś, kto naruszył spokój publiczny – co pomyśla sobie klienci z przemysłu i handlu? Musiałem oddać sprawę i choć znalazłem zastępstwo, doszło do wyroku skazującego. Pech chciał, że oddałem sprawę akurat wtedy, gdy ranny nauczyciel trafił po raz drugi do szpitala i oprócz wyroku skazującego za zwykłe naruszenie spokoju publicznego wchodził w rachubę wyrok za ciężkie naruszenie spokoju, co w sumie sprawiało wrażenie, że dystansuję się od mojego byłego kolegi. I nie ułatwiło jego obrony.

Czy ja uzyskałbym wyrok uniewinniający? Wierzyłem w to, chciałem wygrać swój pierwszy i przypuszczalnie jedyny proces karny; włączyłem prywatnego śledczego i ustaliłem, że szarpaninę rozpoczął oburzony woźny, a nauczyciel miewał już wcześniej ataki epileptyczne. Powiedziałem to zresztą zastępującemu mnie obrońcy, ale ten nie był wystarczająco dobry. Może inny byłby lepszy – i droższy. Obiecałem byłemu koledze, że wezmę na siebie koszty.

Jego nie było stać nawet na tego adwokata, którego mu załatwiłem jako zastępcę, a tym bardziej na lepszego. Nie byłem mu nic winien. W szkole i na początku studiów uniwersyteckich łączyła nas przyjaźń, ale to było dawno temu. On był wiecznym studentem, ja nie chciałem przebumelować życia, więc szybko przestało nas coś łączyć. W politycznych procesach karnych zapadały wtedy drakońskie wyroki, toteż dostał więzienie bez zawieszenia. Może nie było to dla niego takie złe, może dla niego nie stanowiło aż tak wielkiej różnicy, czy marnuje czas w więzieniu, czy poza jego murami. Nie odwiedziłem go w więzieniu, a potem się już nie zgłosił. Ciekawe, co się z nim potem stało.

Nikomu nie jestem nic winien. Nikomu nie muszę też być wdzięczny. Kiedy coś dostaję, odpłacam za to. Kiedy ktoś jest wobec mnie wspaniałomyślny, rewanzuję się w dwójnasób i potrójnie. Mogę powiedzieć, że w ramach moich przyjaźni i znajomości występują tylko zrównoważone bilanse. W pracy zawodowej jest inaczej, ale tam korzystnego bilansu też nie zawdzięcza się

wspaniałomyślności innych, tylko własnej kompetencji.

Zaczęło padać. Nie mogłem zostać na balkonie, więc stanąłem w drzwiach i wsłuchiwałem się w szum deszczu, dopóki z góry nie dobiegł mnie dziwny odgłos. Udałem się na piętro. W pokoju Ireny wiatr wywiał zasłonę za okno i chłostał mokrym materiałem o ścianę budynku. Wciągnąłem zasłonę do środka i z trudem zamknąłem wypaczone okno.

Irena spała niespokojnie. Zapaliłem stojącą obok łóżka świecę i znów widziałem jej poruszające się nerwowo dłonie, trzepoczące powieki, pot na czole i wardze; czasami mruzczała coś, czego nie rozumiałem. Otarłem jej pot z twarzy. Kiedy chciałem poprawić kołdrę, zauważyłem, że T-shirt i figi ma prze pocone. Wiedziałem, co teraz trzeba zrobić: znaleźć piżamę i ręcznik, zdjąć z niej mokre rzeczy, wytrzeć ją i włożyć jej piżamę – ale stałem i patrzyłem na nią, i myślałem: co ja mam wspólnego z tą kobietą?

Potem jednak zrobiłem, co należało. Znalazłem w szafie piżamy, a w łazience ręczniki. Kiedy podnosiłem Irenę i zdejmowałem T-shirt, objęła mnie za szyję, nic nie mówiąc, nie otwierając oczu, nie budząc się, a kiedy wkładałem jej górę piżamy, zrobiła to znowu. Pewnie chciała mi tylko ułatwić podnoszenie, czego nauczyła się jako pielęgniarka i nauczyła swoich chorych, ale wzruszyło mnie to jako dziecinny czuły gest. Zdjąłem jej T-shirt i figi i włożyłem piżamę. Między jedną a drugą czynnością wytarłem jej ciało, ramiona, piersi, brzuch, uda. Wcześniej musiała więcej ważyć: skóry było za dużo w stosunku do ciała. Znowu poczułem zapach choroby.

Czasami oglądam w lustrze swoje nagie ciało i współczuję mu. Ileż ono przeżyło, jakże się namęczyło, jak się namordowało! Nad sobą się nie rozczulam, gardzę tym uczuciem. Współczucie nie odnosi się do mnie, lecz do mojego ciała. Albo ogólnie przemijania. Teraz odnosiło się do ciała Ireny. Żal mi go było, takiego schorowanego, wrażliwego na ból, potrzebującego, tak ufego przy obejmowaniu mnie za szyję. Mimo to byłem zły, że nie zaprosiła mnie, bym został dłużej.

10

Przy śniadaniu Irena opowiadała o swoich planach na dzień. Miała dać zastrzyk staremu mężczyźnie. Zamierzała piec chleb z młodymi ludźmi: w czwartki zawsze piekli. Nie zaproponowała, że odwiezie mnie do Rock Harbour, a ja nie poprosiłem o to. Kiedy odprowadzałem ją do dżipa, powiedziała:

– Wrócę o tej samej porze co wczoraj, mam nadzieję, że w lepszej formie. Ugotujesz znowu?

Znów usiadłem na ławce pod zadaszeniem. W odróżnieniu od dwóch ostatnich dni świeciło słońce, nie marzłem, więc nie potrzebowałem koca. A mimo to po raz kolejny miałem wrażenie, że czas się zatrzymał, a ja razem z nim.

Musiałem podjąć pewne decyzje. Musiałem zadzwonić do kancelarii. Przekazać zadania. Dobra kancelaria działa jak maszyna, w której każdy trybik we właściwym momencie rozpoczyna pracę i we właściwym momencie się zatrzymuje i w której, jeśli jakiś trybik wypadnie, inny kręci się zamiast niego. Przez długi czas sądziłem, że jestem pasem napędowym, a bez niego maszyna pracuje jeszcze trochę, po czym zaczyna zgrzytać, potem przerywa, a w końcu się zatrzymuje. Ale pasa napędowego nie ma, są tylko trybiki i nawet duży tryb można szybko zastąpić – czy to dużym trybem, czy kilkoma małymi. Gdybym wypadł na dłużej, kancelaria by się nie zatrzymała. Nie wypada jednak tak po prostu się nie zjawić. Jeśli senior nie zachowuje się tak, jakby był niezastąpiony, partnerzy także czują się zbędni i tracą motywację.

Właściwie dobrze by było, gdyby każdy musiał pracować, ale sam mógł określić moment, kiedy kończy z pracą. Od tego momentu społeczeństwo przez trzy lata powinno mu płacić tyle, ile będzie potrzebował na zgodne z jego wyobrażeniem, przyjemne życie. Potem musiałby się pożegnać z życiem, sam jednak by określił, w jaki sposób.

Wiem, że nie da się tego pomysłu zrealizować. Ale rozwiązałyby to nie

tylko problemy naszego starzejącego się społeczeństwa. Dałoby też każdemu kontrolę nad własnym życiem. Kto w wieku dwudziestu sześciu lat nie chciałby dłużej pracować i uczynić ostatnich lat młodości ostatnimi latami swego życia, i żyć pełną piersią, mógłby przestać pracować w tym wieku, a kto nie chciałby rezygnować z pracy, mógłby pracować, jak długo zechce, a ryzykowałby jedynie to, że pewnego dnia, pracując, postarzałby się za bardzo, żeby zdążyć nacieszyć się swoimi trzema wolnymi latami.

W każdym razie ja nie roszczę sobie pretensji do więcej niż trzech lat po zakończeniu życia zawodowego. Nie rozumiem emerytów i rencistów, którzy podróżują do Chin i spędzają dwa dni w Szanghaju, trzy w Pekinie, jeden na Wielkim Murze i pięć dni na plaży w Qingdao. Podczas tych dalekich podróży nie zobaczą więcej niż w telewizji. To, co opowiadają w domu o dalekich stronach innym emerytom i rencistom, tamci już wiedzą. Tego, co opowiadają swoim dzieciom, te nie chcą wiedzieć. Kiedy chcą się cieszyć swoimi wspomnieniami, bo nie mogą już podróżować, okazuje się, że zapomnieli. Postarzyć się, żeby wreszcie zobaczyć świat – co za głupota. Głupotą jest także postarzyć się, żeby zobaczyć, co dalej dzieje się ze światem i jak dorastają wnuki. Po co zabierać się do lektury książki, skoro wiadomo, że człowiek nie zdoła doczytać jej do końca, tylko będzie musiał zamknąć ją w środku i odłożyć?

Trzy lata takich idiotyzmów wystarczą. Trzy lata! Zastanawiałem się, ale nie przychodziło mi do głowy, czym miałbym wypełnić te trzy lata. Nie przyszło mi też jednak do głowy, dlaczego miałbym się jeszcze troszczyć o fuzje i zakupy. Nurtowała mnie ta podwójna konstatacja. Dopóki nie zasnąłem rozgrzany i zmęczony słońcem.

Zbudził mnie helikopter. Nie leciał przez góry, ale wzdłuż wybrzeża, skręcił nad zatokę i krążył nad plażą i mołem. Potem opuścił zatokę, tak jak przybył. Leciał nisko, był głośny, terkoczące i świszczące łopaty wirnika wzburzały powierzchnię morza.

Nie miał żadnego napisu, nie był też oznakowany jako helikopter policyjny lub ratunkowy bądź telewizyjny. Błyszczący metal, odbijające się światło w oknach, głośne, niskie podejście do lądowania nad wzburzoną powierzchnią morza – przypominało to prawie nalot. Wstałem wystraszony, z mętlikiem w głowie. Tajne służby? W co ta Irena się wplątała? Była nielegalnie w kraju, ale z tego powodu tajne służby nie wysyłają helikopterów. Może to jednak nie były tajne służby, tylko przestępczość zorganizowana, tak czy owak musiała popełnić coś złego. Chyba że w helikopterze siedzieli inwestorzy planujący turystyczny rozwój zatoki? Nie, zatoka była rezerwatem przyrody, w helikopterze nie siedzieli inwestorzy, tylko agenci lub mafiosi, w garniturach albo skórzanych kurtkach, z laptopem albo pistoletem, albo z jednym i drugim. Miałem ostrzec Irenę? Odnalazłbym drogę?

Czułem, że nie stoję już sam pod zadaszeniem. Obejrzałem się: kilka kroków za mną stał chłopiec, który dwie noce wcześniej kuczał na balkonie, spojrzenie głęboko osadzonych czarnych oczu skierował na mnie. Kari. Rysy jego twarzy były dla mnie tak obce, że nie potrafiłem ocenić jego wieku. Musiał mieć więcej niż osiemnaście lat, wystarczająco dużo, żeby ostrzec Irenę.

– Potrafisz odnaleźć Irenę?

– Czego oni chcą?

– Nie wiem. Ale powinna wiedzieć, że był tutaj helikopter.

Skinął głową, odwrócił się i ruszył biegiem, płynnie, równomiernie, bez wysiłku. Patrzyłem za nim i słuchałem oddalających się kroków, dopóki nie zniknął na stoku między drzewami. Przez chwilę panowała cisza. Znowu

słyszałem szemranie fal spływających z powrotem do morza po drobnych kamyczkach. Zmrużyłem oczy przed słońcem.

Po jakimś czasie helikopter wrócił. Najpierw go usłyszałem, potem zobaczyłem. Podleciał do starego domu, pod którego zadaszeniem stałem, zawisł w powietrzu, po czym obniżył lot i usiadł na molo. Znow wzburzył morze. Po chwili silnik przestał pracować. Ukazał się pilot, a po nim pasażer, któremu ten pierwszy pomógł wysiąść: starszy mężczyzna o lasce, wysoki i chudy, ale o gęstych siwych włosach, wyprostowanej sylwetce i pewnych ruchach. Gundlach.

12

Schwind pana przysłał? Znowu go pan reprezentuje? Chce odzyskać obraz, prawda?

Zobaczył mnie, podpierając się laską, a jednocześnie pełen energii ruszył w moim kierunku i mówił. W końcu stanął przede mną.

Irytował mnie. Nie lubiłem go od tamtego czasu, gdy byłem u niego w domu, a on wziął mnie pod ramię. Ilekroć spotykaliśmy się potem w towarzystwie, zawsze zachowywał się protekcyjnie; teraz uznałem go za grubianina.

– Czy nie dał mu pan obrazu? Za który przyprowadził panu Irenę? Której nie potrafił pan zatrzymać?

– To była dziecinada – prychnął pogardliwie. – Obraz należy do mnie. Zniknął, ale teraz znowu jest tutaj. Czy pański klient...

– Schwind nie jest moim klientem.

– Więc co pan tutaj robi?

– Nie pańska sprawa.

Lekceważąco machnął ręką.

– Zawsze był pan taki przeczulony. Właściwie to zdumiewające, że tak się pan wybił jako adwokat. Kiedy Irena wróci?

Wzruszyłem ramionami.

– No to obejrzę sobie to tutaj. Wybrała sobie piękne miejsce, nikt nie przyjeżdża, nikt nie przeszkadza... a w dodatku nawet to do niej nie należy. Ja na coś takiego muszę ciężko pracować.

I odszedł, ale zaraz się odwrócił i zmierzył mnie spojrzeniem.

– Pan tutaj... – Pokręcił głową. – Zawsze pana podejrzewałem, ale nie mogłem uwierzyć, że jako adwokat by się pan ośmielił. – Roześmiał się. – W każdym razie miał pan dobrego nosa, lepszego niż ja. Gdybym przeczuwał, że pewnego dnia ten obraz będzie wart ponad dwadzieścia milionów...

Patrzyłem za nim, jak wchodzi do dolnego budynku, wychodzi z niego,

wspina się po schodach do górnego i znika wewnątrz domu. Opierał mocno laskę na stopniach schodów i deskach podłogi; kiedy przestałem go już widzieć, słyszałem jeszcze przez chwilę stukanie jego laski. Potem zrobiło się cicho. Pilot usiadł na skraju pomostu, dyndał nogami i palił papierosa.

Wyszedłem na spotkanie Ireny tak daleko, jak mogłem rozpoznać ślady prowadzące do farm. Potem usiadłem na kamieniu i czekałem. Powietrze znów wypełniał zapach sosen i eukaliptusów, a uszy – dzwonięcie cykad. Mimo że poprzedniego dnia spadł deszcz, wszystko było suche, trawa i krzaki zbrązowiały, a drzewa wyciągały ku niebu uschnięte gałęzie. Dżipa usłyszałem już z daleka.

Irena znów wyglądała na wyczerpaną. Powiedziałem jej, że jest Gundlach, ale nie przestraszyła się, jak się spodziewałem, tylko się ożywiła: oczy jej błyszczały, policzki się zaróżowiły, a głos nabrał mocy. Chciała wiedzieć, o czym rozmawialiśmy, więc jej przekazałem.

– O, tak – zauważyła, śmiejąc się – on taki jest.

– Spodziewałaś się go?

Skinęła głową.

– Oddałaś obraz do Art Gallery, żeby go tu zwabić?

Wzruszyła ramionami, wymijająco, na znak aprobaty, odmownie, może zła na mnie, że użyłem czasownika „zwabić”.

– Schwind też się zjawi?

– Mam nadzieję.

– Czy kiedy oddawałaś obraz do Art Gallery, pomyślałaś też o mnie?

– Czy ciebie też chciałam tutaj zwabić? Chciałam jeszcze raz zobaczyć Petera i Karla. O tobie nie pomyślałam.

Wiedziałem, że nie mam do tego prawa, byłem jednak urażony. Zauważyła to pomimo jazdy po wertepach i położyła mi dłoń na ramieniu, a ja zdjąłem ją z powrotem z ramienia.

– Już dobrze. Potrzebujesz obydwu rąk do kierowania.

– Chcę wiedzieć, co pozostało. I co wtedy... Naprawdę byłam dla nich tylko trofeum i muzą? Kim oni byli dla mnie? Sądzę, że kochałam w nich to, co bezwarunkowe, pełne zaangażowanie, które miało umożliwić Peterowi coraz

większe bogactwo i potęgę, a Karlowi pozwolić namalować doskonały obraz. Obaj byli opętani, a ja szukałam czegoś, co i mnie by opętało. Odziedziczyłam majątek, matka pozwoliła mi robić, co chcę, chciała tylko, żebym pozwoliła jej na to samo, studiowałam historię sztuki, pracowałam w muzeum i myślałam... Naprawdę myślałam, że z właściwym mężczyzną znajdę właściwe życie. Życie, w którym opęta mnie coś wielkiego, za co będę mogła oddać wszystko.

Dlaczego nie urodziła dzieci, a później znajdowała dzieci na ulicy? Zamiast tego zapytałam, co takiego mogłoby pozostać.

– Że Gundlach nadal chce być coraz bogatszy i potężniejszy? Że Schwind nadal chce namalować doskonały obraz?

Zatrzymała samochód.

– Nie wiem.

– Że nadal cię kochają?

– To byłoby głupie. – Milczała przez chwilę, po czym zaczęła mówić znowu, powoli i z wahaniem: – Na pewno ucieszyłabym się już, gdybym ich rozpoznała. I odnalazła w sobie powody, dla których ich kochałam. Dla których ich opuściłam. Ty miałeś uregulowane życie. Moje życie przypomina w dotyku wazon, który upadł na ziemię i rozprysnął się na kawałki.

Irena i Gundlach objęli się na powitanie, po czym zasypali się pytaniami, dopóki ze śmiechem nie zauważyli, że jest ich za dużo i są zbyt poważne. Pozostały więc te proste. Czy będzie tu spał? Pilot też? Czy są głodni? Gundlach zaofiarował się, że każe przywieźć kolację śmigłowcem, ale ucieszy go również wszystko, co poda na stół Irena. Kiedyśmy we dwoje z Ireną gotowali, stał obok nas wsparty na lasce i opowiadał o artykule w „New York Timesie” i późniejszych relacjach w niemieckich mediach. Obraz *Kobieta na schodach*, który zajmował stałe miejsce w albumach Schwinda, nigdy jednak nie został wystawiony, a o jego losach Schwind wyrażał się zawsze wymijająco, owiewała aura tajemniczości, skutkiem czego jego wystawienie akurat w Art Gallery Nowej Południowej Walii stało się sensacją.

Gundlach zawołał pilota na kolację, a po niej go odesłał. Mnie by też chętnie odesłał. Kiedy Irena postawiła na stole świecę i czerwone wino, zapytał:

– Możemy porozmawiać w cztery oczy?

Uśmiechnęła się i odpowiedziała:

– Nie mam przed nim tajemnic.

Uszczęśliwiły mnie jej słowa, choć nie były prawdziwe.

Gundlach opowiadał o swoich sukcesach i dzieciach, o swojej trosce o przyszłość firmy i kraju, o swojej dumie z tego, co osiągnął w życiu. Nie słuchałem wyznań człowieka opętanego jakąś ideą, tylko bezkrytycznego bilansu zadowolonego z siebie mieszczucha. Podobnie jak w rozmowie ze mną Irena odbijała piłeczkę, gdy pytał o jej życie, i w sumie nie powiedziała nic o sobie. Wydawało się, że jemu to nie przeszkadza; zastanawiałem się, czy podobnie jak ja jest zbyt uprzejmy, żeby okazać irytację, czy też nie nalega, bo i tak wie o niej to, co chce wiedzieć. Uśmiechał się za każdym razem, kiedy robiła unik i nie odpowiadała na jego pytanie.

Potem zaczął mówić o swoim małżeństwie. Że jest szczęśliwy, jego żona

jest dobrą żoną, wzięta maklerka, a równocześnie zawsze mająca dla niego czas, kiedy jej potrzebował. Ale jest tak młoda, że on czasami czuje się staro. Popatrzył na Irenę.

– Ty też byłaś młoda, ale przy tobie nie czułem się staro. Wiem, byłem młodszy i różnica wieku była mniejsza. Ale to nie wszystko. Kiedy teraz zobaczyłem cię na obrazie, znowu poczułem się młodo. – Uśmiechnął się. – Obrazy mamy po to, żeby zatrzymać bieg czasu. Kazałem cię wtedy namalować, żebyś pozostała młoda, a ja razem z tobą. – Gundlach pochylił się i wziął w rękę dłoń Ireny. – Wszystko zrobiłem wtedy źle. Nie potrafiłaś ze mną żyć. Ale zostaw mi swój obraz.

Irena patrzyła na morze. Z jej twarzy zniknęła wszelka świeżość i wszystkie kolory, pozostało tylko zmęczenie, tylko wyczerpanie. Skończył się urlop od choroby, o której nie chciała ze mną rozmawiać. Przejechała dłonią po głowie Gundlacha, jak przejeżdża się przy okazji po głowie psa, który usiadł obok swojego pana, i wstała. Ledwo trzymała się na nogach, ale kiedy chciałem wstać i jej pomóc, posłała mi spojrzenie, które zabroniło mi tego. Przed Gundlachem nie chciała być słaba.

– Dobranoc.

Podeszła powoli do schodów i zaczęła wchodzić: przed każdym krokiem długo zbierała siły na następny stopień, na jeszcze jeden i jeszcze jeden. Z bólem patrzyłem na to.

– Co jej jest? – wyszeptał Gundlach.

– Niech pan ją sam zapyta. – Po chwili jednak nie mogłem się powstrzymać. – Nieźle pan pokoloryzował. Właściwie to zdumiewające, że osiągnął pan takie sukcesy w gospodarce i polityce. Myślałem, że do tego potrzeba jednak też pewnej wrażliwości.

– Patrzy pan na ludzi w zbyt dużym uproszczeniu. Poetyckie serce i głowa przekupnia... nie chcę się porównywać z Rathenauem, ale jedno wiąże się z drugim, a w tym, że chcę żyć z obrazem i jednocześnie mieć należne mi miliony, nie ma żadnej sprzeczności.

– Czytał pan Rathenaua?

– Owszem, czytałem Rathenaua i Webera, i Schumpetera, i Marksa, jeśli mówią panu coś te nazwiska. Mam w głowie nie tylko bilanse i kursy. A jeśli mam rację i wtedy pomógł pan Irenie, i poruszę ten aspekt podczas procesu, to będzie pan załatwiony jako adwokat. Powinien się pan modlić, żebym nie musiał wytaczać procesu o ten obraz, ani Schwindowi, ani Irenie.

Mówił coraz głośniej. Poprosiłem go, żeby był cicho, Irena chciała spać.

– Niech posłucha, co mam do powiedzenia. Tutaj i tak wszyscy zdają się wszystko wiedzieć. Nie mogę porozmawiać z Ireną, jeśli pana przy tym nie ma. Niech pan się jutro wybierze na spacer, piękny, długi spacer. Zrozumieliśmy się?

Kiedy jeszcze zastanawiałem się, czy skinąć głową, tylko dlatego żeby Gundlach ściszył głos, z ciemności wyłonił się Kari. Nie wykonał żadnego groźnego gestu, a mimo to wyglądał groźnie. Spojrzał na Gundlacha i położył dłoń na ustach. Gundlach wpatrywał się w niego nieruchomym wzrokiem, jakby miał przed sobą ducha. W następnej chwili Kari zniknął, a Gundlach zaczerpnął głęboko powietrza i pokręcił głową.

– Ja... ja idę do łóżka.

15

Następnego ranka Irena nie wstała, a mnie obudziło stukanie laski Gundlacha na stopniach schodów. Ubrałem się, podszedłem do okna i zobaczyłem go. Stał na plaży i patrzył na morze. Pilot pewnie już wcześniej wstał bardzo cicho i wyszedł. Teraz znów siedział na moło, dyndał nogami i palił.

Czy to Irena wołała? Zapukałem do jej drzwi.

– Wejść! – zawołała słabym głosem.

Leżała na łóżku, głowę oparła o poduszkę przyciśniętą do ściany i wyglądała tak źle – twarz blada, policzki zapadnięte, włosy mokre od potu – że najchętniej od razu zawiózłbym ją helikopterem do szpitala. Usiadłem na brzegu łóżka i wziąłem ją za rękę.

– Co ci jest?

Pokręciła głową.

– Przecież nie masz przede mną tajemnic.

Uśmiechnęła się.

– Tylko parę.

– Helikopterem to...

– Zaraz się podniosę. Dzisiaj... Przyniesiesz mi mocnej kawy?

Cokolwiek bym zrobił, byłoby błędem. Błędem byłoby przenieść ją wbrew jej woli do helikoptera i zawieźć do szpitala. Błędem byłoby pomóc jej, żeby pobudziła się kawą, gonila przez cały dzień, a wieczorem padła z wyczerpania. Ona natomiast nie chciałaby, żeby zostawić ją w łóżku i opiekować się nią, dopóki nie poczuje się lepiej. Ja nie potrafiłem zostawić jej w łóżku i nie opiekować się nią.

– A co będzie, kiedy dziś zjawi się Karl? Będę mogła odpocząć, gdy Peter i Karl wyjadą, jutro lub pojutrze. Teraz muszę stanąć na nogach. Pomożesz mi? Proszę!

Zrobiłem więc mocną kawę, przyniosłem jej do łóżka dzbanek i filiżankę, z szafy wziąłem też skórzany woreczek, z którego wyjęła małe lustereko, biały

proszek, żyletkę i szklaną rurkę, i patrzyłem, jak wciąga do nosa kokainę. W drodze do łazienki musiałem ją jeszcze podpierać. Potem nie potrzebowała już mojej pomocy: wyszła z łazienki ciężkim, ale mocnym krokiem, z jasnym spojrzeniem. Była ożywiona – jak wczoraj po przyjeździe Gundlacha.

– Jest już późno. Przygotuję śniadanie. Pójdiesz po tamtych?

W drodze na plażę zobaczyłem na końcu zatoki łódź skręcającą ku nam, a kiedy dotarłem do Gundlacha, on również ją zobaczył. Łódź zbliżała się, przed małą kajutą stał Schwind i jak my widzieliśmy go coraz wyraźniej, tak i on musiał nas widzieć. Schwind i Gundlach mieli dość czasu, żeby przygotować się jeden na drugiego. Ja posłałbym obu do diabła.

16

Schwind wysiadł z tej samej łodzi, którą i ja przypłynąłem. Skinął głową Gundlachowi i mnie, rozejrzał się badawczo dokoła i zdecydowanym krokiem ruszył do domu na zboczu. Nadal był dużym mężczyzną, ale o bardziej nienaturalnej niż wtedy postawie i bardziej kanciastych ruchach, masywniejszy za sprawą łysej czaszki, i emanował wielką siłą.

Kiedy Gundlach i ja weszliśmy do kuchni, Schwind trzymał w ramionach Irenę.

– Gdzie byłaś? Szukałem cię, zawsze cię szukałem. – Kiedy zobaczył nas, puścił Irenę, podszedł do drzwi, sięgnął ręką w ich kierunku i warknął na nas: – Wyjść!

Irena roześmiała się.

– Siadajcie. Śniadanie zaraz będzie gotowe.

Wyglądało na to, że wszystko ją cieszy, objęcia Schwinda, jego wybuch, napięcie w pomieszczeniu.

– Czego my tu jeszcze szukamy? Płynimy, łódź czeka. Możemy zjeść śniadanie w Rock Harbour, a w nocy polecieć z Sydney do Nowego Jorku. Rozmawiałem z Art Gallery: Jedno twoje słowo, a wyprawia obraz w drogę do Nowego Jorku, w samą porę na moją retrospektywę. Pamiętasz, jak marzyliśmy o tym? O wystawie w MoMA?

Irena skinęła głową.

– Marzyliśmy o otwarciu, o mówcach, którzy będą dostrzegać w moich obrazach arcydzieła, a we mnie mistrza, o podziwie gości. Marzyliśmy o drodze powrotnej przez Central Park, o nocy w hotelu, o szampanie, o wielkiej wannie, o wielkim łóżu z widokiem na miasto. W końcu to się spełnia.

Irena uśmiechnęła się życzliwie, z rozbawieniem, ale i z dystansem.

– Brzmi pięknie.

Gundlach nie wytrzymał.

– Bzdura! Swoją pierwszą wielką wystawę w Nowym Jorku miał pan przed laty. Może o niej pan jeszcze marzył. O retrospektywie, która była już w Berlinie i Tokio, a teraz pojedzie do Nowego Jorku, już pan przecież nie marzy! Czy pan w ogóle jeszcze o czymś marzy? Pewien kolega opisuje pana jako wyrachowanego osobnika, który uprawia grę z publicznością, rynkiem sztuki i cenami. Jestem człowiekiem interesu, nie mam z tym kłopotów. Ale Irenie niech pan nie opowiada bajek!

Schwind nie odwracał oczu od Ireny. Wpatrywał się w nią dziecięcym, ufnym wzrokiem, który znałem z tamtych czasów.

– Nie było cię na żadnej z moich wystaw, ani twojego obrazu, ani ciebie. Nowy Jork w przyszłym tygodniu... to będzie pierwsza wystawa, na której wszystko będzie się zgadzać.

– To będzie pierwsza wystawa, na której wszystko będzie się zgadzać – powtórzył Gundlach, małpując Schwinda. – Pan chce mieć tylko obraz, nic poza tym.

– Co on gada? – Schwind popatrzył na Irenę, jakby oboje słyszeli paplanie jakiegoś półgłówka. – Rozmawiałem z kustoszem i wyjaśniłem mu, że długo miałas w pieczy mój obraz i że rozumiem, że bez słowa od ciebie nie może go wysłać do Nowego Jorku. Co jego to obchodzi? – Wskazał głową w kierunku Gundlacha.

Zanim Gundlach zdążył wyjaśnić Schwindowi, co go to obchodzi, Irena przypomniała o śniadaniu.

– Kawa jest gorąca, boczek wystygnie, trzeba wbić jaja do patelni. – Do mnie zaś powiedziała: – Pójdiesz po pilota? I zapytasz Marka, czy wdepnie na kawę?

Gdy wróciłem z obydwoma, panowało zawieszenie broni. Gundlach nie wpadał Schwindowi w słowo, kiedy ten opowiadał Irenie o swoich pracach abstrakcyjnych, a Schwind mu nie przerywał, kiedy Gundlach mówił o regulacjach sukcesyjnych w prowadzeniu przedsiębiorstwa. Irena tronowała między nimi, a także nad nami trzema, pilotem, Markiem i mną, którzyśmy rozmawiali o pierwszym i ostatnim papierosie w życiu. Odkąd byłem u niej, nie widziałem jej tak ożywionej, tak promiennej, tak pięknej. Jak długo można być na kokainowym haju?

Po śniadaniu Mark odpłynął. Kiedy przyjdzie pora, Irena lub ja odwieziemy Schwinda do Rock Harbour. Pilot zaproponował, że może z nim wtedy polecieć, ale Gundlach zaraz go ofuknął: to on wynajął helikopter i potrzebuje go w gotowości, pilot ma sobie iść i dbać o to, żeby rzecz latała, kiedy będzie potrzebna.

Następnie Gundlach popatrzył w krąg.

– Porozmawiajmy rozsądnie. Ostatnim udokumentowanym właścicielem obrazu jestem ja. Pan, panie Schwind, musiałby go ode mnie nabyć... a jak? Na podstawie umowy? Ta umowa nie nadawała się do niczego. Gdzie ona w ogóle jest? Poza tym nie chciałby pan obstawać przy niej przed sądem, a potem przeczytać w prasie, że dostał pan obraz w zamian za kobietę, bo miał dla pana większą wartość...

– Prasa je mi z ręki. Postaram się przedstawić całą historię w taki sposób, że ludzie będą sobie gęby wycierać panem, a nie mną. Umowa... umowa była sprzeczna z dobrymi obyczajami, tyle już wiem, ale wiem też, że nie można żądać zwrotu czegoś, co zostało wykonane na podstawie takiej nieobyczajnej umowy. A pan przekazał mi obraz w swoim domu...

– Przekazał? Obraz był nadal na moim terenie, jeszcze w rękach mojego kamerdynera, i dopiero miał przejść w pańskie posiadanie. To się nie udało. Auto, do którego włożono obraz, nie było już w pańskim posiadaniu, tylko

w posiadaniu złodzieja... złodziejki, jak teraz wiemy, i jej pomocnika.

– Jeśli pan uważał, że obraz nadal należy do pana, to dlaczego nie zgłosił pan straty? Dlaczego nie ma go w Art Loss Register?

– Dlaczego nie zgłosiłem straty? Już wtedy podejrzewałem, że to Irena ukradła obraz, i nie chciałem jej zaszkodzić.

– Jak zgłoszenie w rejestrze miałooby zaszkodzić Irenie? A jeśli nie chciał pan jej zaszkodzić wtedy, dlaczego chce pan teraz?

– Nie chcę jej zaszkodzić. Chcę tylko, żeby wyjaśniła w Art Gallery, że chodzi o mój obraz. Który może jeszcze powisiec chwilę w tej galerii. Pan też może go pokazać jako depozyt na swojej retrospektywie. – Gundlach zwrócił się do Ireny: – Ale musisz położyć kres temu zamieszaniu.

Popatrzył na nią urażonym wzrokiem i nagle zrozumiałem, o co mu chodzi. Także o obraz i także o pieniądze. Ale ważniejsze było coś innego. Gundlach czuł się pokonany przez śmiejącą się Irenę, tak samo pokonany jak wtedy, kiedy go opuściła i nie mógł jej odzyskać. Może już wcześniej czuł, że nie dorównuje tej kobiecie, która wobec niego nigdy nie zrezygnowała z oporu, odmowy i przekory. Irena była porażką jego życia i przybył tutaj, żeby sobie tę porażkę zrekompensować.

Gundlach roześmiał się. Był to brzydki, szyderczy śmiech.

– A więc jeszcze raz, jedno po drugim. Jeśli on – wskazał głową w moim kierunku – ma jeszcze tę umowę, nie kiwnie palcem, żeby ją odszukać. Takiej umowy się nie spisuje, młody adwokat nigdy się nie odważy, a stary nigdy się nie przyzna, że kiedykolwiek spisał. Nie, panie Schwind, umowa panu nie pomoże. Jeśli pan sądzi, że ma pan Irenę jako świadka, Irena też panu nie pomoże. Nie wystąpisz przed sądem jako świadek, Ireno, nie...

– Masz rację. Nie wystąpię przed sądem. – Wstała. – Obraz...

Ale Gundlach nie pozwolił odebrać sobie triumfu.

– Jesteś poszukiwana w Niemczech i byłabyś poszukiwana również tutaj, gdyby wiadano, że tu przebywasz. Nie wiem, dlaczego nikt cię nie rozpoznał. Bo nigdy nie byłaś aresztowana i podobno nigdy nie byłaś przesłuchiwana przez służby śledcze? Bo policja nie ma twojej dobrej fotografii jako osoby poszukiwanej, tylko zdjęcie z kontroli radarowej, na którym masz ufarbowane włosy i nosisz okulary przeciwsłoneczne, a głowę spuściłaś? Ale ja rozpoznałem cię na plakatach osób poszukiwanych i jeśli pokażesz się znowu, inni też cię rozpoznają.

Irena nie odpowiedziała. Popatrzyła z powątpiewaniem na Gundlacha, jakby nie wiedziała, co sądzić o jego wyjawieniu albo o nim lub sobie samej, i z uśmiechem wzruszyła ramionami.

– Chcesz na mnie donieść?

– Co wtedy zrobiłaś? Wiedziałaś, jak żyjemy, jak mieszkamy, gdzie jeździmy... mogłaś się przydać swoim przyjaciołom.

– My? – Irena obrzuciła go szyderczym spojrzeniem.

– Znam cię. Twoją przekorę, twój upór, twoją buntowniczą naturę. Chciałaś czegoś więcej, nie tylko spotkać mnie i jego – wskazał głową w kierunku Schwinda – i jego – wskazał w moją stronę – chciałaś się ze wszystkimi rozliczyć. Jak daleko się posunęłaś? Chciałaś pewnego dnia zadzwonić do drzwi, jakby wszystko było znowu dobrze? I najpierw zastrzelić Hannesa, a potem mnie? – Mówiąc to, Gundlach wpadł w furję. – Hannes cię lubił, był moim kamerdynerem, ale ciebie lubił bardziej niż mnie i oczywiście wpuściłby cię do środka, i bez trudu byś go... albo najpierw mnie, a potem jego...

Popatrzył na Irenę, jakby zagrażała mu także teraz.

– Sądzisz, że chciałam cię zastrzelić?

– Jeśli nie ty, to twoi przyjaciele, z twoją pomocą. Myślisz, że nie pamiętam? Pamiętam wszystko: jak nienawidziłaś naszego życia, jak marzyłaś o pełnym zaangażowaniu w wielką sprawę. Włączyć się tam, gdzie teraźniejszość dzieje się najintensywniej, pamiętasz? A kiedy cię zapytałem, co byś robiła z taką dewizą pod rządami Hitlera albo Stalina, przekornie milczałaś. Uznałaś, że to zadanie dla artysty, a potem, że dla rewolucji. Zabić człowieka, którego i tak opuściłaś... dla rewolucji to przecież nic wielkiego!

– Nikt nie chciał cię zabić. Nikt nie uważał, że jesteś taki ważny. Ty...

Gundlach zerwał się na równe nogi. Wsparł się rękami na stole, pochylił w stronę Ireny i zaatakował ją:

– A jeśli twoi przyjaciele uważaliby, że jestem dostatecznie ważny? To co wtedy? Przyłączyłabyś się? Strzeliłabyś?

Ja zawsze jestem powolny, ale Schwind również nic nie zrobił, tylko się przyglądał. Kari wkroczył do akcji. Gdziekolwiek był wcześniej, usłyszał podniesiony głos Gundlacha i wyobraził sobie, że Irena jest w niebezpieczeństwie, podszedł cicho i stanął za Gundlachem, chwycił go za ramiona i posadził na krześle. Gundlach zbladł, dygotał, z trudem łapał powietrze – nie wiem, jak wygląda zawał serca, tak sobie go wyobrażam.

Irena wstała, podeszła do Gundlacha, wzięła go za rękę, zmierzyła mu tętno i pokręciła głową: nic. Objęła go.

Nikt nie miał ochoty się odezwać. Schwind, marszcząc czoło, przyglądał się, jak Irena trzyma Gundlacha w objęciach. Morze przepływało po kamyczkach, jakiś ptak powtarzał wciąż cztery dźwięki.

– Nic bym ci nie zrobiła. Choć życie było takie zwariowane i choć ja byłam zwariowana... – Irena pokręciła głową. – Rozsypałam się zupełnie, byłam wolna od wszystkiego, co mnie ograniczało... i wszystkiego, co mnie trzymało. Życie przypominało nałóg. Potem jakbym była na odwyku: bezsenność, kołatanie serca, gwałtowne pocenie się. Dopóki i to nie minęło i pozostała tylko wielka pustka. Wszystko odsunęło się w dal, kolory były matowe, odgłosy słabe, a ja przestałam cokolwiek odczuwać. Z wyjątkiem złości. Nie wiedziałam, że mogę czuć taką złość, że mogę krzyczeć, walić pięścią w stół albo w ścianę, a na koniec płakać, płakać ze złości...

Puściła Gundlacha, który tymczasem doszedł do siebie, popatrzyła na nas, jednego po drugim, i zauważyła nasze zakłopotanie po jej nagłym wyznaniu. Usiadła i roześmiała się.

– No cóż, w NRD kolory też były bardziej matowe niż na Zachodzie. Tynk brązowoszary jak piaski Brandenburgii, stare kamienne budynki, nigdy nieodnawiane, wysłużone zielone wagony tamtejszej kolei, wyblakłe czerwone flagi i transparenty. Ale życie tam było dla mnie ratunkiem. Po zwariowanych latach przypominało pobyt w sanatorium, w którym nie ma wielu rzeczy, ale jest spokój. Nie ma kłujących w oczy kolorów, muzyki, która przenika na wylot, erotycznych obietnic na każdym plakacie ani superokazji, za którymi trzeba gonić podczas wyprzedaży. A w sanatorium nic się nie zmienia, w każdym razie nie zmienia się naprawdę, dzień w dzień ta sama rutyna.

Gundlach lekceważąco machnął ręką, jakby chciał zmazać lub odrzucić jej słowa.

– Nie chcesz nam chyba...

– Niczego nie chcę wam wmawiać. Było wodzenie na pasku, niedbalstwo,

braki, wiem o tym wszystkim. Ale nie cierpiałam z tego powodu. To tak... to tak, jakbym była z wizytą u amiszów. Amisze mogą uciec, co tam było niemożliwe, ale u nich także się żyje według surowych zasad, ja jednak nie chciałam uciec. Zatrzymanie czasu, spokój, brak sensacji... dobrze mi to robiło. Impreza z okazji ukończenia daczy, na którą materiały zdobywało się przebiegłością i dużym nakładem sił, a pomagała ją budować rodzina i przyjaciele, wyjazd z załogą na operę do Berlina, spływ łodzią przez Spreewald z namiotem podczas wakacji, czytanie klasyków, których można było łatwo zdobyć, i innych autorów, trudnych do zdobycia... mnie to wystarczało.

– Biedermeierowska idylla? – Schwind zaśmiał się szyderczo.

– Może – Irena zawtórowała mu śmiechem – może to niezłe porównanie. W biedermeierze też nie było politycznej wolności.

– Ale za to piękne meble, podróże do Francji, a kto miał dość, wyjeżdżał do Ameryki.

– Nie potrzebuję pięknych mebli. Nie muszę podróżować – roześmiała się znowu – chyba że muszę. Kochałam krajobrazy, pogodny nad Soławą i Unstrutą, melancholijny w Meklemburgii i na Pomorzu i nawet zdewastowany tam, gdzie były odkrywkowe kopalnie węgla brunatnego. Kochałam także ciepłą letnią mżawkę w Bitterfeld, taką mgiełkę powstającą z wilgoci, dymu i chemii. I wiosenny deszcz, który zmywa zniszczone ulice i wypłukuje zimowe brudy z dziur i szczelin. Kochałam tramwaje, które były wprawdzie poobtłukiwane, ale mogły być po prostu tramwajami i nie musiały reklamować coca-coli czy zgrabnych nóg.

– Tamtejsze obskurantstwo nie było lepsze od nazistowskiej pompy i wystawności – oburzył się Gundlach. – Są prawdy polityczne...

– Żyłam z malarzem. Codziennosc skrywa wszędzie nie tylko szczęście i nieszczęście, prawo i bezprawie, ale istnieje też piękno. Brzydota także, ale mnie cieszyło piękno, które tam było i którego już nigdy nie będzie.

– Dlaczego tam nie zostałeś?

– Przecież wiesz. Od dziewięćdziesiątego roku nie było już „tam”. Było tylko „tutaj” i zdjęcie kobiety z farbowanymi włosami w okularach przeciwsłonecznych.

– Dlaczego cię nie schwytano?

– Jak innych? Bo od razu po upadku muru wyjechałam. Stare rzeczy miałam u matki, także stary paszport, wystawiony w osiemdziesiątym i ważny dziesięć

lat, wystarczająco długo, żebym zdążyła dotrzeć tutaj. Nigdy nie szukano mnie pod moim prawdziwym nazwiskiem, do przełomu funkcjonowałam jedynie jako osoba ze zdjęcia, a potem jako nazwisko, pod którym żyłam. – Wstała. –

Muszę się położyć, nie gniewajcie się na mnie. Spotkamy się o piątej na aperitifie, a potem zjemy razem kolację? Kazesz dzisiaj przywieźć jedzenie, jak proponowałeś wczoraj? Pomożesz mi wejść na górę?

Pomogłem jej wejść na górę i się położyć. Kiedy zajrzałem do skórzanego woreczka, mogłem ją uspokoić: miała dość kokainy na dzisiejszy wieczór i następny ranek, a nawet na dłużej. Zasnęła, nim opuściłem pokój.

Przypomniały mi się plakaty z jej zdjęciem, które przez jakiś czas wisiały w instytucjach publicznych i urzędach pocztowych i były pokazywane w telewizji po wiadomościach. Nigdy nie przyglądałem się im uważnie. Irena pod nagłówkiem „terroryści”? Z ufarbowanymi włosami, w okularach przeciwsłonecznych i ze spuszczoną głową? Poszukiwana w związku z udziałem w zabójstwach, podkładaniem ładunków wybuchowych, napadami na banki? A do tego ostrzeżenie, że może być uzbrojona w broń palną? I obietnica nagrody? Nie, nie przypominałem sobie.

Moja żona miała problemy z zapamiętywaniem twarzy; prozopagnozja, jak się tymczasem nauczyłem, jest psychiczną dyspozycją – jak dysleksja i dyskalkulia – która nie pozwala człowiekowi właściwie postrzegać, a także właściwie rozpoznawać twarzy. W polityce to poważne utrudnienie; moją żonę kosztowało wiele energii i dyscypliny, żeby nie urazić ludzi, z którymi stykała się jako polityk komunalny. Ponieważ nie wiedziała jeszcze, że chodzi o dyspozycję psychiczną, czyniła sobie w dodatku wyrzuty i uważała się za złego człowieka, który nie okazuje bliźnim należytej uwagi. Ja nigdy nie miałem problemów z zapamiętywaniem twarzy.

Nie znalazłem Schwinda i Gundlacha w kuchni ani na balkonie. Po chwili usłyszałem głosy z plaży, ale ledwo je mogłem zrozumieć. Pewnie siedzieli na ławce pod zadaszaniem domu przy plaży.

Już się nie kłócili. Ich rozmowa brzmiała tak, jakby lizali rany. Czy podobnie jak w wypadku Gundlacha Irena była porażką życia również dla Schwinda? Czy wtedy myślał, że może mieć jedno i drugie, obraz, ponieważ Gundlach był mu go winien, i Irenę, ponieważ należała do niego? A potem Irena pozbawiła go jednego i drugiego, zabrała mu obraz i sama do niego nie

wróciła?

Przypomniał mi się mój dziadek, który nie raz opowiadał, że znowu śniła mu się matura. Nie mogłem wtedy uwierzyć, że wczesne wydarzenie, po którym nastąpiło długie życie, może jeszcze tak żywo stać człowiekowi w pamięci. Dziadek zdał maturę bez trudu, studiował medycynę, otworzył i prowadził z powodzeniem gabinet – a śniła mu się matura? Schwind był najsłynniejszym i najdroższym współczesnym malarzem, uczniowie go czcili, krytycy mu nadskakiwali, kobiety go ubóstwiały – a on cierpiał z powodu śmiesznej porażki doznanej kilkadziesiąt lat wcześniej? A Gundlach, z sukcesami na wielu polach i wielomilionowym majątkiem, ojciec dwojga udanych dzieci, szczęśliwy w małżeństwie, nie mógł przeboleć, że harda Irena swego czasu go opuściła?

A może nie potrafimy przewyciężyć właśnie tych małych porażek? Pierwsze małe zadrapanie nowego auta boli bardziej niż późniejsze większe. Małe odłamki trudniej usunąć niż duże, a niekiedy dłubanie igłą nic nie daje i musimy czekać, aż wyjdą razem z ropą. Wczesne duże porażki prowadzą nasze życie w nowym kierunku. Wczesne małe nas nie zmieniają, ale towarzyszą nam i nas dręczą jak drobne kolce pozostałe w ciele.

Potem pojawia się kusząca szansa, żeby je zrekompensować, wydaje się w zasięgu, a jest tylko kłamstwem i złudzeniem – zaczynałem rozumieć Gundlacha i Schwinda. Nie żebym się czuł pokrewną duszą. To, co przeżyłem wtedy z Ireną, nie miało nic wspólnego z tym, co oni z nią przeżyli.

21

Kiedy zszedłem do nich na plażę, rozmawiali o swoich dzieciach i wnukach. Ile ich mają, jak one radzą sobie w świecie, czyje dzieci i wnuki odnoszą większe sukcesy – przez ułamek sekundy kusiło mnie, żeby przysiąc się do nich i pochwalić moimi dziećmi i wnukami.

Zadałem Schwindowi pytanie, które nurtowało mnie od jego przyjazdu:

– Naprawdę zastrzegł pan sobie decyzję wobec wszystkich swoich obrazów, co ma się z nimi stać, komu zostaną sprzedane lub wypożyczone?

– Co?

Popatrzył na mnie nierozumiejącym wzrokiem.

– Wtedy powiedział mi pan, że to, co się stało z obrazem Ireny, nie powtórzy się panu z żadnym innym pańskim obrazem. Będzie pan miał nad wszystkimi kontrolę...

– Ja tak powiedziałem? – Pokręcił głową. – To pasuje raczej do kogoś takiego jak pan, kto księguje wszystko jako prawnik. Ja nie potrzebuję kontroli nad swoimi obrazami. – Zaśmiał się. – Wystarczy, że moje obrazy mają kontrolę nad oglądającymi.

Gundlach zawtórował mu pogardliwym śmiechem.

Nie wiedziałem, czy pogarda Gundlacha odnosi się do Schwinda czy do mnie. Nie chciałem się na niego złościć.

– Jest pierwsza, a o piątej spotykamy się na aperitifie. Może wysłałby pan teraz swojego pilota?

Gundlach lekceważąco machnął ręką.

– Może pan by się zatroszczył o jedzenie? Niech pilot każe je zapisać w hotelu na mój rachunek.

Poleciałem razem z nim. Lecieliśmy wzdłuż wybrzeża, pod nami morze, drobne fale z białymi grzywami, błyszczące w słońcu i matowe w cieniu chmur, po prawej skały i piasek, zielony i brązowy ląd, miejscowości i ulice. Sydney ujrzeliśmy już z daleka: miasto wdzierało się na morski brzeg.

W kabinie było głośno, mimo że słuchawki chroniły uszy, ale po rozmowie przy śniadaniu o pierwszym i ostatnim papierosie nie przychodził nam już do głowy następny temat. Zresztą i tak najbardziej lubiłem spoglądać w dół. Z góry wszystko wyglądało przyjemnie dla oka: domy, ogrody, auta, parki, plaże, jachty ze wzdętymi kolorowymi żaglami, ludzie. Potem przelecieliśmy nad osobliwościami miasta, nad mostem portowym, gmachem Opery, ogrodem botanicznym. Ludzie leżeli w trawie na wielkiej łące obok konserwatorium – jedną z tych osób mógłbym być ja.

Nie wylądowaliśmy na dachu wieżowca, jak sobie wyobrażałem, tylko na skraju lotniska. Podczas jazdy taksówką okazało się, że pilot jest kucharzem hobbystą, opowiedział mi wszystko o mięsie z barramundi, krokodyla i kangura, o australijskich deserach, o odmianach win australijskich i tutejszych terenach uprawy winorośli, po czym z zapalem zabrał się do układania menu na kolację. Kawior, barramundi z grzybami shiitake, kangur z orzechami makadamia, pavlova z marakują, a pomiędzy – sorbet z granny smithów, do tego szampan, sanvignon blanc oraz zestaw cabernet sauvignon, merlot i shiraz. To, czego nie mogliśmy kazać przygotować, boby ostygło, miał przygotować sam w kuchni Ireny – mnie wszystko było na rękę. Pozostawiłem na jego głowie pertraktacje z kucharzem, usiadłem na tarasie hotelu i patrzyłem na port.

Musiałem zadzwonić. Choć moje dzieci nie martwiły się o mnie i przypuszczalnie nawet o mnie nie pomyślały, to jednak powinny wiedzieć, gdzie jestem. W Europie było między piątą a szóstą, za wcześnie, żeby budzić któreś z nich. W naszej rodzinie rzeczy miały i mają swój porządek: żadnych głośnych hałasów ani orgii miłosnych lub wybuchów radości, żadnego leniuchowania, jak najwięcej pracy, tyle odpoczynku, ile to konieczne, i dzień ma być dniem, a noc nocą. Dzieci miały spać. Mogłem jednak zadzwonić do kierownika biura, który także z domu prowadził sprawy kancelarii.

Głos miał przytomny, jakby był jasny dzień.

– Jest pan chory? Nie wie pan jeszcze, kiedy będzie pan mógł przylecieć? Lekarz mówi, że nie ma się czym przejmować? Trudno się do pana dodzwonić. – Połączenie było kiepskie, więc za każdym razem upewniał się, pytając, czy dobrze mnie zrozumiał. – Mam zadzwonić do pańskich dzieci?

Chciał załatwić także to i był przekonany, że w odpowiedzi na moje pozdrowienia dla kolegów i koleżanek może mi od razu przekazać pozdrowienia od nich.

Wyłączyłem telefon. Nigdy nie miałem ani nie chciałem mieć łodzi; morze, nowe wybrzeża i obce porty nigdy mnie nie kusily. Teraz jednak miałem przyjemne uczucie, jakbym tym telefonem przeciął linę, którą przycumowana była moja łódź.

Pilot zajął się kuchnią. Grzyby i orzechy trzeba było tylko odgrzać, barramundi i kangura przyrządzić od początku. Ja nakryłem stół na balkonie, przybrałem kawior kwaśną śmietaną, cytryną, cebulą i jajami, znalazłem dzbanek, który mógł posłużyć za kubek, i wstawiłem do niego szampana z kostkami lodu z torby termoizolacyjnej otrzymanej w hotelu. W drodze z hotelu na lotnisko kupiłem bukiet czerwonych, żółtych i białych róż. Włożyłem nowe płócienne spodnie i nową koszulę, a gdy kwadrans po piątej stanąłem na balkonie, nadeszli Gundlach i Schwind, każdy z innego kierunku.

Potem przyszła Irena. Ona mnie nie poprosiła, a ja sam się nie ofiarowałem z pomocą; to był jej wieczór, jej występ. Spokojnie wyszła na balkon, czarny top i długa czarna spódnica, włosy upięte wysoko, wargi umalowane, na szyi podwójny sznur szarych pereł. Promienna i uśmiechnięta napawała się naszym podziwem, pozwoliła Gundlachowi, żeby podał jej kieliszek, mnie, żebym jej nalał, a Schwindowi, żeby przypiął jej do topu białą różę agrafką, którą wyczarował z kieszeni. Kawior był perlisty, barramundi soczyste, kangur delikatny, a rozmowa ślizgała się od jednej błahostki do drugiej.

Dopóki nie zapytałem Ireny:

– Teraz już wiesz? Co pozostało? Rozpoznajesz ich? Odnajdujesz to, co w nich kochałaś? Dlaczego ich opuściłaś?

Nie potrafiłem odczytać, jakim wzrokiem Irena popatrzyła na mnie. Jakbym wyrwał ją ze snu? Jakby nie mogła pojąć, że się wtrącam? Gundlach i Schwind byli bezgranicznie zdumieni i rozumiałem ich; prawie się nie odzywałem, odkąd się pojawili.

– O tak. – Uśmiechnęła się. – Rozpoznaję stopy Karla, jego duże, silne nogi, na których pewnie stąpa po świecie. Rozpoznaję jego hałaśliwość i pewność siebie, i przekonanie, że między jednym i drugim czuję się bezpieczna. Rozpoznaję wolę i siłę Petera, a teraz, kiedy potrzebuje laski, jego kroki przy podpieraniu się nią przypominają jego dawne stąpanie w butach,

które szewc musiał podkuwać żelazem. Pamiętam, jacy obaj byli ambitni. Wtedy często czułam się zbyt młoda, raczej jak ich córka niż partnerka. Teraz czuję się prawie jak ich matka. Widzę, że pobrykali po świecie i odnosili sukcesy, i się cieszą. Opuszczenie ich wtedy było więc słuszne. Kiedy dzieci dorastają, matka musi odejść.

– Matka...

Irena poprosiła mnie spojrzeniem, bym nie kontynuował, nie zadawał pytań powątpiewających w jej rolę, w nową rolę matki obok dawnych ról trofeum i muzy. Czy chciała po prostu wyglądać pięknie, być podziwiana i napawać się tym wieczorem?

– Wtedy nie opuściłaś nas przecież, bo ty, matka, chciałaś wypuścić w świat nas, dzieci. Przecież nie zwabiłaś nas tutaj, żeby wspominać jego nogi i moje buty. O co on zapytał? – Gundlach pokazał głową na mnie. – Co pozostało? Naprawdę chciałaś wiedzieć, co pozostało z naszych wspólnych lat? I z tych z nim? – Teraz wskazał głową Schwinda. – Epizod, cóż by innego. Który zaczął się przypadkiem... gdybyś nie była akurat w muzeum Städla, kiedy Japończycy chcieli przewodnika, a przewodnik nie przyszedł do pracy... I gdyby drugi malarz nie wyjechał do Rzymu i zamiast niego nie dałbym zlecenia jemu... – Spojrzał na Schwinda. – I gdyby on – znowu wskazał na mnie – nie narobił takiego bałaganu... Epizod zaczął się przypadkiem, skończył się przypadkiem, to było dawno temu i życie potoczyło się dalej. Co ma...

– Widzi pan tak całe swoje życie? Jako ciąg epizodów?

Gundlach był zaskoczony tym pytaniem, spojrzał badawczo na Schwinda i uznał, że jego zainteresowanie jest autentyczne.

– Oczywiście, że nie. Mój ojciec zrobił z warsztatu fabrykę, a ja zrobiłem z fabryki przedsiębiorstwo. Moje życie miało cel. Spotkania, które nie zmieniają drogi ani celu, choćby najpiękniejsze, pozostają epizodami.

– A pańskie żony, pańskie dzieci, pańskie wnuki...

– Są częścią celu. To, co stworzyłem, powinno trwać długo, przecież u pana jest nie inaczej. Wie pan, byłem pomocnikiem obrony przeciwlotniczej, zaczynałem w Deutsche Banku jako praktykant, a skończyłem jako asystent Absa, podczas pierwszego kryzysu naftowego przejąłem fabrykę, jeszcze przed zjednoczeniem byłem w Ameryce, a od zjednoczenia jestem również w Europie Wschodniej i w Chinach. Nie musimy już rosnąć. Ale chociaż nasz świat się nie zmienia, to pozostaje w ruchu, więc jeśli chcemy utrzymać swoje

miejsce, też musimy pozostać w ruchu. Czy moje dzieci i wnuki dadzą radę... Pula genowa firmy rodzinnej jest ograniczona.

– Koniec historii? – zapytał z uśmiechem Schwind.

– Historia toczy się dalej. Ale nasz świat już się nie zmienia. Nic więcej mu nie zagraża: ani komunizm, ani faszyzm, ani młodzi ludzie, którzy chcą mieć wszystko inaczej. Od końca zimnej wojny nasz świat nie ma alternatywy. Proszę mi wymienić jeden kraj, który nie kieruje się zasadami kapitalizmu... żadnego pan nie znajdzie, nawet chiński komunizm stał się kapitalizmem. Prawo Proroka, za które zabijają i umierają muzułmanie, nie jest alternatywą, lecz tylko zadaniem dla policji i tajnych służb. Martwi się pan o ubogich? Dopóki działa telewizor i piwo stoi na stole, nie stanowią oni zagrożenia, a na to wystarczy na pewno.

23

To brzmi... – Schwind szukał właściwego słowa... ciężko jak ołów.

– Czy pańska sztuka przypomina ołów? Nie bardzo znam się na sztuce, ale kiedyśmy się wtedy spotkali...

– Epizod?

– Epizod, właśnie tak, a po nim śledziłem pańską karierę, co pan malował i jak stał się pan sławny i drogi. Figuratywność, abstrakcjonizm, fotografia jako materiał, szkło jako przedmiot lub obraz, struktury i barwy... bawił się pan wszystkim jak małe dziecko, które po długim dniu, kiedy starsze rodzeństwo bawiło się zabawkami, siedzi teraz wśród nich i raz sięga po jedną, raz po drugą. Jest pan artystą, który ma wszystko do dyspozycji i ze wszystkiego robi użytek, i nie ma już alternatywy jego sztuki.

Irena uśmiechnęła się do Schwinda.

– Jesteś nim?

– Ja...

– Zaraz skończę. Jest pan nim, bo świat już się nie zmienia. Pozostaje w ruchu, ale ruchy w ekonomii i finansach, w kulturze i polityce już tylko się powtarzają, przestały jednak zmieniać świat. Pańska sztuka także jest w ruchu, czasami w obrębie tego samego dzieła. Dlatego jest piękna. Ale niczego nie zmienia. – Spoważniał. – Tak, chcę mieć znowu u siebie w domu obraz Ireny.

– A co sztuka ma zmieniać? Malowałem to, co widziałem. Czasami widziałem to, czego nie ma, ale co mogłoby być, i to też malowałem. Malowałem możliwie jak najlepiej. To wszystko.

– Wiem. Nie chciał pan zostać artystą, który uprawia sztukę niemającą alternatywy. Ale skoro świat i sztuka są już takie, wiarygodne, bezalternatywne, przewidywalne, to ten, kto się z nimi zadaje, nie może stać się nikim innym. Może pokazać jakiś gag albo wywołać skandal. Ale to także oznacza zawsze to samo.

– A co topi ołów?

– Nie wiem. Wojna atomowa, uderzenie meteorytu, jakaś inna katastrofa, która zniszczy znany nam świat. Ale moim zdaniem świat nie przypomina ołowiu. Lubię go takim, jaki jest, i pan też go lubi. Jest znowu taki, jaki zawsze był, dopóki komunizm i faszyzm nie wywróciły go do góry nogami. Są bogaci i inni, i bogaci się troszczą, a inni znoszą cierpliwie.

– Bogaci się troszczą...?

Gundlach roześmiał się.

– Troszczą się o to, żeby nic się nie zmieniło.

Popatrzyłem na Irenę i przestraszyłem się. Kokaina przestawała działać. Jej twarz zdradzała wyczerpanie i rozpacz, że choroba znowu obejmuje nad nią władzę. Dostrzegła moje spojrzenie, wyraz jej twarzy stał się przekorny, wstała. Ciężkim krokiem podeszła do schodów i ruszyła na górę.

– Pamiętam kobiety – Schwind wrócił w myślach do atmosfery nadziei i przełomu końca lat sześćdziesiątych i początku siedemdziesiątych – piękne, mądre kobiety z dobrego domu, które zwróciły się wtedy ku lewicy, z politycznego przekonania i ponieważ czuły, gdzie jest awangarda, gdzie dzieją się ciekawe i ekscytujące rzeczy. Zanim spotkałem u pana Irenę, zwróciłem na nią uwagę podczas dyskusji na uniwersytecie. Tylko siedziała i słuchała, ale jak siedziała i słuchała... było jasne, że tutaj toczy się gra o przyszłość.

– Przyszłość? – Gundlach zaśmiał się pogardliwie.

Przyszedł pilot, sprzątnęliśmy ze stołu, podaliśmy deser, a następnie pozmywaliśmy, ja przez cały czas nastawiając ucha w kierunku schodów. Kiedy skończyliśmy w kuchni, pilot wziął butelkę czerwonego wina i wyszedł. Patrzyłem za nim, widziałem, jak siada na molu, pije i pali. Jego papieros żarzył się w ciemności, która tymczasem zapadła.

24

A potem zeszła po schodach Irena. Czyżby czekała do zapadnięcia ciemności? Kiedy chciałem przynieść na balkon dwie świece, dała mi znak, że jedna wystarczy.

Nie śledziłem rozmowy Gundlacha i Schwinda. Na chwilę zrobiło się głośno, potem znów przebiegała spokojnie.

– Nadal mi nie powiedziałaś, co wtedy zrobiłaś – stwierdził Gundlach, gdy Irena usiadła.

– Czy kogoś zabiłam? O to ci chodzi? Właśnie zamierzałam. Nie wiedziałam jeszcze, że nic się nie zmieni. Nikt nie wiedział. Myśleliśmy, że skoro jest Zachód i Wschód, to może też być coś lepszego od nich obu. Teraz, kiedy nie ma już obydwu światów... Rozumiem, co mówisz. Możliwe, że rozumiałam to już wtedy, gdy żyłam w NRD. Ona była skończona. Wyczerpana ideologiczną przesadą, pustymi rytuałami, wysiłkami, które nie doprowadziły do niczego.

– Dlaczego tak smutno?

– Znacie to? To uczucie, że kiedy nadchodzi czas, musicie umrzeć nie tylko wy, ale razem z wami zginie cały świat? Można by pomyśleć, że kiedy człowiek nie żyje, nie robi mu już różnicy, czy świat istnieje nadal, czy ginie. Ale to robi różnicę.

Gundlach nie miał wycucia w kwestiach śmierci jednostki i końca świata.

– Jakim sposobem żyjesz tutaj nielegalnie?

– Mój pobyt tutaj... To nic trudnego, kiedy człowiek ma pieniądze w Niemczech na koncie, a tu płaci i wypłaca je, używając karty kredytowej, i nie potrzebuje państwa. Trochę trudno było przewieźć tutaj obraz. Kto by podróżował z takim bagażem!

Schwind przysłuchiwał się rozmowie Gundlacha z Ireną z wyraźnym zniecierpliwieniem.

– Koniec świata, koniec NRD... wszystko ładnie pięknie. Chcę wreszcie

wiedzieć, jak odzyskam mój obraz. Mój obraz... bo ja go namalowałem i naprawiłem, kiedy on go zniszczył. – Wskazał palcem Gundlacha. – Zapłaciłem za niego...

– Zapłaciłem za niego? – zawrzał oburzeniem Gundlach. – Miał pan dosyć Ireny i przywiózł mi ją pan, a teraz mówi, że zapłacił? Wiem, dlaczego chce pan mieć ten obraz... już nigdy nie malował pan tak jak wtedy. Od tamtej pory jest pan epigonem, który historię sztuki traktuje protekcjonalnie.

– Ja jestem...

– Jest pan wypalonym malarzem, który rzewnie wspomina swoje początki. Niech pan się wypłakuje gdzie indziej. Tutaj nie ma pan nic do gadania, ani w sensie moralnym, ani prawnym. Nie ma pan prawa do obrazu, który pan sprzedał, ani prawa do Ireny, którą pan zdradził. Niech pan pakuje swoje rzeczy i poprosi go – wskazał głową w moją stronę – żeby pana odwiózł.

– Co za arogancki dupek z pana! I to wszystko z powodu idiotycznych pieniędzy? Za które nie mógł pan kupić kobiety, ani nawet obrazu? Gromadził je pan równie bezsensownie jak podstawki pod kufle. Jest pan kolekcjonerem podstawek pod kufle, a świat bez alternatywy, o którym pan mówił, jest światem podstawek. Nie rozumie pan? Tego, co się liczy, nie może pan kupić za pieniądze!

– Ha – parsknął szyderczo Gundlach – malarz globalnego kapitalizmu objawia się jako jego krytyk. Dlaczego sprzedaje pan swoje obrazy za miliony? Dlaczego nie daje pan ich w prezencie muzeom?

Irena chciała coś powiedzieć, ale nie doszła do słowa, więc ja przerwałem ich kłótnię.

– Czy możecie...

– Nasz adwokat... – Gundlach machnął ręką. – On – wskazał głową Schwinda – przynajmniej stworzył dzieło i dzięki malowaniu zbił majątek, ja zrobiłem, co zrobiłem, a pan? Droga kancelaria, wiem, duże sprawy, ale zawsze załatwianie brudnej roboty za innych... jest pan lokajem. Najpierw był pan jego – znowu ruch głową w kierunku Schwinda – później moim, a potem jej. – Teraz skinienie w stronę Ireny. – Najlepiej niech się pan zamknie.

– Na co pan sobie... – Nie zamierzałem puścić tego płazem.

– Lokaj. – Schwind roześmiał się głośno. – Lokaj. Tak samo jak tylko lokajami są kamerdynerzy, którym wydaje się, że są kimś lepszym. Pamiętam pańskiego kamerdynera. Służalcza dusza, która...

– Był lepszym człowiekiem niż pan – wszedł mu w słowo Gundlach. –

Nigdy tego nie powiedział, ale jemu też brakowało obrazu, i żałuję, że nie będzie mógł zobaczyć go z powrotem na dawnym miejscu. Ireno – zwrócił się do niej z życzliwą cierpliwością, jak mówi się do upartego dziecka – zostawię cię w spokoju, żadnej policji, żadnego procesu karnego, o obraz także. Nie możemy już naprawić wszystkiego, co wtedy poszło nie tak. Ale obraz musi trafić z powrotem, tam gdzie jego miejsce.

– Znów zaczyna się stara śpiewka! – Schwind uniósł i opuścił duże dłonie, jak wtedy. – Wszystko ma swoje miejsce, a jeśli tam go nie ma... Niech pan przestanie, panie Gundlach. Wystarczy. Niech Irena zdecyduje i jak zdecyduje, tak ma być. Jeśli da obraz panu, pan będzie go miał, a jeśli...

Gundlach pokręcił głową.

– Irena może podjąć tylko jedną decyzję, wie pan o tym równie dobrze jak ja. Niech pan zapyta naszego lokaja. To, że podlizuje się pan Irenie, nie pomoże ani panu, ani jej.

– Byłaś żoną tego dupka? Tego zachłannego...

– Zachłannego? Przecież chce pan mieć obraz tak samo jak ja. Swoją miękką torturą, tym „Niech Irena zdecyduje”, nie zamydli mi pan oczu, jej zresztą też...

Irena wstała. Wyglądała mizernie: stara, chora, zmęczona.

– Kilka tygodni temu podarowałam obraz Art Gallery. Nie mogę już wam go oddać, żadnemu z was. Chciałam was tylko jeszcze raz zobaczyć.

Spojrzała na mnie. Otoczyłem ją prawym ramieniem, podparłem lewym i pomogłem jej dojść do schodów i wejść na górę. Położyła się na łóżku w ubraniu, wyciągnąłem spod niej kołdrę i ją przykryłem. Nim zdążyłem zamknąć za sobą drzwi, już spała.

Kiedy wyszedłem na balkon, Gundlach i Schwind odzyskali mowę.

– Czy ona może podarować coś, co do niej nie należy?

– Powinien był pan zgłosić obraz do Art-Loss-Register. Jestem pewien, że Art Gallery sprawdziła, a ponieważ obraz nie był tam odnotowany, w dobrej wierze stała się jego właścicielką. Jeśli dokładnie chce pan wiedzieć, proszę zapytać swoich lokajów.

– Cały ten cyrk z depozytem tylko po to, żeby nas tutaj zwabić? Czego ona od nas chciała? – Gundlach pokręcił głową. – Kobiety! One nie rozumieją, że jak coś się kończy, to się kończy. Że jak chce się iść do przodu, to trzeba zostawić za sobą przeszłość. Wlec ciągle ze sobą dawne miłości i dawne przyjaźnie... Człowiek z nich wyrasta jak ze starych ubrań. Po dłuższym czasie zaczynają trącić stęchlizną.

Możliwe, że Gundlach miał rację. Ale drażnił mnie.

– Czy nie chciał pan zatrzymać biegu czasu? Czy nie chciał pan odzyskać obrazu, żeby pozostać młodym z młodą Ireną?

– Tak powiedział? – Schwind zaśmiał się.

– Żeby pozostać młodym z obrazem młodej Ireny, nie muszę oglądać starej. Nawiasem mówiąc, nie powiedział pan jeszcze, co pan tutaj zgubił.

Wstałem.

– A jakie to ma znaczenie?

Odszedłem, usiadłem na plaży, słuchałem, jak Gundlach i Schwind snują przypuszczenia na temat mojej obecności tutaj i każdy przekształca swój daremny przyjazd w małą przygodę, którą da się opowiedzieć. Potem Gundlach przechwalał się Fundacją Hansa Gundlacha, nazwaną tak od jego ojca, która zajmowała się odbudowywaniem wiejskich kościołów w Brandenburgii i Meklemburgii. Schwind uważał, że fundacje to coś w sam raz do zapisania w testamencie, co pozostaje po żonach i dzieciach, mówił o swych pięciorgu dzieciach z czterech małżeństw, o demokratyzacji

i banalizacji sztuki, drzwi z terapii przez malowanie dla niepełnosprawnych i z konkursów malowania dla dzieci.

Zdjąłem buty i skarpety. Morze było ciepłe, rozebrałem się i wypłynąłem w księżycową jasną noc, dopóki nie przestałem słyszeć rozmów na balkonie i nie straciłem z oczu światła świecy. Na końcu zatoki jedna ze skał pochyliła się ku wodzie. Była zupełnie gładka. Wyciągnąłem się na niej, kamień zmagazynował słoneczne ciepło dnia i teraz grzał mnie w plecy, a letni wiatr owiewał mi twarz, pierś i brzuch.

Czy Irena chciała stać się znowu tą, którą była wtedy dla Gundlacha i Schwinda? Jej kokietowanie rolą matki, zadowolenie z podziwu ich obu i śmiech z ich żartów, jej odważna prezentacja swojego życia – zrobiła to wszystko, żeby im się spodobać. Po to, żeby ich wywabić? Żeby lepiej zobaczyć, kim są? Czy też pozostała dla nich po prostu Ireną z tamtych czasów, jak ludzie, którzy opowiadają, że dla swoich rodziców pozostają dziećmi również wtedy, kiedy sami są dorośli, a rodzice starzy?

Nic mnie to nie obchodziło. Zawsze miałem wycucie, czy jakaś sprawa mnie dotyczy czy nie, i wiedziałem, że rozgrywka, która się tutaj toczy, jest sprawą Ireny, Gundlacha i Schwinda, a nie moją. Irena mogła się prezentować, Gundlach i Schwind mogli się produkować wedle swojej woli. Ja byłem tylko przypadkowym widzem. Nie wiem, dlaczego poczułem się nagle winny – nie dlatego, że pomogłem wtedy Irenie ukraść obraz ani że wmieszałem się dzisiaj w jej rozgrywkę z tamtymi dwoma, ani że moja żona wjechała na drzewo, ani że dawno nie widziałem swoich dzieci. Moje dzieci są dorosłe, żona też była dorosła, dziś trzymałem przeważnie język za zębami, a wtedy nie zrobiłem nic, do czego Irena nie mogłaby znaleźć także innych pomocników. Moje poczucie winy nie odnosiło się do niczego konkretnego. Było jak strach, który pojawia się, chociaż nic nie grozi, i jak żal, chociaż nic się nie stało. Było to cielesne doznanie i chociaż mówiłem sobie, że ciało może się czuć tylko dobrze lub źle, ale nie winne, było to poczucie winy. Zacząłem marznąć, więc popłynąłem z powrotem.

Dom był spokojny i ciemny. U stóp schodów kucał Kari; skinęliśmy sobie głowami, uśmiechnąłem się do niego, ale nie odpowiedział mi uśmiechem. Na balkonie stały jeszcze kieliszki i otwarte wino, nalałem sobie i usiadłem. Następnego dnia będę mógł zadzwonić z Rock Harbour do kancelarii i poprosić jednego z kolegów, żeby się dowiedział, o co była oskarżona terrorystka o farbowanych włosach, w okularach przeciwsłonecznych i ze

spuszczoną głową. Ale może Gundlach miał rację. Wówczas cokolwiek by zrobiła Irena, byłoby to częścią minionego świata, z którym nasz świat nie ma nic wspólnego.

Kiedy leżałem w łóżku, słyszałem szum fal i szemranie kamyków przy brzegu. Odgłosy były słabe, ledwo je słyszałem. Ledwo słyszałem też oddech domu. Panował tu dziwny niepokój, jakby Irena mimowolnie poruszała rękami i nogami, jakby Gundlach przewracał się w łóżku z boku na bok, jakby Schwind mamrotał coś przez sen, a pilot, pałac, chodził po pokoju tam i z powrotem. Jakby dom dygotał, nie z powodu wiatru albo trzęsienia ziemi, lecz pod ciężarem przyjmowania w swoich ścianach ludzi, którzy nie potrafią dojść ze sobą do ładu. Leżałem zupełnie bez ruchu.

Część trzecia

1

Następnego ranka pilot zapukał lekko w drzwi i wsadził głowę do pokoju. Czy chcę z nimi polecieć? Schwind też się wybiera. Mogliby mnie zabrać do Sydney albo wysadzić w Rock Harbour. Nie? Pomachał mi na pożegnanie i cicho zamknął drzwi. Usłyszałem wszystkich trzech na schodach domu, a potem na schodach prowadzących na plażę: nie rozmawiali, stąpali ostrożnie. Wykradają się, pomyślałem, od razu jednak powiedziałem sobie, że to głupia myśl. Później zawarczał silnik, zaterkotały i zaświszczały łopaty wirnika, helikopter oderwał się od ziemi, przycichł, po czym znowu stał się głośniejszy, jakby zatoczył krąg nad zatoką i domem, i odleciał. Spłoszył ptaki, które podenerwowane hałasowały wśród gałęzi, trzepotały skrzydłami, ćwierkały i skrzeczały.

Kiedy Irena nie wstała także o dziesiątej, przystawiłem ucho do jej drzwi, nic nie usłyszałem, zapukałem, znowu nic nie usłyszałem, więc wszedłem do jej pokoju. To był nie tylko zapach choroby. Śmierdziało kałem i moczem, mimo że okno było otwarte, stęchła, ostra woń. Irena leżała w łóżku z otwartymi oczami i patrzyła na mnie nieprzyjaźnie i z zawstydzeniem.

– Wyjdź. Zaraz wstanę. Jestem tylko trochę słaba.

– Napuścić wody do wanny? Czy chcesz wziąć prysznic?

Rozplakała się.

– Jeszcze nigdy mi się to nie zdarzyło. Chciałam wstać i pójść do łazienki, ale nie zdołałam się podnieść, więc leżałam dalej i nie mogłam utrzymać.

– Zaraz po ciebie wrócę.

Poszedłem do łazienki, odkręciłem kran nad wanną i wlałem trochę olejku do kąpieli, zwracając uwagę, żeby temperatura wody i ilość piany były właściwe. Czekałem, aż wanna się napełni. W dzieciństwie lubiłem się kąpać, woda była podgrzewana przez piec z bojlerem; słuchałem, jak syczą krople, gdy pstrykałem nią na gorący bojler. Od kilkudziesięciu lat biorę tylko prysznic. Kąpiel to marnotrawstwo czasu. Ale Irena miała czas i powinno jej

dobrze zrobić, gdy po prysznicu poleży w wannie, dopóki nie pościelę łóżka. W ogóle nagle było dużo czasu.

Poszedłem po nią. Objęła mnie ramieniem i pozwoliła się pól prowadzić, pól nieść. Przed wejściem pod prysznic rozebrałem ją, pod prysznicem umyłem, a ona w tym czasie trzymała się kranu. Nie przewijałem własnych dzieci, więc nie wiedziałem, jak mocno zaschnięty kał lepi się do skóry. Potem zaniósłem Irenę do wanny. Przez cały ten czas oczy miała zamknięte i nie powiedziała ani słowa. Skupiałem się na tym, żeby przy myciu się nie zamoczyć, a mimo to byłem mokry.

Nie chciałem jednak się przebierać, dopóki nie doprowadzę wszystkiego do porządku. Najpierw namoczyłem pościel, po czym włożyłem ją razem z piżamą do pralki na propan-butan. Wytaszczyłem materac Ireny na balkon, wymyłem go i położyłem na słońcu, przyniosłem materac z innego pokoju do jej sypialni i pościeliłem łóżko. Zrobiłem jej herbatę i owsiankę, po czym jedno i drugie postawiłem na tacy. W końcu wytarłem Irenę i zaniósłem do łóżka; znowu nie powiedziała ani słowa.

– Zaraz wrócę, tylko się przebiorę.

– Tamci wyjechali?

– Tak.

Stałem w drzwiach i patrzyłem na nią, dopóki się nie uśmiechnęła i nie powiedziała:

– Nie patrz tak poważnie!

– Co ci jest?

– Zaraz. Najpierw się przebierz.

Ale gdy wróciłem do jej pokoju, spała, a kiedy się obudziła, nie chciała rozmawiać o swoim zdrowiu. Wypiła letnią herbatę i zjadła letnią owsiankę, i chciała, żebym ją zawiózł do obu farm, w związku z zakupami i dlatego że Meredith z pierwszej farmy będzie musiała dawać zastrzyki mężczyźnie z drugiej.

Otuliłem Irenę płaszczem, przypiąłem pasem do fotela w dziupie i zawiozłem ją na obie farmy. W miejscach gdzie ginął ślad, wskazywała mi drogę, a ja starałem się zapamiętać łożyska strumieni i kałuże, grupy drzew i skały, obok których prowadziła trasa. Możliwe, że następnym razem będę musiał jechać sam.

Przy jednej i przy drugiej farmie Irena pozostała w dziupie. Kazała mi przyprowadzić Meredith i oznajmiła jej, że teraz ona będzie musiała dawać

zastrzyki, choć pewnie wolałaby tego nie robić, powiedziała jej też, co ma kupić.

– Może by też... – zacząłem.

Irena od razu wiedziała, co chciałem powiedzieć.

– Tak – dodała – oprócz tego potrzebuję pieluch.

Stara kobieta na drugiej farmie, o nic nie pytając ani nie dziękując, przyjęła mrukliwie do wiadomości, że Irena nie może już przyjeżdżać i w przyszłości zastąpi ją Meredene.

Irena popatrzyła za nią.

– Jej mężowi zawdzięczam dom nad morzem i chciałam mu się za to odwzajemnić, opiekując się nim do śmierci. Teraz on mnie przeżyje. – Poczwała na sobie moje pytające spojrzenie. – Rak trzustki. Jeszcze parę tygodni, a może tylko tydzień, dokładnie nie da się powiedzieć.

2

Irena wolała leżeć na balkonie niż w swojej sypialni. Chodziłem od pokoju do pokoju, dopóki nie znalazłem odpowiednio lekkiego stelaża łóżka, który dałbym radę wynieść na balkon. Materac, który wymyłem, był suchy i pachniał słońcem.

– Trzeba było wyjechać z tamtymi – powiedziała Irena, kiedy ją ułożyłem.
– Teraz musisz zostać do końca. – Uśmiechnęła się.

– Kto postawił diagnozę?

– Lekarze w Sydney Cancer Centre.

– Powiedzieli, że nie można już nic zrobić?

Roześmiała się.

– Wierz mi, gdyby potrafili jeszcze coś zrobić, toby to zrobili. Z tego żyją.

– Zasięgnęłaś drugiej opinii?

– Zasięgnęłam drugiej opinii i informacji o terapiach, a nawet studiowałam opisane przypadki cudownych ozdrowień. I nie chcę, żebyś mnie przesłuchiwał.

Byłem rozżalony, bo miałem przecież dobre zamiary, i zły na siebie, bo idiotycznie się do tego zabrałem. Irena to dostrzegła.

– Wiem – powiedziała. – Gdybym mogła... Wolałabym nie umrzeć.

Dopiero teraz mnie poraziło. Irena umrze. Kolega z kancelarii rok wcześniej podczas wakacji poczuł taką apatię i brak apetytu, że po powrocie poszedł do lekarza, który skierował go do szpitala w celu zrobienia badań; trzy tygodnie później kolega nie żył. W wypadku mojego dentysty od diagnozy do śmierci upłynęły dwa miesiące. Kiedy ktoś opowiada mi o nagłej śmierci, pytam w trakcie opowieści, czy to trzustka, i zwykle mam rację. Najszybszy, najbardziej złośliwy i najbardziej śmiertelny rodzaj raka. Nauczyłem się jednak też, że jeśli człowiek ma szczęście, to nie cierpi z powodu bólów, zakrzepów czy duszności, tylko czuje się słaby i coraz słabszy. Ciało po prostu przestaje pracować, odmawia posłuszeństwa, żegna się. Jeśli człowiek ma

szczęście, zasypia i już się nie budzi.

– Chcesz czegoś? Mogę ci coś przynieść?

– Jeszcze jedną poduszkę.

Przyniosłem jej poduszkę. Kiedy chciałem wyjść, powiedziała:

– Przyniesiesz krzesło i usiądziesz obok mnie?

– Muszę rozwiesić pranie.

– Przyjdiesz, kiedy rozwieszisz?

Czego mogła ode mnie chcieć? Moja żona, gdy miała kiedyś zapalenie płuc, też chciała, żebym siedział przy jej łóżku i trzymał ją za rękę. Ale o nic mnie nie pytała, a na moje pytania udzielała lakonicznych odpowiedzi, nie wiedziałem więc, co mam robić przy jej łóżku. Potem przynosiłem i opracowywałem akta. Irena miała w swoim pokoju regał z książkami. Czy znajdę wśród nich coś interesującego?

Kiedy usiadłem, zapytała jednak:

– Opowiesz mi, jak by to było?

Nie zrozumiałem.

– Jak by to było, gdybym wtedy przyszła do ciebie?

3

Czasami opowiadałem różne historie swoim dzieciom. Przeważnie wracałem do domu tak późno, że już zasnęły. Kiedy jednak wracałem wcześniej i jeszcze nie spały, żona obstawała przy tym, żebym usiadł i porozmawiał z nimi. Ale o czym mieliśmy ze sobą rozmawiać, adwokat około czterdziestki i dziewczynka oraz dwaj chłopcy między dziewięć a dwanaście lat? Na szczęście dzieci lubiły moje historie, przygody chłopca podczas wojny trzydziestoletniej, a i mnie sprawiało przyjemność ich wymyślanie. Kancelaria kupiła wtedy samochód i zatrudniła kierowcę; siedziałem więc na tylnym siedzeniu, jechałem do domu, odnajdowałem wątek historii i snułem go dalej. Ale to, czego chciała teraz Irena – jak miałbym tego dokonać? Mówić o niej, o sobie, o nas... fikcja, ale tego rodzaju, że występowaliśmy w niej tacy jak w rzeczywistości.

– Nie wiem...

Nic nie odpowiedziała, tylko patrzyła na mnie z uwagą i wyczekująco.

– Potrzebuję chwili.

Skinęła głową i nadal patrzyła na mnie.

– Ja...

Zamknąłem oczy i szukałem dawnych obrazów: Irena na murze, jej śmiech, jej skok, Irena w moich ramionach, Irena za kierownicą, Irena, która mi mówi, żebym wysiadł, która żegna mnie pocałunkiem i wysadza, która odjeżdża. Nie lubiłem tych dawnych obrazów. Nie wiem, dlaczego postanowiłem spełnić jej prośbę.

– Odnalazłem w wiosce swoje auto i pojechałem do domu. Zauważyłaś w sobotę, że nadałem mieszkaniu taki, nie inny wygląd, sądząc, że ci się spodoba. Także w niedzielę obszedłem mieszkanie i tu coś zabrałem, tam coś położyłem, tu i tam stworzyłem mały bałagan, żeby nie rzuciło się od razu w oczy, jaki ze mnie pedant, bo chciałem, żebyś uważała mnie za człowieka kreatywnego i zaradnego. Bałem się, że nie przyjdiesz, co chwila wyglądałem

przez okno, zrobiłem dzbanek herbaty, zapomniałem wyjąć liście i przy następnym dzbanku to samo.

Ale ty się zjawiałaś. Przyszłaś pieszo, zobaczyłem cię z daleka, twoją wyprostowaną sylwetkę, twój lekki, pewny chód... czy kiedykolwiek widziałem, żebyś powłóczyła nogami? Gdy przeszłaś przez ulicę, zbiegłem na dół, otworzyłem ci bramę i znów chciałem cię wziąć w ramiona, zdałem sobie jednak sprawę, że teraz to nie pasuje, tobie nie pasuje.

Znad herbaty zapytałaś: „Mogę tu zostać parę dni? Jak siostra u brata? Mam mieszkanie, ale Karl i Peter wiedzą o nim, a ja nie chcę, żeby mnie tam szukali. Nie chcę też, żeby Peter mnie znalazł i zatrzymał w jakimś hotelu. Może przecież kazać swoim ludziom przeszukać wszystkie hotele. Mogłabym wyjechać, ale jutro chciałabym znowu iść do pracy”.

„W pracy cię nie znajdą?”

„Nie, jeśli powiem dyrektorowi, że nie chcę być znaleziona”.

„A w drodze do pracy? Kiedy będziesz pod muzeum...”

„Oczywiście wiem, że długo nie mogę się ukrywać. Przez kilka dni nie chcę tylko ich obu oglądać”.

Wzięliśmy herbatę na balkon. To tutaj rano marzyłem o wspólnym życiu na balkonie, na tym i na większym i piękniejszym, i o życiu w ogrodzie ze starymi drzewami, i o małżeństwie. Chętnie bym dostrzegł obietnicę w tym, że chcesz się u mnie schronić, ale wiedziałem, że mi jej nie dałaś. Myślałem o filmach, w których bohater po prostu bierze kobietę w ramiona, a ona z początku nie chce, potem jednak chce, najpierw bije go piąstkami w szeroką pierś, a potem czule obejmuje. Wiedziałaś, że nie spróbuję tego? Że nie jestem do tego zdolny? Że jesteś przy mnie bezpieczna? Gardziłaś mną za to?

To mnie niepokoiło, dopóki nie ogarnęła mnie radość z tego, że zostaniesz. Bądź co bądź parę dni ze sobą. Wspólne gotowanie, jedzenie, rozmowy, czytanie gazety lub książki, oglądanie telewizji, robienie zakupów, chodzenie na spacer. Uśmiechnąłem się do ciebie, ty odpowiedziałaś uśmiechem, z ulgą, że nie naciskałem ani nie zebrałem i że nie było dramatu. Opowiedziałaś, jaki wściekły był Karl, kiedy obraz zniknął, o kłótni między Karlem i Peterem, o tym, że nie zwracali na ciebie uwagi i zaczęli cię wołać, kiedy byłaś już w ogrodzie. Opowiedziałaś to jako śmieszny historię, a jednocześnie wydawałaś się nieszczęśliwa... przez tamtych dwóch, przez siebie, może też przeze mnie, bo po prostu miałaś dość mężczyzn. W ten sposób zaczęło się nasze życie codzienne we Frankfurcie. Byliśmy...

– Gdzie spałam?

– W moim łóżku.

– A ty?

– Na tapczanie.

Skinęła głową.

– Rano ty chodziłeś do kancelarii, a ja do muzeum? A wieczorem razem gotowaliśmy? A w niedzielę...

4

Nie tak szybko. We wtorek było włamanie do twojego mieszkania. Dozorca zadzwonił do ciebie do muzeum, a ponieważ niczego nie brakowało, uznano, że ktoś zaskoczył włamywaczy. Wiedziałaś, że szukali, ale nie znaleźli obrazu, poza tym niczego nie chcieli. „Może jutro włamią się do ciebie”, powiedziałaś przy kolacji. „Jeśli tymczasem odkryli, że mieszkam u ciebie. Chciałbyś, żebym oddała obraz?”

– Nie, nie zadałam takiego pytania.

– Właściwie to nie było pytanie. Uniosłaś lewą brew, tak jak ją teraz unosisz. Zastanawialiśmy się, czy możemy zapobiec włamaniu. Ale jeśli nie przyjdą jutro, to pojutrze albo w przyszłym tygodniu. Najlepiej było nie zamykać drzwi na dodatkowy nowoczesny zamek, żeby mogli je otworzyć wytrychem.

I tak zrobiliśmy nie tylko w środę, ale i w czwartek, i w piątek, a ponieważ drzwi nie były wyłamane, nie dowiedzieliśmy się, czy rzeczywiście przeszukano mieszkanie. Niczego nie brakowało. I tak, ty chodziłaś do muzeum, rano byłaś tam jak najwcześniej, a wieczorem wychodziłaś jak najpóźniej, żeby Karl albo Peter nie mogli cię przechwycić, ja natomiast chodziłem do kancelarii, a wieczorami gotowaliśmy razem. W niedzielę zjedliśmy śniadanie na balkonie. Panowała złota jesień, przetrwaliśmy tydzień bez szwanku i myśleliśmy, że wszystko dobrze się ułoży. Wkrótce zamierzałaś się wyprowadzić. Tymczasem dowiedziałem się, że kochasz operę, więc zaprosiłem cię na *Cyganerię*, a ty się zgodziłaś.

– Nie kręciłam nosem? Byłam małą miłą kobietką w twoim harmonijnym małym świecie?

– Jeśli chcesz, mogę przestać.

Roześmiała się.

– Nie, ale nie możemy przecież spędzić życia na balkonie jak stare małżeństwo!

Ja bym mógł, ale ona nie.

– W poniedziałek wezwali mnie do siebie Karchinger i Kunze. Przykro im, ale musimy się rozstać. Plotka, że dopuściłem się przewarykacji, to tylko plotka i oni wierzą, że gdyby plotka przekształciła się w oskarżenie, a oskarżenie w proces, to okaże się, że jestem niewinny. Ale to wszystko może się długo ciągnąć, a w tym czasie ja będę obciążeniem dla kancelarii, powinienem to zrozumieć. Już teraz pewien poważny klient uważa, że jeśli zostanę w kancelarii, to nie będzie go mogła reprezentować. „Gundlach?” Zawahali się, po czym oświadczyli mi, że nie mogą podać nazwiska, to też powinienem zrozumieć.

– Co to jest przewarykacja?

– Kiedy w jakiejś sprawie adwokat pracuje dla obu stron. Gundlach pociągnął za parę sznurków. Ale nie tylko w mojej sprawie. Twój wolontariat w muzeum także się skończył. Dyrektor mówił coś o kłopotach z pomieszczeniami i pozyskaniem środków, i o tym, że odtąd zamierza zatrzymywać tylko tych wolontariuszy i wolontariuszki, których będzie mógł potem zatrudnić, a ty, ku jego wielkiemu ubolewaniu, do nich nie należałaś, inaczej niż pierwotnie zakładał i ci zakomunikował.

– Siedzieliśmy więc w poniedziałkowy wieczór na balkonie i...

– Nie, nie siedzieliśmy na balkonie, tylko poszliśmy do „Sole d’Oro” czy jak tam nazywała się wówczas najlepsza restauracja, żeby uczcić to, że nic nas już nie trzyma we Frankfurcie i możemy oddać swoje meble handlarzowi starzyzną, spakować walizki i wyruszyć w świat. Byliśmy wolni.

5

To mi się podoba.

– I tak też zrobiliśmy. Oddaliśmy meble handlarzowi starzyzną i spakowaliśmy walizki. Obraz...

– ...stał u mojej matki.

– Obraz stał u twojej matki i kiedy ja zastanawiałem się jeszcze, czy mamy się wybrać do Nowego Jorku czy do Buenos Aires i czy popłynąć statkiem, czy polecieć, ty już kupiłaś bilety na lot do Nowego Jorku.

Irena przez cały czas leżała spokojnie, z rękami pod kołdrą, z głową na dwóch poduszkach i oczami zwróconymi na mnie. Teraz podniosła się, postawiła stopy na ziemi i próbowała wstać.

– Zaczekaj, pomogę ci.

– Jak długo siedzimy już tutaj? Muszę...

Urwała i spojrzała na mnie pytająco.

– Ty absolutnie nic nie musisz. Za długo mówiłem? Przestanę i zrobię kolację. Zapomnieliśmy o obiedzie.

– Muszę... Gdybym nie była taka zmęczona.

Znowu spojrzała na mnie pytająco, a ja znowu nie zrozumiałem pytania i nie wiedziałem, czy mam jej pomóc wstać, czy namówić, żeby leżała dalej. W końcu jednak oczy zamknęły jej się same, zsunęła się z krawędzi łóżka, a ja złapałem ją i położyłem z powrotem.

Było późno, jeszcze jasno, ale słońce zniknęło już za górami; wkrótce powinna zapaść noc. Pod tarasem znalazłem przyłącznie wodociągowe i konewkę i podlałem zwiędły ogród Ireny; może do jutra się odbuduje i dostarczy sałaty. Na dzisiaj mieliśmy dość tego, co zostało z wczoraj. Irena zresztą i tak nie była głodna. Zaspana przełknęła bez słowa kilka kęsów, po czym dała się zaprowadzić do ubikacji i zanieść na górę do łóżka.

– Musimy jutro do Meredene.

– Z powodu zakupów? Ja mogę poprowadzić.

– Pieluchy...

W ciągu dnia kontrolowała potrzeby fizjologiczne, bała się jednak nocy. Wiedziałem już, gdzie trzyma pościel i ręczniki, przypomniałem sobie, jak moja żona przewijała nasze dzieci, wybrałem frotowy ręcznik, który z biegiem czasu zrobił się cienki, oderwałem pas, przez co ręcznik przybrał kształt kwadratu, złożyłem kwadrat wzdłuż przekątnej, a otrzymany trójkąt podłożyłem pod jej ciało i zawiązałem.

– Nauka nie poszła w las – skomentowała, próbując żartować.

Wzruszyłem ramionami. Nie musiała wiedzieć, że nie troszczyłem się o własne dzieci tak, jak oczekuje się tego od współczesnych ojców. W końcu jednak powiedziałem:

– Byłem staroświeckim ojcem. Pieluchami i przewijaniem zajmowała się moja żona.

Skinęła głową.

– W każdym razie czasami się przyglądałeś i uważałeś. Mówiłeś swoim dzieciom dobranoc?

Popatrzyła na mnie, trochę zawstydzona i nieprzyjaźnie, podobnie jak rano, lecz równocześnie z błogością, jakby było jej dobrze w świeżo pościelonym łóżku.

– Dobranoc, Ireno.

Pochyliłem się nad nią i podniosłem kołdrę, a ona objęła mnie za szyję, jak przed kilkoma dniami, i znów wzruszył mnie ten ufny gest, wstałem i szybko wyszedłem, w przeciwnym razie – nie wiem dlaczego – łzy napłynęłyby mi do oczu.

6

Tak mijały następne dni. Irena spała do rana, po czym układałem ją na balkonie. Czasami sama pokonywała schody, czasami ją nosiłem. Czasami schodziła nawet z balkonu na plażę i docierała do skał na końcu zatoki, rozkoszując się piaskiem pod gołymi stopami i wodą wokół nagich łydek.

Z początku nie chciała, ale w końcu pozwoliła mi jeździć samemu do Meredene. Docieraliśmy potem wydrążoną przez wodę i zarośniętą drogą do miejsca, w którym ta dochodziła kiedyś do autostrady, omijaliśmy barierki i po półgodzinie dojeżdżaliśmy do miejscowości z supermarketem. Obfite zakupy dla Meredene i dla mnie, za które płaciłem swoją kartą kredytową, były pewnie nie do pogodzenia z etosem życia na łonie natury; Meredene zobowiązała mnie do milczenia wobec jej ludzi i radziła mi zrobić to samo wobec Ireny. Z wielkim zapałem wypakowała po brzegi swój wózek, w którym zmieściły się także wyrzuty sumienia.

Ja nie miałem wyrzutów sumienia. Czuję się jednak obco w tej miejscowości, między sklepami, reklamami, restauracjami, autami, a w supermarkecie przeszkadzało mi jasne, zimne światło, szerokie, puste korytarze między regałami i nadmiar towarów. Policzyłem: dwa tygodnie temu zetknąłem się z obrazem Ireny w Art Gallery, osiem dni temu do niej przyjechałem. Miałem wrażenie, że upłynęło wiele tygodni.

Czasami przed południem troszczyłem się o ogród Ireny albo robiłem pranie, albo próbowałem naprawiać zepsute rzeczy, złamany stopień schodów, kapiący kran, zapasowe koło w dziupie. Nie śpieszyłem się przy tym i zastanawiałem nad dalszym ciągiem naszej historii. Ale zdarzało się też, że Irena chciała słuchać dalszego ciągu już przed południem, i musiałem improwizować i rozwlekać, zwalniać i upiększać. Wtedy rezygnowaliśmy z obiadu, siedziałem przy jej łóżku na balkonie do późnego popołudnia i opowiadałem.

Opowiadałem o locie przez Atlantycką i że wyglądając przez okno,

widzieliśmy z daleka inny samolot, jak ktoś płynący po bezkresnym morzu może spotkać drugi statek – pozdrowienie z obcego świata, do którego zmierza. W Nowym Jorku wynajęliśmy pokój w „Waldorfie Astorii” i cieszyliśmy się miastem jak bogaci turyści, dopóki nie stopniał nam zapas pieniędzy. Byliśmy na Empire State Building i przy Statui Wolności, w muzeach Metropolitan, Guggenheima i Fricka, spacerowaliśmy po Central Parku w kierunku północnym, dopóki nie robiło się niebezpiecznie, i jeszcze kawałek dalej, odważyliśmy się na wyprawę do Harlemu i do Bowery, jedliśmy w Café des Artistes i w Russian Tea Room, i w Gramercy Tavern. Irena nigdy nie była w Nowym Jorku, od dawna nie widziała żadnego filmu i chętnie słuchała opowieści o tym, o czym dzisiaj każdy ma wyobrażenie na podstawie filmów lub wizyt w tym mieście. W naszym pokoju w „Waldorfie Astorii” stały dwa łóżka i Irena chciała wiedzieć, czy ja zaproponowałem, czy ona, żeby spać w jednym łóżku. Nie kochała mnie jednak, tylko mnie lubiła, uważałem więc, że powinny być dwa łóżka.

Przebieg następnych dni, kiedy Irena odpoczywała, kiedyśmy jedli i ja opowiadałem, dostosowany był do tego, jak się czuła. Nie potrzebowała pieluch; wpadka z pierwszej nocy po wyjeździe Gundlacha i Schwinda już się nie powtórzyła. Ale często miała nudności i wymiotowała tym, co właśnie zjadła. I tak zresztą nie miała apetytu. Chwaliła moje spaghetti carbonara, moje risotto z grzybami i moje ziemniaki z gulaszem, lecz tylko moja sałata smakowała jej naprawdę.

Oczywista harmonia naszych wspólnych dni była trochę taka jak w moich ówczesnych marzeniach o naszym wspólnym życiu we Frankfurcie. Pewnego razu podkusiło mnie i powiedziałem o tym Irenie.

– Owszem – uśmiechnęła się – ale to jest życie ku śmierci.

7

Z dnia na dzień robiło się coraz cieplej. Wiatr od morza przestał wiać, a powietrze, które zwykle otacza nas jako coś amorficznego, otulało nas niczym ciepły materiał. Ptaki przestały latać i śpiewać, w ogrodzie wyschły rośliny. Irena zabroniła mi je podlewać.

- Wkrótce zacznie brakować wody.
- Chcesz się przenieść do dolnego domu?
- Może jutro.

Następnego dnia powiedziała znowu „może jutro”, a potem w dolnym domu było tak samo gorąco jak w górnym. W nocy nawet jeszcze bardziej: kamienie oddawały ciepło, które magazynowały w ciągu dnia. Noce nie przynosiły ochłodzenia.

Opowiedziałem jej o sierpniu w Nowym Jorku, o wilgotnym upale spowijającym nas niczym wilgotna, gorąca chusta, kiedy wychodziliśmy z klimatyzowanego budynku na ulicę. Pieniądze nam się skończyły i musieliśmy poszukać sobie pracy. Wyprowadziliśmy się też z „Waldorfa Astorii”. Tani hotel, któryśmy znaleźli, stał przy ulicy nad Hudsonem; na dwa pokoje przypadała jedna łazienka i trzeba było się nią dzielić, jeśli więc sąsiad korzystający z łazienki zapomniał potem otworzyć drzwi do naszego pokoju, które zamykał na klucz podczas korzystania, musieliśmy pukać do jego drzwi albo, jeśli wyszedł, nakłonić mrukliwego portiera, żeby pofatygował się na górę i otworzył. Mieliśmy tylko jedno łóżko.

– I?

– Ja spałem na podłodze. Było tak gorąco, że nie potrzebowałem kołdry. Kiedy nie mogłem spać, wychodziłem przez okno, siadałem na podeście schodów przeciwpożarowych i patrzyłem na jasną od świateł latarni ulicę oraz czarną jak noc rzekę. Czasami przysiadłaś się do mnie.

– O czym rozmawialiśmy?

– Ty znalazłaś pracę na Brooklynie jako kelnerka, a ja w McDonaldzie.

Opowiadaliśmy sobie o swojej pracy. Wiedziałaś, że McDonald's ma własny uniwersytet? The Hamburger University? Kiedy mnie zatrudniano, obiecano mi, że jeśli dostanę zezwolenie na pracę i się sprawdzę, droga na uniwersytet stanie przede mną otworem. Cieszyłem się już, gdy przeniesiono mnie z kuchni do pracy za ladą.

Irena roześmiała się.

– Nie potrafisz odpuścić, musisz robić karierę.

– Ale nie w McDonalddie. Chciałem znów zostać adwokatem i dowiedziałem się, że mogę zdać niezbędny egzamin nie w Nowym Jorku, ale w Kalifornii także bez studiów. Chciałem więc dostać się do Kalifornii. Lubiliśmy też jednak Nowy Jork; odkryliśmy, jak wiele to miasto ma do zaoferowania także tym, którzy mają mało pieniędzy, poznawaliśmy ludzi, mieliśmy widoki na mieszkanie. Ale potem...

Nie wiedziałem już, czy opowiedzieć, co przyszło mi nagle do głowy. Nie przyszło mi do głowy tak po prostu; podczas pierwszej podróży do Nowego Jorku, kiedy nie mogłem sobie jeszcze pozwolić na hotel i nocowałem na Brooklynie u przyjaciół przyjaciół, pewnego ranka, szukając kawy, rzeczywiście trafiłem do restauracji, w której nagle wyobraziłem sobie Irenę jako kelnerkę. Była to restauracja taka jak inne, oferująca zwyczajowe menu i ze zwyczajowym telewizorem nad bufetem, obsługa traktowała gości z taką jak wszędzie opryskliwą uprzejmością, a atmosfera nie miała w sobie cienia erotyki.

– Co potem?

– Potem odwiedziłem cię pewnego dnia w tej restauracji i przekonałem się, że musisz obsługiwać topless, więc wyciągnąłem cię stamtąd i zabrałem ze sobą, i kupiliśmy używane auto, a następnego dnia wyjechaliśmy.

– Nie możesz przecież... To była moja praca, prawda? Jeśli ja nie widziałam w tym nic... Byłeś zazdrosny?

– Zastanów się, czego chcesz. Opowiadam historię. W naszym pokoju muszę odwracać wzrok, a w restauracji wszyscy mają na ciebie patrzeć?

– Rozumiem.

Irena uśmiechnęła się. Szyderczo? Życzliwie? Z politowaniem? Jakim prawem uśmiechała się z politowaniem? Ale sam byłem sobie winien. Czułem przecież, że zwrot historii jest drażliwy, więc nie powinienem był go wprowadzać. Nie chciałem jednak wyjść na zazdrośnika. Chciałem dobrze wpaść. Chętnie uratowałbym Irenę w Central Parku przed gwałcicielem albo

na zebrze przed pijanym kierowcą, albo na Piątej Alei przed kieszonkowcem. Chętnie byłbym bohaterem. Nie przychodził mi jednak do głowy żaden wyczyn, który nie zabrzmiałby idiotycznie, tak jakbym chciał podkreślić wagność własnej osoby.

– Lubisz samochody? Nasz był stary, chevrolet bel air z pięćdziesiątego szóstego, zielony z białym dachem, miał białe błotniki i opony z białym paskiem. Przed nami na masce sunęła figurka, coś pośredniego między samolotem a rakieta, musieliśmy tylko jechać za nią.

8

Gdy tego wieczoru zniosłem Irenę do łóżka, odsunęła się na jedną stronę i wskazała drugą. Miałem usiąść.

– Pamiętasz, dlaczego Parsifal o nic nie pytał?

– Czy matka nie nauczyła go, że nie należy zadawać niepotrzebnych pytań?

A on potem wziął rzecz bardziej dosłownie, niż ona miała na myśli.

– A dlaczego ty nie pytasz?

– Pierwszego wieczoru odpowiadałaś wymijająco na moje pytania, więc pomyślałem...

– Pierwszy wieczór był dawno temu.

Wzruszyłem ramionami.

– Moi dziadkowie zadawali mi tylko najniezbędniejsze pytania. Chcesz uczyć się gry na pianinie? W tenisa? Tańca? I ja też pytałem ich tylko o to, co konieczne. Chciałbym pójść do teatru albo do opery, albo pojechać z przyjaciółmi na wakacje do Hiszpanii, dacie mi pieniądze? Dopóki pewnego dnia nie wyznaczyli mi kieszonkowego w takiej wysokości, że nie musiałem ich już pytać nawet o pieniądze. Byli naprawdę hojni.

– A jak było w twojej rodzinie? Z twoją żoną i dziećmi? Dużo ich pytałeś?

Czułem się nieswojo pod ciężarem jej pytań.

– Myślałem, że ja powinienem więcej pytać. Zamiast tego ty wiercisz mi dziurę w brzuchu.

– Przykro mi. – Położyła swoją dłoń na mojej. – Śpij dobrze!

Usiadłem na ławce pod zadaszeniem domu przy plaży i patrzyłem na wodę. Jej powierzchnia była tak gładka, że odbijała sierp księżycy niczym lustro, woda nie szemrała też wśród kamyczków. Brakowało mi tego odgłosu, wolałbym widzieć księżyc tańczący na falach. Ogarnęła mnie złość. Czy Irena chciała poddać mnie analizie? Terapii? Co ją obchodzi, jak często pytałem swoją żonę i dzieci? Po prostu są rodziny, w których pyta i mówi się więcej, i takie, w których pyta i mówi się mniej. W wypadku naszych dzieci to moja

żona zajmowała się pytaniem i mówieniem. A jeśli chodzi o nią – piękne było to, że rozumieliśmy się bez pytań. Ona żyła swoim życiem, a ja swoim i kiedy mnie potrzebowała, byłem do jej dyspozycji. Z tego miałbym zdać rachunek Irenie? A właściwie dlaczego?

Parsifal. Przypomniałem sobie, że podczas pierwszej wizyty na zamku nie zapytał starca o jego cierpienie ani go od niego nie uwolnił i dlatego ciążyła na nim swego rodzaju klątwa, dopóki podczas drugiej wizyty nie zadał wybawiającego pytania. Skąd wtedy wiedział, że ma zadać to pytanie? Skąd ja miałem wiedzieć, jakie pytania chciała usłyszeć Irena? Parsifal nie zapytał starca o chorobę, a ja bądź co bądź zapytałem.

9

Następnego dnia pojechaliśmy na zachód. Czasem autostrada prowadziła nas po długich mostach i wielu ślimakach ponad i pod innymi autostradami przez peryferie miast i widzieliśmy tylko popękane asfaltowe ulice, opustoszałe parkingi, zabarykadowane budynki, śmieci, a za nimi sylwetki wieżowców. Czasem wypuszczała nas w środku miasta na skrzyżowanie ze światłami, trąbiącymi autami i natłokiem przechodniów, sklepów i biur. Poza zabudową ciągnęła się jako szeroki, płaski bądź lekko wspinający się lub opadający pas, z dala od miast i wiosek wymienionych na tablicach z ich nazwami, jak również z dala od fabryk i farm. Widzieliśmy lasy, pola kukurydzy, pastwiska, na pastwiskach może kilka wołów, a za polami kukurydzy może silos lub dymiący komin albo wypuszczającą parę wieżę chłodniczą. A trzeciego dnia widzieliśmy już tylko łąny zboża, które pod wielkim niebem ciągnęły się po horyzont; wzrok gubił się wraz z nimi w oddali. Jednocześnie zmieniła się dobiegająca z radia muzyka: słyszeliśmy bandzo i skrzypce, akordeon i harmonijkę ustną, wpadające w ucho piosenki o kobietach i miłości, proste ballady o walce i śmierci. Wiadomości przynosiły informacje o rodeo, kłótniach i bijatykach, narodzinach i zgonach, uroczystościach szkolnych i kościelnych, przejechanych psach i zbiegłych kotach, fałszywych alarmach, a także o tym, że Jezus nas kocha. Z czteropasmowej autostrady zrobiła się dwupasmowa szosa, nad asfaltem migotał upał.

Jechaliśmy powoli, więc Irena opuściła szybę w oknie, odchyliła oparcie fotela i wystawiła nogi na zewnątrz. Po pierwszej zwrotce знаła melodię piosenki i nuciła do wtóru następne. Czasem, gdy jej wyobraźnię pobudziła jakaś informacja w wiadomościach, upiększała ją i robiła z niej historię. Jak John Dempsey złowił największą rybę tego lata. O co zaczęli się kłócić goście kawiarni na rozdrożu. Dlaczego Catalina Fisk nie wezwała karetki i zmarła, choć można ją było uratować.

– Boisz się śmierci?

Irena tak długo zastanawiała się z zamkniętymi oczami, że przemknęło mi już przez myśl, czy nie zapomniała o moim pytaniu, a może zasnęła. Czasem zdarzało się, że gubiła wątek w środku rozmowy albo ogarniało ją zmęczenie, które towarzyszyło jej nieodłącznie.

– Co zaniedbałam... Czy to strach przed śmiercią? Bo wtedy to już ostatecznie pozostanie niewypowiedziane, niezrobione, nieprzeżyte? Ale właściwie tak jest już teraz, już od dawna. Od dawna nie potrafię tego uporządkować.

Miałem pytać dalej? Czy Parsifal po pierwszym pytaniu zadawał starcowi następne? Gdzie kończy się współczucie i zaczyna natarczywość?

– Co chciałabyś uporządkować? Co zrobiłaś z farbowanymi włosami i okularami od słońca?

Otworzyła oczy i spojrzała na mnie.

– Ach, to... Nie, chciałabym jeszcze raz zobaczyć córkę albo przynajmniej wiedzieć, jak jej idzie i co robi. – Dostrzegła pytanie na mojej twarzy. –

W NRD wyszłam za mąż i niespodziewanie, właściwie byłam już za stara, urodziłam córkę. Nie chciałam jej odbierać mężowi. Już to, że zniknęłam bez śladu, musiało być dla niego okropne, a gdybym jeszcze wzięła Julię... Bardzo nas kochał na swój pedantyczny sposób.

Chętnie zapytałbym ją, dlaczego wybrała akurat kogoś takiego. I chętnie bym się dowiedział, dlaczego zostawiła męża i córkę i nie nawiązała z nimi kontaktu, i czego właściwie miałyby się obawiać po tych czasach, kiedy farbowała włosy i nosiła okulary przeciwsłoneczne. Czyżby jednak kogoś zabiła? Co powiedziała Gundlachowi? Że właśnie miała taki zamiar. To dopuszczało jeszcze wszelkie możliwości.

– Mogę pojechać do Rock Harbour i zadzwonić do mojej kancelarii, żeby ustalili, co się dzieje z Julią.

– Zrobisz to po mojej śmierci? I zorientujesz się, czy czegoś nie potrzebuje? I zadbasz, żeby dostała to, co pozostało ze spadku po mojej matce?

Wzięła mnie za rękę.

Czułem się nieswojo. A jeśli Julia rzeczywiście będzie czegoś potrzebować? Wykształcenia? Leczenia, za które nie płaci kasa chorych? Psychoterapii? Kuracji odwykowej? A co, jeśli będzie nie tylko uzależniona od narkotyków, lecz w dodatku będzie nimi handlować albo będzie się puszczać, żeby mieć na narkotyki, lub popełniać drobne wykroczenia – lub

może nawet poważne przestępstwa? Wyłożenie pieniędzy na obrońcę lub leczenie bądź wykształcenie to jedno. Ale gdybym musiał jej szukać w Berlinie na ulicy, noc w noc, i w końcu znalazł ordynarną, głupią osobę i musiał się potem troszczyć o to, żeby wyszła na ludzi? Nawet u dobrych przyjaciół, którzy chcieli, żebym został chrzestnym ich dzieci, odmawiałem, bo odpowiedzialność wydawała mi się zbyt duża. Skinąłem głową.

– Dobrze?

– Dobrze.

– Była miłym dzieckiem. Wyjechałam, kiedy weszła w fazę buntu, chociaż właściwie nie buntowała się, tylko dąsała, wiesz, zaciśnięte wargi i wilgotne oczy, a kiedy jej wyjaśniałam, dlaczego nie może mieć tego, co chciała, natychmiast przestawała się dąsać.

Irena zaczęła płakać. Najpierw usłyszałem ciche popłakiwanie, potem rozdierający płacz, a potem ledwo mogłem rozpoznać jej twarz, poorane zmarszczkami czoło, boleśnie otwarte usta, rzucała głową to w jedną, to w drugą stronę, a w końcu wcisnęła twarz w poduszkę.

Płacz – owa tania sztuczka, której kobiety używają, żeby wzbudzić w nas poczucie winy! Nie znoszę płaczu i bardzo cenię moją żonę za to, że szybko z niego zrezygnowała w naszym małżeństwie. Bo zrozumiała, że gra łzami jest nie fair, że mnie odpycha, że się na nią nie godzę. Z dumą mogę powiedzieć, że moje dzieci też nie płakały; najstarsza córka w wieku ośmiu lat złamała rękę, ze złamaną ręką przyszła do domu i z żoną i ze mną pojechała do szpitala, bez jednej łyzy.

Jak jednak miałem wyjaśnić Irenie, że nie odpowiadam za jej zgryzotę i jestem niewłaściwym adresatem jej łez? Nie przestawała płakać, nadal trzymała mnie za rękę, więc nie mogłem też po prostu wyjść. W końcu nie wytrzymałem jej płaczu, jej wciśniętej w poduszkę twarzy, jej drgających ramion i mojego niezdarne go siedzenia obok, wziąłem ją w objęcia i zacząłem kołysać, i wydawałem pocieszające pomruki, dopóki nie zasnęła.

Kiedy obudziła się w moich ramionach, spojrzała na mnie życzliwie, a nawet radośnie, uśmiechnęła się i powiedziała „dziękuję”. Nie rozumiałem, za co mi dziękuje, nie chciałem też jednak podawać w wątpliwość tego, co widocznie sprawiło jej radość, i odpowiedziałem uśmiechem.

10

A potem na polach Środkowego Zachodu zaczęły się żniwa. Irena widziała kiedyś zdjęcia kombajnów, które jechały w rzędzie przez łany zboża, więc zapytała:

– Gdzie są maszyny?

W jej wspomnieniach na kombajnach powiewały flagi, a traktorzyści i traktorzystki śmiali się radośnie – prędzej sowiecka propaganda niż amerykańska rzeczywistość, ale nie zaszkodziło parę chorągiewek na kombajnach Środkowego Zachodu, a z auta i tak nie mogliśmy widzieć twarzy prowadzących pojazdy. Jechaliśmy tak przez wiele godzin, podczas których co rusz pojawiały się kombajny, czasami kilka w rzędzie, przeważnie pojedyncze monstra, wszystkie z chorągiewkami.

Nocowaliśmy w motelach. Pokoje, zawsze duże, miały dwa łóżka i telewizor przykręcony do ściany pod sufitem, przy recepcji był automat z colą i sprite'em oraz kostkami lodu; przed zaśnięciem leżeliśmy na łóżkach, piliśmy piwo, jedliśmy chipsy kupione w ostatniej miejscowości i oglądaliśmy telewizję.

– Intrygowało mnie, co nas czeka w San Francisco i jak damy sobie tam radę. Chciałem o tym porozmawiać, ale ty nie chciałaś. Nie chciałaś planować, tylko przekonać się, co nadejdzie. Sądzę, że uważałaś mnie za małostkowego... czemu właściwie wybrałaś sobie pedantycznego męża?

Znów popatrzyła na mnie tym swoim wzrokiem.

– Nie chcę, żebyś myślała, że jestem zazdrosny. Interesuje mnie po prostu, dlaczego to zrobiłaś. Masz już dość moich pytań? Przed chwilą chciałaś, żebym zadawał ich więcej.

– Nie, nie mam ich dość. Helmut był taki jak NRD. Jego solidność dobrze mi robiła, jego troskliwość, opiekuńczość. Jak ciebie oceniałam... już nie pamiętam. A jesteś małostkowy?

Co za pytanie! Traktuję wszystko serio, czasem chyba zbyt serio, jestem we

wszystkim dokładny, czasem chyba zbyt dokładny, wciąż nie rozumiem, dlaczego ludzie w trudnych sytuacjach ulegają emocjom, zamiast rozwiązywać problemy racjonalnie, i uważam, że często potykają się o drobiazgi, a potem ponoszą porażki. Ale ani nie jestem pedantyczny, ani pamiętliwy, ani skąpy. Małostkowy? Śmieszne.

Pozostawiłem więc to pytanie bez odpowiedzi i ruszyliśmy z Ireną przez Rocky Mountains. Widzieliśmy wiele lasów, spokojne i dzikie rzeki, wodę spadającą z wysokich skał, z daleka jako cienką srebrzystą strużkę, z bliska jako tryskającą kipieli, śnieg na górskich szczytach, raptowne zmiany pogody i gwałtowne burze, których echo odbijało się od gór niczym wrzawa bitewna. Chętnie uratowałbym Irenę przed niedźwiedziem, ale nie spotkaliśmy żadnego, a poza tym nie bardzo bym wiedział, jak to zrobić. Na parkingu przy autostradzie przybłąkał się natomiast do nas zapomniany lub porzucony pies, czarne stworzenie, pysk, pierś i łapy białe w czarne plamy, zarazem bojaźliwy i ufnie nachalny, który towarzyszył nam na każdym kroku, obskakiwał nas i obiegał w koło. Kiedy podczas jazdy mieliśmy okna otwarte i Irena wystawiała stopy przez przednie okno, on wystawiał łeb przez tylne i nie mógł się nasycić zapachami świata.

– Jak wabił się ten pies?

– Nie wiem. Ty powiedz!

– To był pies czy suczka?

– Suczka.

Irena zasnęła, zanim zdążyła mi podać imię. Nastął wieczór, ale nadal było gorąco – wysuszający wszystko upał, skwar, z którym od wielu dni budziliśmy się i zasypiali. Zrobiłem gazpacho z pomidorów z puszki, Irena zjadła kilka łyżek i z powrotem zasnęła. Zostawiłem ją, by spała na balkonie, i sobie także przyniosłem na balkon materac. Nie było chłodniej niż w domu, ale oddychało się lepiej.

Obudziłem się w środku nocy i przypomniałem sobie. Opisałem psa, którego dzieci przyprowadziły kiedyś do domu. Znalazły go na boisku, gdzie spotykały się po południu z przyjaciółmi; nie należał do nikogo, w każdym razie przy obroży nie miał blaszki z numerem podatkowym, i od razu przypadł im do serca. Rzeczywiście był bardzo towarzyski, moja żona lubiła, kiedy siedziała na kanapie, żeby kładł się obok niej z głową na jej nodze, i nazywała go swoją ciepłą poduszeczką. Nie dopuściłem wtedy do tego, żeby został u nas. Przeszkadzało mi, że wnosi błoto do domu, i bałagan, kiedy dzieci się

z nim bawiły, i uszkodzenia biedermeierowskiej kanapy, którą czasami lizał i gryzł, kiedy żona nie siedziała na niej, i perspektywa, że będę musiał go wyprowadzać, gdy znudzi się dzieciom. Nikt się nie skarżył, kiedy zniknął z domu.

Zawsze uważałem się za wspaniałomyślnego męża i ojca. Żona miała w domu wszelką pomoc, jakiej chciała, i poza tym własne auto, a dzieci dostawały to, czego potrzebowały do swojego rozwoju, nawet jeśli tylko mówiły, że potrzebują, a potem okazywało się, że mogą się bez tego obejść. Czy w drobnych sprawach może jednak byłem czasem trochę małostkowy? Skąd wiedziałem, że dzieciom znudzi się pies? Że jego strata nie zaboli żony i dzieci? Czy nie skarżyli się tylko dlatego, że u nas niewiele się rozmawiało? Co jeszcze u nas pozostało niewypowiedziane?

Przypomniał mi się wypadek żony. Leżałem na plecach z rękami skrzyżowanymi pod głową i patrzyłem w niebo. Znałem Krzyż Południa z flag australijskiej i nowozelandzkiej; szukałem go, ale nie znalazłem. Droga Mleczna podsunęła mi myśl o matce, której prawie w ogóle nie pamiętałem, wiem jednak, że wydała mnie na świat przez cesarskie cięcie i nie karmiła mnie piersią, bo lekarze wtedy odradzali to po tego rodzaju porodzie. Mały jasny punkt poruszał się swoim torem po niebie; śledziłem go wzrokiem i w trakcie tego śledzenia zasnąłem.

11

Irenie podobał się przejazd z Rocky Mountains nad Pacyfik. Jasne światło, sucha trawa, zbrązowiała, ale w porannym i wieczornym świetle mająca złoty połysk, drzewa owocowe, rząd za rzędem posadzone tak równiutko, że ich cień wieczorem regularnie muskał nasze auto, winne krzewy, które rosły nie na zboczach, ale w dolinach, nazwy miejscowości świadczące o tym, że kiedyś osiedlili się tutaj Hiszpanie i Rosjanie. Irena wyobrażała sobie ludzi z Sewastopola i jak znaleźli drogę z Krymu do Kalifornii, gdzie założyli Sewastopol, zimne noce, kiedy żarzyły się piecyki stojące wśród winnych krzewów, wiosnę, kiedy drzewa owocowe kwitły na różowo. Zanim dojechaliśmy do Pacyfiku, pokonaliśmy ostatni łańcuch górski i z jego wysokości widzieliśmy mgłę wiszącą w dolinach i nad morzem, tak gęstą, jakby słońce nie mogło jej rozproszyć. Było późne popołudnie i usiedliśmy w brązowej trawie, pies u naszych stóp, i piliśmy czerwone wino, które kupiliśmy po drodze w winiarni. Poczuliśmy zmęczenie i drzemaliśmy, potem spaliśmy, a kiedyśmy się obudzili, mgła zniknęła i w południowym słońcu migotał Pacyfik.

– Leżałem spokojnie. Kiedyśmy spali, odwróciłaś się do mnie i położyłaś mi rękę na piersi.

Irena uśmiechnęła się.

– Zaczynasz być odważny.

– Ty położyłaś mi rękę na piersi, nie ja tobie.

Roześmiała się.

– Pojmuję. I co potem?

– Obudziłaś się, jeszcze na moment zostawiłaś rękę na mojej piersi, po czym podniosłaś się i popatrzyłaś na Pacyfik. Ja też się podniosłem, a wtedy oparłaś się ramieniem o moje ramię.

– Jak się czułeś z moją ręką na piersi i moim ramieniem przy twoim?

– Że też kobiety zawsze muszą usłyszeć, co się czuje! Muszą usłyszeć –

wiedzieć o czymś to dla nich za mało. Jest jak w wojsku, gdzie nie wystarczy, że ktoś wiernie służy, żołnierz musi co rano stanąć do apelu sztandarowego i wyznać swoją wierność. To rytuał pozyskiwania i podporządkowywania, którego nie próbowałem stosować wobec żony, a i ona w pewnym momencie zrezygnowała z niego. W pewnym momencie przestała mnie pytać, co czuję.

– Dobrze – odpowiedziałem i pojechaliśmy w dół, na wybrzeże, i wzdłuż wybrzeża do San Francisco.

Irena widziała *Ptaki*, więc w Bodedze pokazałem jej budynek szkoły z filmu. Potem szliśmy plażą wzdłuż morza i podczas spaceru opowiadałem jej o falach, które niespodziewanie podnoszą się ze spokojnej wody i jeśli ktoś idzie zbyt blisko, mogą go porwać i już nie oddać.

Nagle zacząłem się bać o nią. Nie miała wyboru, musiała iść blisko niebezpieczeństwa, a rak ją porwie i już nie odda.

Kiedy przejeżdżaliśmy przez most Golden Gate, akurat zachodziło słońce. Zanurzało się we mgle i z sekundy na sekundę Pacyfik stał się szary, bezlitosny, nieprzyjazny. Ale miasto jeszcze się świeciło i bardzo chciałem, żeby w radiu zagrali piosenkę, której kiedyś często słuchałem, moją ulubioną; chodzi w niej o San Francisco albo Kalifornię, albo o jedno i drugie, nie mogłem jednak przypomnieć sobie tytułu, pamiętałem tylko urywki melodii. Zanuciłem je Irenie i ona też знаła tę piosenkę, ale też nie mogła sobie przypomnieć tytułu. Mniejsza jednak o to – bo przyjechaliśmy na miejsce.

– Jesteśmy na miejscu.

Uśmiechnąłem się do Ireny.

– Tak – odwzajemniła uśmiech – jesteśmy na miejscu.

Nieczęsto w życiu chorowałem. A kiedy już byłem chory, zachowywałem się tak, jak nauczyli mnie dziadkowie: sprawiać jak najmniej kłopotów, jak najmniej potrzebować, jak najmniej sobie życzyć. Wystarczy, że człowiek, kiedy jest chory, nie funkcjonuje; jego choroba nie powinna więc bardziej niż to konieczne ograniczać funkcjonowania innych. Moja żona i ja trzymaliśmy się tej zasady także w naszej rodzinie. Czy nie mamy wszelkich powodów do zadowolenia i wdzięczności, gdy podczas choroby możemy leżeć w łóżku, a nie musimy, jak chorzy ludzie w latach wojny, walczyć w mokrych okopach albo uciekać przez śnieg i lód, albo czekać na bomby w zimnych piwnicach?

Z początku Irena zachowywała się podobnie. Prosiła mnie tylko wtedy, gdy rzeczywiście nie umiała sobie inaczej pomóc, potem była wyraźnie zakłopotana, przepraszała mnie i dziękowała. Z każdym dniem moja pomoc stawała się coraz bardziej oczywista, a Irena miała coraz więcej potrzeb i życzeń. Zamiast trzech dużych posiłków – więcej małych, zamiast alternatywy łóżka w sypialni i łóżka na balkonie także łóżko z jednej i z drugiej strony balkonu i pod zadaszeniem domu przy plaży, i pod akacją obok schodów, zamiast prośby o szklankę wody – „chce mi się pić”, a zamiast „dziękuję” – uśmiech albo i nic. Kiedy miała nudności, a wymioty nie przynosiły ulgi, nadal chwytaly ją torsje i musiała spluwać, a wiaderko stało za daleko lub nie było w zasięgu chusteczki higienicznej albo nie podparłem jej jak trzeba, wtedy mnie besztala.

Nie było mi z tym łatwo. Nie wyobrażałem sobie, żeby sama chciała być tak traktowana. Jak mogła mnie tak traktować? Czy rak lub bliska śmierć dają człowiekowi szczególne prawa? Nie rozumiałem tego i nadal jestem zdecydowany w analogicznej sytuacji nie domagać się dla siebie szczególnych praw. Ale może nie powinienem, jak to zrobiłem, odrzucać jej nieśmiałych prośb i podziękowań i mówić, że wszystko jest oczywiste, i potem nie dawać się chwytac za słowo. Może piękne było to, że moja pomoc stała się dla niej

czymś oczywistym. Może uczciwość nie zawsze jest najważniejsza.

Wieczorem po naszym przyjeździe do San Francisco znów była inna. Prosiła, gdy czegoś jej brakowało, i dziękowała, kiedy to otrzymała, i przepraszała, że sprawia kłopot. Wydawało się, jakby z powrotem chciała stworzyć dystans między nami i zrobić ze mnie swoje vis-à-vis, z którym nie czuje się związana i od którego może się już odsunąć. Przypominała mi moją córkę, która gdy była mała, latem na obozie przekonała się, że daje sobie radę także bez nas, a po powrocie dała nam odczuć, że jest samodzielna i że nie powinniśmy traktować jej przynależności do rodziny jako czegoś oczywistego. Irena zaczęła się bać w obcym otoczeniu.

– Sama dam radę – powiedziała, gdy po kolacji wstała od stołu i ruszyła w kierunku schodów.

– Gdzie chcesz spać?

– Na balkonie.

Wchodziła po schodach, powoli, ociężale, pochylona do przodu, opierając się rękami na stopniach. Stałem na dole, w każdej chwili gotów pośpieszyć z pomocą, ale mnie nie potrzebowała.

Pozmywałem naczynia, posprzątałem kuchnię i nakryłem stół na następny dzień. Następnie nalałem sobie resztę wina z butelki i wyszedłem z kieliszkiem w ręku na balkon. Usłyszałem, jak Irena przechodzi z sypialni do łazienki, bierze prysznic i wraca do sypialni. Było gorąco, podobnie jak przez cały dzień i poprzedniej nocy, i poprzedniego dnia, i zdałem sobie sprawę, że lubię żar nocy. Żar, który wyzbył się agresywności i się nie zmniejszył, ale zubożył.

Potem usłyszałem wołanie Ireny i pośpieszyłem do kuchni.

Irena schodziła po schodach. Prawą ręką wymacywała ścianę, żeby móc się oprzeć, gdyby zaszła potrzeba, ale trzymała się prosto i pewnie stawiała kroki. Głowę miała lekko pochyloną i patrzyła na mnie. Była naga.

Ileż myśli cisnęło mi się do głowy w tych sekundach, kiedy schodziła na dół! Że pewnie wzięła swoją ostatnią kokainę. Jakże blade, śmiertelnie blade było jej ciało w porównaniu z brązową opalenizną twarzy, szyi i rąk. Jakże zmęczone było, ze zmęczonymi piersiami, zmęczoną skórą na brzuchu, a zarazem takie piękne, i że zmęczone piękno pozostaje jednak pięknem. I opinie tych wyrostków w galerii sztuki o jej biodrach, udach i stopach, i jak bardzo nie zgadzało się to z prawdą. Moje fantazje na temat łagodności i kuszenia, oporu i odmowy i że po prostu była kobietą, która ma własne życie. Jak odważnie przeżyła to swoje życie, a jak bojaźliwie ja swoje. Że dzieciom, które przyjmowała, okazywała więcej miłości niż ja moim. I że wzrusza mnie zmęczenie jej ciała. Jak blisko siebie są wzruszenie i pożądanie.

Mówiła oczami. Że odgrywa dla mnie rolę, ale nie przedstawienie, że oboje wiemy, iż nie jest młodą, tylko starą Ireną, jak ja nie jestem młody, tylko stary, że w tym momencie swojego życia nie może dać wiele więcej niż miłość i że zaprasza mnie, bym zrobił to samo i przyznał się, że tego właśnie pragnę. Ale też, że podoba jej się ta gra, ten cytat z samej siebie i moje pełne podziwu spojrzenie.

W końcu dotarła na dół i całym ciałem spoczęła w naszych wzajemnych objęciach, pierś przy piersi, brzuch przy brzuchu, udo przy udzie. Moje dłonie czuły jej skórę, która była jak bibułka, miękka, sucha, trochę szorstka. Wiedziałem, że zaraz zaniosę ją do jej pokoju. Ale nie było pośpiechu.

Następnego dnia w jej pokoju zrobiłem z dwóch łóżek podwójne, a na balkonie zsunąłem nasze materace. Wahałem się, czy na balkonie, gdzie w każdej chwili mógł się zjawić Kari, spać z Ireną w jednym łóżku. Pokręciła jednak głową.

– On przychodzi tylko wtedy, kiedy sądzi, że grozi mi niebezpieczeństwo. Kiedy pojawia się helikopter albo łódź, albo jacyś obcy ludzie.

Irena nie była już tak ożywiona jak wieczorem, gdy wzięła swoją ostatnią kokainę. Nie uprawialiśmy już też miłości; była zbyt słaba i zadowalało ją, że trzymamy się w ramionach. I jeszcze coś się zmieniło. W dalszym ciągu chciała, żebym jej opowiadał, ale gdy doszedłem do przyjazdu do San Francisco i naszego odnalezienia się, zapragnęła innej opowieści.

– Opowiesz mi, jak by to było, gdybyśmy się spotkali jako studenci?

– Jak mielibyśmy się spotkać jako studenci? Ty byłaś aktywna politycznie, miałaś wielbicieli, byłaś zapraszana na wernisaże i przyjęcia, szybko wyszłaś za mąż... a ja nic nie robiłem, tylko chodziłem na wykłady i seminaria i przesiadywałem w bibliotece.

– Ale teraz, kiedy wiesz, że mogłeś mnie spotkać... Nigdy nie byłeś w „Cave”?

– Nie.

– Ale wiesz, co to było? I gdzie?

O dziesiątej wieczorem nie szedłem więc z biblioteki do domu, tylko do „Cave”. Był to lokal w piwnicach na dwóch kondygnacjach, u góry bar bez stołów i krzeseł, na dole scena i parkiet, oba pomieszczenia zadymione, a paru młodych ludzi grało jazz. Muzyka nie miała melodii – czy to był free jazz? A czerń, czarne spódnice, czarne dżinsy, czarne swetry i czarne kurtki, czy to był egzystencjalizm? Czy stąd brała się ta niedbałość, z jaką wszyscy się poruszali, siadali i siedzieli, wstawali, podawali ogień i palili, podnosili i opróżniali kieliszki? Czy dlatego mężczyźni patrzyli tak zblazowanym

wzrokiem na piękne kobiety, do których chcieli się przecież zbliżyć, a kobiety na mężczyzn, jakby byli natrętami? Rozejrzałem się dokoła i...

Irena roześmiała się głośno.

– Skąd u ciebie te nowofalowe stereotypy? Pod koniec lat sześćdziesiątych nikt już nie chodził w czerni, dziewczyny chciały nadrobić to, czego nie miały jako uczennice na prowincji, a chłopcy chcieli nam imponować wielkimi słowami o teorii krytycznej i praktyce rewolucyjnej. Nic z tego nie dotarło do ciebie?

– Przecież ci powiedziałem, że studiowałem i nic poza tym.

– A później pracowałeś i nic poza tym? Wstąpiłeś do kancelarii, a potem ją przejąłeś i powiększałeś coraz bardziej?

– Nie wiem, czego ode mnie chcesz.

– Nie chcę od ciebie niczego. – Wzięła mnie w ramiona. – Wyobrażam sobie twoje życie. Twoje życie w skorupie. Może dla kogoś, kto żyje w skorupie, świat na zewnątrz musi się stać stereotypem.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Często jestem za granicą w sprawach zawodowych i zawsze podróżuję z otwartymi oczami. W domu czytam dwie gazety, przede wszystkim strony poświęcone gospodarce i finansom, ale także polityce i kulturze. O świecie jestem poinformowany lepiej niż większość ludzi. Czy miałbym wieść życie w skorupie tylko dlatego, że nie znam się na modzie studenckiej końca lat sześćdziesiątych?

Poczuła, jak stawiam opór w jej ramionach, i przyciągnęła mnie bliżej.

– Nigdy nie odwiedzałeś swoich dzieci podczas studiów? Nie chodziłeś z nimi do ich knajp i na ich imprezy?

– Moje dzieci w wieku czternastu lat wyjechały do internatu w Anglii i tam studiowały. Przyjeżdżałem na uroczyste zakończenia roku do Cambridge, wspaniałe wydarzenia celebrowane z pompą i godnością. Byłem też na trybunach, gdy mój najmłodszy wygrywał Boat Race z Oksfordem.

– Często się widujecie?

– Oni zostali w Anglii, najstarsza i średni jako adwokaci, najmłodszy ma własną firmę softwarową. Jeżdżę do nich, kiedy urodzi się wnuk albo wnuczka, albo wszyscy troje coś świętują. Nie chcę być dla nich ciężarem.

Irena powoli i delikatnie głaskała mnie po plecach.

– Mój kompletny głuptasek. Wszystko chcesz robić jak należy. – Po czym powtórzyła, czule i ze smutkiem: – Mój kompletny głuptasek.

Znów nie rozumiałem, co ma na myśli. Zacząłem płakać, nie wiedziałem,

dlaczego w ogóle ani dlaczego teraz. Wstydzilem się, uważałem, że jestem śmieszny, ale nie mogłem przestać. Tęskniłem za swoimi dziećmi, nie za tymi, które mieszkały teraz w Anglii, ale za tymi, które były wtedy nastolatkami, a ja nie przeżywałem z nimi ich wieku dojrzewania i konfliktów w szkole, pasji i przyjaźni, i pierwszych miłości, i zastanawiania się nad wyborem studiów. Kiedy odbierałem je wtedy z lotniska, nie przyjeżdżały już do domu, tylko wyłącznie na ferie, a podczas wakacji często od razu rozpoczynały jakiś kurs językowy lub obóz tenisowy. Moje dzieci nigdy się wtedy nie skarżyły, a mimo to było mi ich teraz żal. Było mi żal także siebie i płakałem nad sobą tak samo jak nad nimi i nad moją żoną, która zawsze była przeciwna ich wyjazdowi do Anglii. Czy wtedy naprawdę sądziłem, że to dla dzieci najlepsze? Czy bez dzieci urządziłem sobie łatwe i wygodne życie?

– Ależ płacz – Irena nadal głąaskała mnie po plecach – płacz. Wszystko znów będzie dobrze.

Po raz kolejny nie rozumiałem, co ma na myśli. Czułem jednak jej pocieszającą bliskość, ta zaś mieszała się z moimi samooskarżeniami i rozczulaniem się nad sobą, tworząc przykrycie, pod którym mogłem płakać aż do zaśnięcia.

Sądzę, że to ostatni raz – powiedziała następnego ranka. – Chciałabym jeszcze raz zejść po schodach na plażę.

Kiedy schodziliśmy, Irena z jedną ręką na poręczu, drugą na moim ramieniu, ja też wiedziałem, że to ostatni raz. Zatrzymywała się na każdym stopniu, zbierała siły na następny, stawiała prawą, zawsze najpierw prawą, a potem lewą nogę na następnym stopniu i odpoczywała, nim zebrała siły, by pokonać kolejny. Oddychała przy tym ciężko, nie mogła mówić i tylko od czasu do czasu patrzyła na mnie zmęczonym lub przeprasającym wzrokiem albo z ironicznym uśmiechem.

– Co się ze mną stało!

Znów gotów byłem się rozplakać. Co się ze mną działo, wczoraj wieczorem i dzisiaj? Kiedyśmy się odnaleźli z Ireną, było jasne, że będziemy mieć siebie bardzo krótko. Ale to była prawda obowiązująca gdzieś na zewnątrz, nie między nami. Między nami działo się tak wiele, było tyle życia, tyle obietnic. W długiej drodze po schodach na dół krótkość czasu, jaki nam pozostał, stała się prawdą między nami, której nie mogłem znieść. Nie potrzebuję nikogo, tak zawsze myślałem, co najwyżej do tego, żeby być szczęśliwym, ale nie do tego, by przeżyć – i zresztą przeżyłem sam, bez niczyjej pomocy. Teraz nie wiedziałem, jak miałbym przeżyć bez Ireny, jak bez niej miałbym inaczej traktować swoje dzieci, inaczej ułożyć sobie pracę, urządzić na nowo życie. Jak miałbym bez niej zasypiać i się budzić.

Ale nie płakałem i starałem się powoli schodzić z Ireną na dół, krok za krokiem, stopień po stopniu, jakby to była najnormalniejsza rzecz pod słońcem. Wtem Irena zatrzymała się dłużej na jednym ze stopni, dopóki nie odzyskała mowy.

– Powiedziałeś, że angielskie kancelarie przejmują niemieckie. Dlaczego nie założysz w Anglii filii swojej kancelarii do spółki z dwojgiem starszych dzieci?

Pomyślałem, z jakim dystansem odnoszą się do mnie moje dzieci.

– Bądź co bądź wybrali twój zawód. – Parę stopni niżej znowu się zatrzymała. – Moja córka... musisz się zorientować, czy możesz jej o mnie opowiedzieć czy nie. Nie chcę, żebyś wprawił ją w zakłopotanie. Chcę, żebyś zrobił coś, co będzie dla niej dobre. Jeśli to osiągniesz, nic nie robiąc, nic nie rób.

W końcu uporaliśmy się ze schodami.

– Jak pięknie – powiedziała, kiedy stanęła stopami w wodzie. Wszystko było piękne, ciepła woda, oślepiająca gładkość morza, jego czystość, która pozwalała widzieć dno w odległości wielu metrów, kamyki, wodorosty i ryby, niebo, jeszcze porannie błękitne i bez mgiełki upału. Irena oparła się o moje ramiona, którymi ją obejmowałem, i odpoczywała. – Damy radę do skały na końcu zatoki?

Ale już po kilku krokach zrobiło jej się niedobrze i zwymiotowała to, co przed chwilą zjadła. Zrobiliśmy przerwę i usiedliśmy pod zadaszeniem domu przy plaży.

– A jeśli spotkaliśmy się w szkole?

– W szkole podstawowej? Pamiętam budynek z żółtej cegły ozdobiony czerwonym piaskowcem i dwie połowy, jedna dla dziewcząt i jedna dla chłopców. Podwórze także było podzielone na dwie równe części i na dużej przerwie dziewczęta i chłopcy z klas od jeden do cztery biegali w dwóch dużych kołach, zawsze dwa obok siebie, pod nadzorem starszych uczennic lub uczniów, nad którymi nadzór sprawował ktoś z grona nauczycielskiego. Starsi uczniowie, nieprzydzieleni do nadzoru podczas przerw, mogli się poruszać swobodnie i dokuczali nam, bili nas, odbierali nam precle albo jabłka... dla nich to była zabawa, w której chodziło nie tyle o precla czy jabłko, ile o to, żeby nie dać się przyłapać.

Byłem bojaźliwym dzieckiem. Bałem się szkoły, nauczycieli, starszych uczniów, już drogi do szkoły, podczas której czasem mi dokuczali i bili mnie albo mi coś zabierali, jak również spóźnień, które co rusz mi się zdarzały, bo wprawdzie w porę wychodziłem z domu, ale po drodze ze strachu przed szkołą się guzdrałem. Długo odbierałem wszystko, co wiązało się ze szkołą, jak przez mgłę, nie rozumiejąc, o co tu chodzi i w czym rzecz.

Dopóki pewnego dnia nie rozpoznałem w dziewczynce z jasnymi warkoczami, biegnącej podczas przerw w drugim kole, dziewczynki kupującej czasem w sklepiku, do którego i mnie babcia wysyłała na zakupy.

Dziewczynka przychodziła, jak ja, z blaszaną bańką, do której sklepikarz nalewał pełnego bądź chudego mleka, i z karteczką, również jak ja, na której było napisane, co zapakować jej do torby. W odróżnieniu ode mnie nie dawała mu jednak portmonetki, ale płaciła jak dorosła: powoli, z koniuszkiem języka między wargami, wyjmowała z portmonetki banknoty i monety, w miarę możliwości tyle, ile trzeba, i równie dokładnie odliczała drobne. Nie rozmawialiśmy jednak ze sobą. Nie miałem zresztą śmiałości, a tym bardziej dopóki sam nie płaciłem jak dorosły.

Dzięki temu rachunki stały się pierwszym przedmiotem, do którego zacząłem się przykładać. Pamiętam jeszcze ten pierwszy raz, gdy i ja wyjąłem z portmonetki odpowiednią kwotę w banknotach i monetach, a potem odliczyłem drobne. Dziewczynki nie było przy tym; dopiero po upływie wielu tygodni zdarzyło się, że równocześnie robiliśmy zakupy i zobaczyła, że potrafię to samo co ona. Posłała mi krótkie spojrzenie, które mówiło: „Pora już była najwyższa”, i nie wsuwała już koniuszka języka między wargi, bo i ja tego nie robiłem. Nie podałem też sprzedawcy karteczki, tylko odczytałem, co mam kupić, i ona tak samo. Nie poszliśmy, choć mogliśmy pójść do domu tą samą drogą, żadne z nas nie musiałyby nadkładać drogi, jedno musiałyby tylko pójść inaczej niż zwykle. Tymczasem zdążyłem się bowiem dowiedzieć, gdzie mieszka.

Niekiedy szedłem za nią, wracając do domu ze szkoły, w dużej odległości, nie sądzę, żeby to w ogóle zauważyła. Dopóki nie przytrafiło jej się coś, co znałem aż za dobrze. Dwóch dużych chłopców szło najpierw za nią, potem obok niej, a potem przycisnęli ją do płotu. Broniła się, nie krzyczała. Słyszałem śmiech chłopców, ich „No, pośpiesz się” i „Dawaj”. Ruszyłem biegiem i wpadłem całym impetem w jednego z nich, a drugiego uderzyłem z całej siły w brzuch. Chwyciłem dziewczynkę za rękę i uciekłem razem z nią, skręciliśmy za najbliższy róg, wbiegliśmy do jakiegoś ogrodu i schowaliśmy się za krzakiem. Ale chłopcy nas nie ścigali.

Po jakimś czasie odprowadziłem ją do domu. Nie puszczałem jej ręki, ona zresztą nie próbowała uwolnić jej z mojej dłoni. Przed domem zapytałem ją, jak się...

– Czy to prawdziwa historia?

– Nie była blondynką, tylko szatynką, i nie miała na imię Irena, jak chętnie bym ją nazywał, tylko Barbara. Przez dwa lub trzy tygodnie wracaliśmy razem ze szkoły do domu, trzymając się za ręce, potem zniknęła i zapomniałem o niej,

przypomniałem sobie dopiero teraz, kiedy zapytałaś mnie o szkołę. Gdybyś to była ty i nie wyprowadziła się, tylko została...

Wziąłem Irenę za rękę.

– Tak.

16

Zdołaliśmy dojść do skały na końcu zatoki. Potem Irena zupełnie opadła z sił. Zaniósłem ją do schodów i wniosłem na górę, położyłem na łóżku na balkonie. Było na tyle wcześnie, że słońce świeciło jeszcze na łóżko; rozłożyłem i ustawiłem parasol przeciwsłoneczny.

– Coś czujesz?

– Nie. A co ty czujesz?

– Ogień. Ale może się myłę.

Przeszedłem przez dom i sprawdziłem kuchenkę gazową, gazowy bojler i świece, któreśmy czasem zapalali w ostatnich dniach. Przy okazji sprawdziłem stan zapasów: za dwa, trzy dni będę musiał znowu pojechać do najbliższej miejscowości. Przydałby się także zapas morfiny, na wypadek gdyby Irena miała silne bóle. Czy Kari nie mógłby załatwić, jeśli nie morfinę, to heroinę?

Kiedy wróciłem na balkon, Irena spała. Usiadłem obok i patrzyłem na nią. Włosy szczesane z twarzy i zebrane na karku, poziome zmarszczki na czole i pionowe bruzdy w policzkach, usta zamknięte cienkimi już wargami, okrągły, silny podbródek, pod nim i na szyi zwiotczała skóra – wygląd miała naprawdę surowy. Wypróbowałem różne grymasy, ale nie doszedłem do tego, z jakiej mimiki pochodzą bruzdy w policzkach ani jakie uczucie narysowało drobne zmarszczki w kącikach oczu: roześmiana radość świata czy jego bojaźliwe odrzucenie z zamkniętymi oczyma? Nie miała miłej twarzy. A mimo to jej twarz była dla mnie miła i myślałem o radości i strachu, i głębokich cezurach w życiu Ireny.

Im dłużej na nią patrzyłem, tym lepiej w swoim mniemaniu rozumiałem jej twarz. Sąsiadowało w niej jedno i drugie, jak radość i strach wokół oczu, tak ostrość i miękkość w policzkach, a cienkie wargi były gotowe uśmiechnąć się czarująco.

Otworzyła oczy.

– Co tak na mnie patrzysz?

– Po prostu patrzę na ciebie.

Nie spodobała jej się moja odpowiedź, z uśmiechem pokręciła głową.

– Kiedy na ciebie patrzę, odnajduję w twojej twarzy to, co o tobie wiem, i to, czego jeszcze nie wiem, i składam to do kupy. I za każdym razem znam cię lepiej. I za każdym razem kocham cię bardziej.

– Śniło mi się, że jechałam koleją, najpierw ekspresem, a potem pociągiem podmiejskim, a kiedy wysiadałam, wiedziałam od razu, że to niewłaściwa stacja, mimo to wysiadłam i to była niewłaściwa stacja, taka opuszczona i zaniedbana, jakby od dawna nie zatrzymał się tu żaden pociąg. Przeszłam przez budynek stacji i wyszłam na plac dworcowy, ale tam też zupełnie pusto, żadnych taksówek, żadnych autobusów, nikogo. Potem jednak zobaczyłam Karla i Petera, obaj siedzieli na walizkach, takich staroświeckich pojemnikach bez uchwyty i kółeczek, jakby czekali na to, że ktoś ich odbierze. Kiedy podeszłam do nich, nie podnieśli wzroku, nie poruszyli się... miałam wrażenie, że dawno temu umarli i siedzieli martwi na swoich walizkach. Przestraszyłam się, ale nie tak, jakby mnie piorun poraził, lecz jakby zimny dreszcz wpełzał mi wolno po plecach. I wtedy się obudziłam.

– Nie potrafię interpretować snów. Sen mara, Bóg wiara, mawiała moja żona. Ale to, coście mówili o końcu świata i sztuki, i alternatyw... czy nie byliście wtedy na dworcu, z którego nie odjeżdża już żaden pociąg? Czy nie siedzieliście martwi na swoich walizkach? – Zaraz po wyjeździe tamtych chciałem ją zapytać, ale zapomniałem. – A właściwie wierzysz w to, coście mówili?

Rozejrzała się dokoła, zauważyłem, że chce się podnieść, więc przyniosłem jej poduszkę. Potem siedziała i patrzyła na mnie smutnym, czułym wzrokiem, który już znałem i który zdawał się mówić, że jest mi czule oddana, a zarazem smutna, bo nie rozumiem, co chciałaby, żebym rozumiał.

– Mój kompletny głuptasek – powiedziała – idziesz przez życie i toczysz swoje walki jak rycerze na turniejach i jak oni nie zauważasz, że to już nie są prawdziwe walki, tylko ćwiczenia przed lustrem, i pewien czas dobiegł kresu. Lubię cię za to, że tak gorliwie kroczysz od zlecenia do zlecenia i rzetelnie przeprowadzasz jeszcze jedną fuzję i jeszcze jedno przejęcie i uważasz, że to ważne sprawy. Wzrusza mnie to. I jednocześnie zasmuca.

Chciałem zaoponować. Chciałem usprawiedliwić to, co robię. Wyjaśnić, że fuzje i przejęcia to ważne sprawy. Że walki, które toczę, nie odbywają się

przed lustrem. Że nic nie dobiegło kresu, że wszystko biegnie dalej i dalej.

– Nie przejmuj się. Kiedy ludzie mówią o świecie, mówią przeważnie o sobie. Może tylko ja nie mogę znieść tego, że zbliża się mój koniec, a świat się nie kończy. Chodź!

Trzymaliśmy się w ramionach, każde zatopione we własnych myślach, a jednak trwając nimi przy drugim. Potem moje własne myśli wydały mi się mdłe i ja także posmutniałem, bo poczułem granicę naszego niezrozumienia lub niewspółodczuwania. Nie tylko Irena i ja – od dawna istniała szyba, która nie pozwalała mi tak naprawdę dotrzeć do innych, ani do żony, ani do dzieci, ani do przyjaciół. Zawsze byłem tylko dla siebie.

Omam znowu – ale poprzedniego wieczoru napłakałem się przecież dosyć. W każdym razie próbowałem pozostać w naszych objęciach i odsyłać z powrotem każde inne uczucie, każdą inną myśl, kiedy nadchodziły. Nie było to takie łatwe.

Następnego ranka Irena znów poczuła zapach ognia.

– Czy Kari nie zjawiłby się tutaj, gdyby coś było? Mam jechać do Meredene? Tak czy owak, musimy odnowić zapasy.

Pokręciła głową.

– Nie odchodź. Masz rację: jeśli coś jest, przyjdzie Kari. – Popatrzyła na mnie bojaźliwie. – Możliwe, że dzisiaj znowu nie wytrzymam. Jestem taka słaba... słaba jak nigdy dotąd. Kiedyś byłam chora, gdy miałam jeszcze dzieci. Gorączka rosła coraz bardziej i w końcu położyłam się do łóżka, i byłam wdzięczna, że nie muszę nic robić, tylko mogę leżeć. To po prostu piękne: móc leżeć. Leżeć i spać, i umrzeć. Opowiesz mi coś?

– Mam dwa wspomnienia o mojej matce. Rodzice zaraz po wojnie przenieśli się razem ze mną z Niemiec północnych do południowych i odbywaliśmy tę podróż w przyczepie samochodu przeprowadzkowego, która miała z przodu okno i ławkę, jak w kabinie ciężarówki, gdzie siedzą kierowca i jego pomocnik, ale bez kierownicy i silnika. Siedziałem na kolanach u matki i wyglądałem przez okno... to jest to jedno wspomnienie. A drugie, jak matka kiedyś była ze mną na placu zabaw. Plac znajdował się za leżącą odłogiem działką, na której do trzydziestego ósmego roku stała synagoga, mały podłużny plac z drzewami i ławkami, i piaskownicą.

Pamiętam, że był wieczór i już się ściemniało. Moja matka siedziała ze mną w piaskownicy i budowała zamek. Zabrała z domu jakąś deseczkę i udało jej się położyć ją na pierwszej kondygnacji wieży jako strop, a na nim postawić drugie piętro. Przyniosła też w wiaderczku wodę, która pomagała zlepić piasek, niemniej jednak to było чудо: na pierwszym piętrze można było zaglądać przez drzwi w głąb pomieszczenia, a po drugiej stronie wyglądać przez okno. Pracowała w maksymalnym skupieniu i tak pogrążyła się w pracy, jakby mnie przy tym nie było. Mimo to byłem przeschęśliwy. Była ze mną, tylko ze mną, i robiła coś dla mnie, tylko dla mnie. Skończyła, gdy zrobiło się

już ciemno. Zapaliły się latarnie, gazowe latarnie świecące miękkim światłem, a my siedzieliśmy i patrzyliśmy na zamek. Na pewno miał wały obronne i jeden czy drugi budynek, ale ja zapamiętałem przede wszystkim dwukondygnacyjną wieżę i widziałem Roszponkę, jak spuszcza z góry swoje włosy, i księcia wspinającego się do niej. Kiedy podniosłem wzrok, obok mnie stała jasnowłosa dziewczynka i też patrzyła na zamek... jasnymi szaroniebieskimi oczami, ze zdziwionym, trochę krzywym uśmiechem. I ona...

– Wymyśliłeś to na poczekaniu. – Irena powiedziała to tonem życzliwej przygany.

– Tak. Najdziwniejsze jest, że nie wiem, czy nie wymyśliłem całego wspomnienia. Był plac zabaw, ale dlaczego nie pamiętam, że matka bawiła się ze mną nie tylko wtedy, ale także w domu albo na zewnątrz, i dlaczego miałyby to zrobić akurat tego jednego wieczoru? Nie miała zresztą szczególnych zdolności manualnych i była niecierpliwa, zbyt niecierpliwa, żeby zbudować z piasku dwukondygnacyjną wieżę. Czasami czytała mi baśnie. Czy zmyśliłem swoją własną baśń? Ale to, co się wydarzyło, nie jest w moim wspomnieniu zmyśleniem, tylko rzeczywistością, i wszystko widzę dokładnie przed sobą: piaskownicę, matkę w niebieskiej sukience, zamek o zmierzchu, potem w ciemności, a potem w świetle latarni.

– Ile miałeś lat, kiedy zmarła twoja matka?

– Cztery. To musiało być tuż po tym.

– Na co umarła?

– Wjechała na drzewo.

Irena popatrzyła na mnie, jakby czekała, że powiem coś więcej.

– Była dobrym kierowcą. Czasem zabierała mnie ze sobą, siedziałem albo stałem obok niej na siedzeniu pasażera, nie było jeszcze wtedy pasów bezpieczeństwa ani fotelików dla dzieci, uwielbiałem, kiedy szybko jechała, i czułem się całkowicie bezpieczny.

Irena nadal czekała.

– Dziadkowie powiedzieli mi kiedyś, że była pod wpływem alkoholu. Że była alkoholiczką. Ale dziadkowie byli przeciwni temu małżeństwu, nie lubili mojej matki i mówili o niej tylko źle. Wyczułbym, gdyby była alkoholiczką. Dzieci mają dobry węch.

Irena wzięła mnie za rękę. Nic nie powiedziała, ale i tak wiedziałem, co myśli. Jak twoja żona, pomyślała pewnie. Nie lubiłem tej myśli, ale jej oczy stały się ciężkie i uznałem, że lepiej, żeby przespała tę myśl, niż żeby się jej

sprzeciwiła. Zasnęła, a ja trzymałem ją za rękę i byłem zły na nią.

A potem także ja poczułem dym. Miał ostry, słodki zapach eukaliptusa, był słaby, a jednak przenikliwy, odurzający. Wstałem i rozejrzałem się, ale nie dostrzegłem żadnego dymu ani ognia. Góry, zatoka, drzewa, krzaki, molo, morze – wszystko było takie jak zawsze.

Nagle obok mnie pojawił się Kari i dał mi znak, żebym z nim poszedł. Napisałem Irenie karteczkę, że przyszedł Kari i chce mi coś pokazać. Myślałem, że weźmiemy dżipa, ale chłopak tylko machnął ręką i pośpieszył lekkim krokiem pod górę. Z trudem nadążałem za nim. Znałem tylko drogę, którą jechało się dżipem przez góry, blisko wybrzeża, na pagórkowatą równinę, gdzie znajdowały się obie farmy. Kari prowadził mnie ścieżką na jedną z gór. Wspinaliśmy się coraz wyżej, mała, niebieska zatoka w dole przypominała ilustrację z *Robinsona Crusoe* albo z *Wyspy skarbów*. Po półgodzinie dotarliśmy na szczyt.

Spojrzenie wybiegało daleko, aż po pasmo wzniesień po drugiej stronie równiny. Zanim zobaczyłem ogień, żółtoczerwone plamy i linie na zboczach, ujrzałem dym, który czarnymi kłębami wzbijał się w czyste niebo. Kiedy przetaczał się nad wąwozem, w którym się paliło, pojawiały się w nim żółtoczerwone błyski. Błyszczał też, kiedy wspinał się po wzgórzu, którego tylna część stała już w płomieniach; żółtoczerwony kolor zapowiadał, że ogień dotrze wkrótce na szczyt i nasadzi mu koronę z buchających płomieni. Potem przegryzał się w dół zbocza i gdy docierał do podnóża, strawił już wszystko na górze, zostawiając tylko odrobinę żaru oraz czerń popiołu i zwęglonego drewna.

Na tych odcinkach autostrady, które było widać, jeździły wozy straży pożarnej z migającymi światłami. Nad jezdnią latały helikoptery.

– Czy ten ogień dojdzie do nas?

– Równina jest wielka. Ale jest sucha i jeśli ogień przeskoczy nad autostradą... – Kari wzruszył ramionami.

– To?

– Nie wiem. Zależy od wiatru. My jeszcze nie czujemy wiele i nie mamy dużo dymu, wiatr jest jeszcze słaby. Ale jeśli się nasili...

– Przeżyłeś już kiedyś tutaj pożar?

– Nie, tutaj nie. Ale dalej na północ. Pożar, który wywołuje wiatr, i wiatr, który pędzi pożar.

– O Boże!

U stóp gór zobaczyłem miejscowość stojącą w płomieniach. Czy to ta, w której Meredene i ja robiliśmy zakupy?

Kari pozostał na szczycie, ja wróciłem do Ireny. Nie spała już.

– Wiem. Pali się w górach. Co teraz poczną Meredene i jej rodzina, i ta para starców?

– Mogą przyjechać do nas. Poza tym na autostradzie odbywa się normalny ruch, to ich zabiorą.

– A zwierzęta?

Wyobraziłem sobie, że jedno z dzieci przypędzi zwierzęta do nas, do zatoki, a gdyby przyszedł ogień, wpędzi je do wody. Słyszałem już porykiwanie krów, kwiczenie świń, gdakanie kur. Nikt jednak nie przyszedł, ani mieszkańcy obu farm, ani zwierzęta. Nie wiem, co się z nimi stało.

O nas się nie martwiłem. Do mola przycumowana była łódź, zatankowałem i sprawdziłem silnik: pracował równomiernie i niezawodnie. Przyniosłem do łodzi materac i przed stanowiskiem sternika przyszykowałem legowisko. Do domu przy plaży zniosłem zaś wszystkie ręczniki i prześcieradła, jakie udało mi się znaleźć; gdyby ogień dotarł do nas, mogłem je zmoczyć i zabezpieczyć to, co drewniane: dach, zadaszenie werandy oraz okna. Do starego domu przetransportowałem też wszystko, czego potrzebowaliśmy do życia. Gdyby przyszedł ogień, wypłynęlibyśmy na morze, zaczekali byśmy, aż wszystko minie, potem przypuszczalnie nie moglibyśmy się już wprowadzić do górnego, ale przynajmniej do dolnego domu.

Późnym popołudniem dym pojawił się nad zatoką. Z nieba sypał się leciutki, całkiem drobny popiół, który osadzał się nam na skórze, w zagnieceniach ubrań i na zębach i pozostawiał w ustach gorzki posmak. Odnalazłem drogę na szczyt góry i przykucnąłem obok Kariego. Na skraju równiny płomienie były w przymglone, żółtoszare niebo; ogień zdołał przeskoczyć przez autostradę. Las płonął na żółto i czerwono, a czasami, jakby niewidzialna ręka sięgała w ogień i wyrzucała forpocztę pożaru, daleko przed

linią ognia buchało wysokim płomieniem jakieś drzewo lub krzak, a potem także trawa dookoła.

– Kiedy ogień dojdzie tutaj?

Jakby w odpowiedzi na moje pytanie poderwał się wiatr. Rozniecił ogień, pędził go przed sobą i wzdął czarny dym, tworząc z niego wielką chmurę, jakieś żywe, rozrastające się monstrum, które żarzyło się w środku i migotało. Wtem od brzucha chmury oderwała się ognista kula, która poszybowała wysokim łukiem, jak wyrzucona z katapuły, doleciała do stóp małej góry przed nami i zapaliła drzewa. Dym i popiół dmuchały nam w twarz, czasem dolatywał zapach eukaliptusa, czasem także płatek żaru.

Wiatr, jak nagle się zerwał, tak również ustał. Ogień nie pochylał się już do przodu jak ktoś, kto szybko biegnie, tylko stał prosto, jakby czekał na rozkaz.

– Możesz odejść. Jeśli zrobi się niebezpiecznie, spróbuję do was wrócić. Jeśli nie wrócę, a ogień pokona górę, zejdzicie do łodzi i wypłyniecie na morze. Nie czekajcie na mnie. Jeśli droga do was będzie odcięta, pójdę inną.

19

Irena leżała, jak ją zostawiłem. Opowiedziałem jej o pożarze na równinie, o wietrze, o Karim. Słuchała, ale ciążyły jej powieki.

– Umyjesz mnie?

Przyniosłem i powlokłem materac, rozebrałem ją i umyłem, po czym ubrałem i przeniósłem do świeżo pościelonego łóżka. Podczas rozbierania, ubierania i przenoszenia znów ufnie objęła mnie za szyję, uszczęśliwiając mnie tym gestem.

– Jeśli dziś w nocy pożar pokona górę, zejdziemy do łodzi.

– Nie zejść do łodzi.

Było to tak głupie, że nie wiedziałem, co powiedzieć.

– Chcesz umrzeć w domu? Nie umrzesz wtedy, kiedy chcesz umrzeć. Umrzesz, kiedy przyjdzie pora.

– Kiedy dom spłonie, przyjdzie pora. A ja nie spłonę, tylko uduszę się w dymie. To lekka śmierć. – Powiedziała to płaczliwie i przekornie jak dziecko i uchwyciła się poręczy balkonu tak mocno, że zbieleły jej knykcie. –

Nie chcę do Rock Harbour ani do Sydney, ani do szpitala, ani do białego pokoju. Chcę umrzeć tutaj.

Pochyliłem się nad nią i wziąłem ją w ramiona.

– Nie pozwolę ci umrzeć w białym pokoju. Umrzesz tutaj. Kiedy przyjdzie pora. Wejdziemy na łódź, kiedy nadciągnie pożar, gdy odejdzie, wprowadzimy się do starego domu i będziemy mieć siebie jeszcze przez chwilę. Straciliśmy tyle dni, nie możemy już zmarnować żadnego.

– Obiecasz mi, że tutaj umrę? Cokolwiek się stanie?

Obiecałem jej, a wtedy puściła się poręczy balkonu i zasnęła w moich ramionach. Zza gór nadciągnął czarny dym, który przesuwał się nad zatoką, i zrobiło się ciemno, choć na niebie stało jeszcze słońce, widoczne przez dym jako matowy biały krążek. Wtem zobaczyłem płomienie buchające w górę nad jednym ze szczytów, wziąłem więc Irenę na ręce i zaniósłem do łodzi,

w starym domu zamoczyłem ręczniki i prześcieradła i rozłożyłem je na drewnianych powierzchniach. Z gór schodził silny wiatr, który naginał drzewa i wicherzył ich korony, górny dom zaczął od tego trzeszczeć i dygotać, a morze tak się wzburzyło, że fale z młaśnięciem rozbijały się o molo. Powietrze miało smak dymu i soli.

Ogień pędził po zboczach w dół i błyskawicznie wspinał się po pniach ku koronom drzew. Stały potem jak pochodnie, zanim się zwały. Albo eksplodowały i wyrzucały w górę płonąca korę. Pobiegnę do łodzi i uruchomiłem silnik, kiedy nawet już w zatoce szalał pożar, a w powietrzu wirował żar i popiół. Górny dom płonął; przez chwilę żółtoczerwone płomienie obrysowywały jego linie i krawędzie i wypełzały z okien, a w końcu pnie, na których stał budynek, zapaliły się i złamały, i wszystko zawało się z hukiem. Ogień przeskoczył na stary dom przy plaży, z sykiem ogarnął belkowanie, wysadził z ram okna, a dach i zadaszenie werandy runęły z łoskotem.

Płonał teren wokół całej zatoki. Wypłynąłem w morze, poza zatokę, jak najdalej od gorącego powietrza i płatów płonącej kory, a także żaru i popiołu. Nie wiem, jak długo szalał pożar, godzinę, dwie godziny. Kiedy już tylko się żarzył, jako pomarańczowy żar pod czerwonym księżycem, byłem zupełnie wyczerpany. Położyłem się obok Ireny, która nie obudziła się podczas pożaru i teraz też. Przysunęła się do mnie i kiedy otoczyłem ją ramieniem, wtuliła się w zgięcie. Tak zasnąłem.

Kiedy się obudziłem, był jasny dzień, słońce stało wysoko na niebie, a łódź kołysała się przed wejściem do zatoki. Podniosłem się. Drzewa na górskich zboczach były czarnymi szkieletami, czasem o spalonych koronach w kolorze rdzawym, albo grubymi lub cienkimi czarnymi słupami totemicznymi, albo zwalonymi jeden na drugi czarnymi pniami. Górny dom zamienił się w kupę czarnego węgla, z dolnego ocalały czarne ściany i czarne filary, pomiędzy które zwały się dach i zadaszenie werandy.

Irena zniknęła. W pierwszej chwili nie dotarło to do mnie, bo nie potrafiłem sobie tego wyobrazić, bo nie chciałem tego przyjąć do wiadomości. Materac obok mnie był pusty, Irena nie przycupnęła także z przodu łodzi ani za sterem, nie odpowiadała, gdy ją wołałem, i nie pomachała mi z wody, gdzie właśnie by pływała. Jakby mogła jeszcze pływać. Zapuściłem silnik i skierowałem łódź w stronę mola, przeszedłem po ciepłym dywanie szarego popiołu do dolnego domu i wołałem w głąb pomieszczeń, szukałem jej na plaży i na zboczach. Jakby w czasie, gdy spałem, mogła podpłynąć do mola, przybić do brzegu, wyjść na ląd i odesłać mnie z łodzią z powrotem w morze.

Usiadłem na ławce, na której Irena się zbudziła i powitała mnie wtedy, między cegłami ze zwalonych ścian, i nie wiedziałem, jak to wytrzymać. Że jej nie ma. Że nie mogę zobaczyć jej twarzy, usłyszeć jej głosu, dotknąć jej skóry. Potrzymać jej dłoni w mojej. Że obudziła się rano i zobaczyła zniszczony stary dom, i powiedziała sobie, że teraz zostanie przewieziona do Rock Harbour i do Sydney i umrze w białym pokoju. Że mi nie zaufała. Ale co ja bym zrobił? Jak miałbym nie zawieźć jej do szpitala? Czy moglibyśmy mieszkać na łodzi aż do jej śmierci?

Obudziła się rano, z najwyższym wysiłkiem podpełzła do burty, wgramoliła się na nią, przechyliła i wypadła. Czy wcześniej mnie pocałowała, pogłaskała po głowie, powiedziała mi jakieś słowo? Czy mogłem się obudzić? Rozumiałem, że nie chce umrzeć w białym pokoju. Ale byłbym przy niej dzień

i noc, bylibyśmy sobie bliscy i byśmy się kochali.

Coś lepszego niż śmierć znajdziesz wszędzie. Czyżby Irena tego nie wiedziała? Coś lepszego niż śmierć znajdziesz wszędzie, choćby w białym pokoju szpitalnym na australijskiej prowincji albo w Sydney. To musiało się odbyć inaczej, niż sobie wyobrażałem. Zrobiło jej się niedobrze, jak już nieraz w ostatnich dniach, chciała zwymiotować za burzę, straciła równowagę i wpadła do wody, zbyt słaba, żeby zawołać, i zbyt słaba, żeby podплыnąć.

Przyszedł Kari, zobaczył, że nie ma Ireny, o nic nie pytał, nic nie mówił, przykucnął na plaży i patrzył na morze. Czyżbym słyszał żalosne nucenie z miejsca, gdzie siedział poza zasięgiem mojego wzroku? Nie wiem, jak mijał czas, jak długo siedziałem i kuciałem, czasami wiatr przynosił do mnie parę dźwięków pieśni. W pewnym momencie wstałem i spojrzałem w jego stronę, ale już go nie było.

Podszedłem do łodzi, przeniósłem legowisko z łodzi do ruin starego domu, na łodzi między wiosłami, sprzętem wędkarskim, kanistrami, gumowymi rurkami, szczotkami i ścierkami znalazłem długi sznurek, mogłem więc przywiązać koło sterowe tak, aby łódź utrzymywała kurs prosto przed siebie. Złożyłem swoje ubranie na plaży, wsiałem do łodzi, zapuściłem silnik i wypłynąłem tak daleko, aż uznałem, że łódź kieruje się prosto ku wylotowi zatoki. Wtedy wyskoczyłem do wody i popłynąłem z powrotem.

Początkowo zamierzałem łódź zatopić. W miejscu, gdzie obudziłem się rano i gdzie, jak przypuszczałem, Irena wpadła do morza. Łódź jako trumna albo nagrobek, albo dar wkładany do grobu, i byłoby to miejsce mojej żałoby i pożegnania. Potem jednak uznałem, że wraz z zatopieniem łodzi śmierć Ireny stałaby się jeszcze cięższa.

Siedziałem więc na ławce i patrzyłem za oddalającą się łodzią, która przecięła spokojne wody zatoki, wyskoczyła na otwarte morze i tam tańczyła na wietrze i falach, utrzymując jednak kurs i odpływając coraz dalej. Morze było puste: żadnych kontenerowców, żadnych jachtów, nic oprócz łodzi Ireny, która malała coraz bardziej w promieniach popołudniowego słońca. A potem już nie wiedziałem, czy jeszcze ją widzę, czy tylko sobie wyobrażam. Mały czarny punkt na horyzoncie – czy to była łódź Ireny?

Patrzyłem na puste morze i liczyłem dni, które spędziłem z Ireną. Doszedłem do czternastu – był wtorek i we wtorek przyjechałem, nie byliśmy więc ze sobą tylko tydzień, ale nie byliśmy też trzy. Przypomniało mi się, jaka duma rozpierała moje dzieci, kiedy nauczyły się liczyć do dziesięciu albo do stu, ale z miejsca poważniały, gdy docierało do nich, że liczby nigdy się nie kończą, i w ten sposób odkrywały nieskończoność.

Odszukam córkę Ireny. Nie wiedziałem, jak sprawić, żeby otrzymała to, co pozostało ze spadku po matce Ireny. Musiał być w Niemczech jakiś bank albo adwokat, z którymi Irena się kontaktowała. Jak miałem ich znaleźć? Jak miałem im dowieść, że takie jest jej ostatnie życzenie? Chciałem się zastanowić nad tym problemem, ale nie mogłem. Nie mogłem też zastanowić się nad tym, jak zbliżyć się do swoich dzieci. W interesach, proponując im założenie wspólnej kancelarii, jak podpowiedziała mi Irena? Czy powoli okazując większe zainteresowanie nimi i ich dziećmi, żebyśmy powoli wrosli w sieć nowych wzajemnych relacji? A może w ten sposób, że opowiedziałbym im, co się ze mną działo?

Mimo że to myślenie nie przynosiło żadnych rezultatów, nie mogłem go wyłączyć. Ale wiedza o śmierci Ireny co rusz wdzierała się jak powódź przez wały, które próbowałem wznieść za pomocą tego myślenia. Jak miałem bez niej żyć? Jak miałem bez niej żyć tym, czego nauczyłem się razem z nią?

Jadłem jabłka, które uratowałem przed pożarem, zabierając je do łodzi. Byłem pewny, że w jeden z następnych dni przyplynie łódź z Rock Harbour, bo zechcą zobaczyć, co z nami. Nie zginę tutaj. Wciąż jednak czułem się, jakbym już zginął, i nawet uważałem to za słuszne. Nie chciałem już swojego dawnego życia. Cieszyłem się na nowe. Cieszyłem się, jakby to miało być życie z nią. Nie chciałem przyjąć do wiadomości, że ona umrze.

I tak nastał wieczór i noc. Przygotowałem sobie posłanie w ruinach starego domu, przy okazji znalazłem parę monet i klucze do swojego domu oraz

kluczyki do wynajętego samochodu. Moje dokumenty, karty kredytowe, pieniądze spłonęły – było mi wszystko jedno. Leżąc, słyszałem znowu szum fal wspinających się na brzeg i ich szmer, kiedy spływały z powrotem po kamyczkach. Nigdy dotąd nie spałem tak blisko plaży, nigdy dotąd nie słyszałem tak głośnego szumu i szmeru fal. W powietrzu nadal unosił się dym i wciąż nasilał się wiatr, który przynosił do mnie zapach spalonego drewna, czasami z nutą eukaliptusa, albo osadzał na mnie popiół i kurz. Tym razem obudziłem się o pierwszym brzasku, ujrzałem, jak z morza wyłania się czerwone słońce, które zmienia barwę na pomarańczową i żółte wyrusza w drogę po niebie.

Wspiąłem się wyżej, pogrzebałem w zwęglonych resztkach domu, kopnąłem w wypalonego dżipa i stanąłem przed czarnymi pniami martwych drzew. I wtedy zobaczyłem, że między nimi jest życie, a to parę zielonych źdźbeł trawy, a to parę zielonych gałązek jakiegoś krzaka. Pożoga tak dziko rzuciła się na las i przemknęła przez niego takim pędem, że nie zdążyła zniszczyć wszystkiego, co małe, tylko wszystko, co duże. Wyszedłem na szczyt. Góry przede mną, równina, góry w oddali – wszystko było czarne. Ale tam, gdzie oko mogło dostrzec detale, odnajdywało małe ślady zieleni. Po autostradzie płynęły strumienie pojazdów.

Potem pojawiła się w zatoce łódź i zbiegłem na dół. Przyplłynął nie Mark, tylko jego ojciec.

– Jest pan sam?

– Irena nie żyje.

Skinął głową, jakby spodziewał się jej śmierci, po czym zapytał:

– Jak do tego doszło?

– Była bardzo chora i bardzo słaba i często robiło jej się niedobrze. Kiedy przyszedł ogień, przeniosłem ją na łódź i wypłynęliśmy z zatoki. Sądzę, że w nocy znowu zrobiło jej się niedobrze, zwymiotowała za burtę i przy tym wpadła do wody. Nie mam innego wyjaśnienia. Spałem, a następnego ranka jej nie było.

– Powinien pan opowiedzieć to szeryfowi. Co prawda była tu nielegalnie, ale wszyscy wiedzieli, że tu jest, i mogą się pojawić pytania. – Rozejrzył się, popatrzył na mnie i się uśmiechnął. – Nie ma pan bagażu?

Uśmiechnąłem się w odpowiedzi.

– Nie mam.

– No to płynimy.

W Rock Harbour stał wynajęty przeze mnie samochód, w podręcznym schowku leżał mój telefon. Czekają na mnie dziesiątki wiadomości. Odsłuchałem ostatnie, pytanie kolegi z kancelarii, informację sprzątaczkii, która podczas mojej nieobecności troszczy się o dom, przypomnienie szefa mojej agencji turystycznej, że powinienem pilnie przełożyć termin lotu powrotnego. Usunąłem te wiadomości, usunąłem też wszystkie pozostałe.

Porozmawiałem z szeryfem, który odnotował śmierć Ireny i zapisał moje nazwisko i adres. Nie znał Ireny, ale wiedział o niej i nic z tym nie zrobił. Powiedział sobie, że czas rozwiąże problem.

Zadzwoiłem do australijskiego kolegi, z którym przygotowywałem fuzję przedsiębiorstw. Bez zastrzeżeń gotów był pożyczyć mi pieniądze i polecił biuro nieruchomości w Rock Harbour, żeby mi natychmiast wypłaciło gotówkę. Niemiecki konsul generalny w Sydney obiecał przygotować dla mnie papiery. Szef agencji turystycznej przełożył w porę termin lotu powrotnego, także bez mojego udziału, a potem przesunął go jeszcze raz o kolejne dwa dni.

Nocowałem nad morzem w tym samym hotelu, w którym się zatrzymałem już podczas podróży w tę stronę, znów siedziałem na tarasie i przyglądałem się zapadającej nocy. Kiedy patrzyłem na port jachtowy i wsłuchiwałem się w odgłosy pochodzące z restauracji, ta noc różniła się od nocy w zatoce Ireny. Napełniała mnie smutkiem, a ponieważ bałem się, że mogę się rozplakać, poszedłem do swojego pokoju. Nie rozplakałem się jednak, nie tym razem ani wiele innych razy, kiedy łyzy stały mi w gardle.

W Sydney także wziąłem ten sam hotel, w którym zatrzymałem się przed wyruszeniem do Rock Harbour, i znów dostałem pokój z widokiem na Operę, zatokę i pas lądu na jej końcu, za którym zaczynało się morze. Australijski kolega zaprosił mnie na kolację, a ja popełniłem ten błąd, że opowiedziałem mu o Irenie. On mrugnął do mnie konspiracyjnie i zaczął się rozpląwać nad

młodą sekretarką, z którą kręcił od paru tygodni. Niemiecki konsul powitał mnie osobiście, zapytał uprzejmie, jak znalazłem się w środku pożaru i jak udało mi się z niego wydostać, po czym wydał mi prowizoryczne dokumenty.

Długo mnie dręczyło, czy iść do Art Gallery i znów zobaczyć obraz. Czasami gubiłem się we śnie, w którym wszystko zaczynało się od początku: wchodziłem do galerii i oglądałem obraz, i wydawało mi się, że natknąłem się na przeszłość, tymczasem w rzeczywistości spotykałem przyszłość. Tęskniłem za tym, żeby zobaczyć Irenę jeszcze raz. Nie dbałem też o to, że może będę płakał. Bałem się jednak smutku, który czasem bywa nie do zniesienia, i tęskniłem za starą Ireną, która schodziła do mnie po schodach, nie za młodą. Postanowiłem więc nie iść do Art Gallery, mimo to poszedłem i nie znalazłem obrazu; powiedziano mi, że jest w drodze do Nowego Jorku.

Nie zapowiedziałem swojego powrotu. Nie czekał więc na mnie samochód, kierowca nie opowiadał mi, co się wydarzyło we Frankfurcie, na moim biurku w kancelarii nie będą stać kwiaty. Wsiadłem z taksówki, otworzyłem drzwi i przeszedłem przez dom jak ktoś obcy. Tak, to są meble, które kupiliśmy z żoną, obrazy, które wybraliśmy u zaprzyjaźnionego frankfurckiego marszanda, to trzech drewnianych świętych, których znaleźliśmy w Buenos Aires. To są pokoje, w których spały dzieci, kiedy przyjeżdżały jeszcze z wizytą, z których zabrały jednak wszystko, co dla nich ważne. To jest nasza, moja sypialnia; usunąłem z szaf ubrania żony, ale poza tym niczego nie zmieniałem. Sprzątaczką rozłożyła na łóżku szlafrok, w którym, kiedy rozpakowałem się po podróży i wziąłem prysznic, lubiłem czytać pocztę nagromadzoną podczas mojej nieobecności. Było tego dużo; od razu rzucił mi się w oczy zasłany papierami stół.

Dopiero następnego dnia pójde do kancelarii. Dzisiaj pójde na cmentarz i porozmawiam z żoną. Chciałem prosić ją o przebaczenie. Równocześnie chciałem się pożegnać i wyjaśnić jej, dlaczego nie mogę dłużej żyć w naszym domu razem z naszymi rzeczami. Chciałem jej opowiedzieć o Irenie. Zadzwonię do swoich dzieci. Przygotuję się do rozmowy z Karchingerem i pozostałymi partnerami. Na wiele ich pytań nie będę miał odpowiedzi. Ale to bez znaczenia.

Nota

Niektórym z czytelników i czytelniczek obraz Ireny na schodach może przypominać *Emę. Akt na schodach* Gerharda Richtera. Istotnie, kartka pocztowa z obrazem Richtera stoi od lat na moim biurku, na zmianę z innymi pocztówkami i zdjęciami. Gerhard Richter i malarz Ireny nie mają jednak ze sobą nic wspólnego, Karl Schwind jest postacią fikcyjną.

Bernhard Schlink

Tytuł oryginału: *Die Frau auf der Treppe*

Copyright © 2014 Diogenes Verlag AG Zürich
All rights reserved

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2016

Informacja o zabezpieczeniach

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Redaktor: Małgorzata Chwałek

Projekt i opracowanie graficzne okładki: Michał Pawłowski / www.kreskaikropka.pl

Fotografia na okładce

© Matthieu Spohn / Getty Images

Wydanie I e-book (opracowane na podstawie wydania książkowego: *Kobieta na schodach*, wyd. I, Poznań 2017)

ISBN 978-83-8062-818-2

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.

ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań

tel.: 61 867 81 40, 61 867 47 08

fax: 61 867 37 74

e-mail: rebis@rebis.com.pl

www.rebis.com.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**